

BOLESŁAW PRUS

LALKA, TOM
PIERWSZY

Bolesław Prus
Lalka, tom pierwszy

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23548634

Lalka, tom pierwszy:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom I	4
I. Jak wygląda firma J. Mincel i S. Wokulski przez szkło butelek?	4
II. Rządy starego subiekta	13
III. Pamiętnik starego subiekta	29
IV. Powrót	52
V. Demokratyzacja pana i marzenia panny z towarzystwa	69
VI. W jaki sposób nowi ludzie ukazują się nad starymi horyzontami	93
VII. Gołąb wychodzi na spotkanie węża	122
VIII. Medytacje	136
IX. Kładki, na których spotykają się ludzie różnych światów	173
Конец ознакомительного фрагмента.	181

Bolesław Prus

Lalka, tom pierwszy

Tom I

I. Jak wygląda firma J. Mincel i S. Wokulski przez szkło butelek?

W początkach roku 1878, kiedy świat polityczny zajmował się pokojem san-stefańskim¹, wyborem nowego papieża² albo szansami europejskiej wojny³, warszawscy kupcy tudzież

¹ *pokój san-stefański* – traktat zawarty między Rosją a Turcją dn. 3 marca 1878 r. w San Stefano (pod Konstantynopolem). Turcja, pokonana uprzednio w wojnie z Rosją (1877–1878), musiała uznać niepodległość swych dotychczasowych państw lenniczych: Rumunii, Serbii i Czarnogórza, przy czym granice tych dwóch ostatnich zostały znacznie rozszerzone. Jednocześnie utworzono rozległe Księstwo Bułgarskie z dostępem do Morza Egejskiego (obejmujące Macedonię). Poza tym Turcja została zmuszona do ustępstw terytorialnych na rzecz Rosji w Azji i do zapłaty wysokiej kontrybucji. [przypis redakcyjny]

² *wybór nowego papieża* – 20 lutego 1878 r., po śmierci Piusa IX, został papieżem kardynał Joachim Pecci jako Leon XIII, znany później ze swych wystąpień przeciw ruchowi socjalistycznemu. [przypis redakcyjny]

³ *szanse europejskiej wojny* – zwycięstwa Rosji w wojnie z Turcją, możliwość zajęcia Konstantynopola przez wojska rosyjskie, a potem pokój w San Stefano wywołały silne niezadowolenie Anglii. Z początkiem 1878 r. nastąpiło zaostrzenie konfliktu, grożące

inteligencja pewnej okolicy Krakowskiego Przedmieścia⁴ niemniej gorąco interesowała się przyszłością galanteryjnego sklepu pod firmą J. Mincel i S. Wokulski.

W renomowanej jadłodajni, gdzie na wieczorną przekąskę zbierali się właściciele składów bielizny i składów win, fabrykanci powozów i kapeluszy, poważni ojcowie rodzin, utrzymujący się z własnych funduszków, i posiadacze kamienic bez zajęcia, równie dużo mówiono o uzbrojeniach Anglii⁵, jak o firmie J. Mincel i S. Wokulski. Zatopieni w kłębach dymu cygar i pochyleni nad butelkami z ciemnego szkła obywatele tej dzielnicy, jedni zakładali się o wygranę lub przegranę Anglii, drudzy o bankructwo Wokulskiego; jedni nazywali geniuszem Bismarcka⁶, drudzy – awanturnikiem Wokulskiego; jedni krytykowali postępowanie prezydenta MacMahona⁷, inni

wybuchem wojny między Anglią a Rosją. [przypis redakcyjny]

⁴ *Krakowskie Przedmieście* – jedna z głównych ulic warszawskich. Prawdopodobnie Prus w wyobraźni swej umieszczał sklep Mincel i Wokulski”, tj. stary sklep Wokulskiego, na Krakowskim Przedmieściu nr 9. Dom ten zwany kamienicą Beyera został zupełnie zniszczony w czasie powstania warszawskiego, a ruiny rozebrano w grudniu 1946. Stojący obecnie w tym miejscu budynek, wzniesiony w 1949 r. wg projektu B. Pniewskiego, nie nawiązuje do dawnego stylu. [przypis redakcyjny]

⁵ *uzbrojenia Anglii* – przedsięwzięte w związku z naprężoną sytuacją polityczną. [przypis redakcyjny]

⁶ *Bismarck, Otto* (1815–1898) – kanclerz Rzeszy Niemieckiej, przywódca obszarników pruskich, dokonał zjednoczenia Niemiec (1871); zwalczał ruch socjalistyczny; prowadził politykę antypolską. [przypis redakcyjny]

⁷ *MacMahon, Patrice* (1808–1893) – marszałek Francji, dowodził wojskami wersalczyków przeciw Komunie Paryskiej, następnie jako prezydent republiki (1873–1879) usiłował przywrócić monarchię. [przypis redakcyjny]

twierdzili, że Wokulski jest zdecydowanym wariatem, jeżeli nie czymś gorszym...

Pan Deklewski, fabrykant powozów, który majątek i stanowisko zawdzięczał wytrwałej pracy w jednym fachu, tudzież radca Węgrowicz, który od dwudziestu lat był członkiem-opiekunem⁸ jednego i tego samego Towarzystwa Dobroczynności⁹, znali S. Wokulskiego najdawniej i najgłośniej przepowiadali mu ruinę. – Na ruinie bowiem i niewypłacalności – mówił pan Deklewski – musi skończyć człowiek, który nie pilnuje się jednego fachu i nie umie uszanować darów łaskawej fortuny. – Zaś radca Węgrowicz, po każdej również głębokiej sentencji swego przyjaciela, dodawał:

– Wariat! wariat!... Awanturnik!... Józiu, przynieś no jeszcze piwa. A która to butelka?

– Szósta, panie radco. Służę piorunem!... – odpowiadał Józio.

– Już szósta?... Jak ten czas leci!... Wariat! wariat! – mrucał radca Węgrowicz.

Dla osób posilających się w tej co radca jadłodajni, dla jej właściciela, subiektów i chłopców przyczyny klęsk mających paść na S. Wokulskiego i jego sklep galanteryjny były tak jasne, jak gazowe płomyki oświetlające zakład. Przyczyny te

⁸ *członek-opiekun* – członek Towarzystwa Dobroczynności opiekujący się ubogimi określonej dzielnicy. [przypis redakcyjny]

⁹ *Towarzystwo Dobroczynności* – Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, arystokratyczno-mieszczańska instytucja filantropijna, założona w r. 1814; opiekowała się starcami i chorymi, udzielała zapomóg, utrzymywała ochronki. [przypis redakcyjny]

tkwiły w niespokojnym charakterze, w awanturniczym życiu, zresztą w najświeższym postępku człowieka, który mając w ręku pewny kawałek chleba i możliwość uczęszczania do tej oto tak przyzwoitej restauracji, dobrowolnie wyrzekł się restauracji, sklep zostawił na Opatrzności boskiej, a sam z całą gotówką odziedziczoną po żonie pojechał na turecką wojnę¹⁰ robić majątek.

– A może go i robi... Dostawy dla wojska to gruby interes – wtrącił pan Szprot, agent handlowy¹¹, który bywał tu rzadkim gościem.

– Nic nie robi – odparł pan Deklewski – a tymczasem porządny sklep diabli wezmą. Na dostawach bogacą się tylko Żydzi i Niemcy; nasi do tego nie mają głowy.

– A może Wokulski ma głowę?

– Wariat! wariat!... – mruknął radca. – Podaj no, Józiu, piwa. Która to?...

– Siódma buteleczka, panie radco. Służę piorunem.

– Już siódma?... Jak ten czas leci, jak ten czas leci...

Agent handlowy, który z obowiązków stanowiska potrzebował mieć o kupcach wiadomości wszechstronne i wyczerpujące, przeniósł swoją butelkę i szklankę do stołu radcy i topiąc słodkie wejrzenie w jego załzawionych oczach, spytał zniżonym głosem:

¹⁰ *turecka wojna* – wojna rosyjsko–turecka (1877–1878). [przypis redakcyjny]

¹¹ *agent handlowy* – przedstawiciel firmy handlowej trudniący się sprzedażą jej towarów, za co otrzymywał prowizję (pewien procent od sumy sprzedaży). [przypis redakcyjny]

– Przepraszam, ale... Dlaczego pan radca nazywa Wokulskiego wariatem?... Może mogę służyć cygarkiem... Ja trochę znam Wokulskiego. Zawsze wydawał mi się człowiekiem skrytym i dumnym. W kupcu skrytość jest wielką zaletą, duma wadą. Ale żeby Wokulski zdradzał skłonności do wariacji, tegom nie spostrzegł.

Radca przyjął cygaro bez szczególnych oznak wdzięczności. Jego rumiana twarz, otoczona pękami siwych włosów nad czołem, na brodzie i na policzkach, była w tej chwili podobna do krwawnika¹² oprawionego w srebro.

– Nazywam go – odparł, powoli ogryzając i zapalając cygaro – nazywam go wariatem, gdyż go znam lat... Zaczekaj pan... Piętnaście... siedemnaście... osiemnaście... Było to w roku 1860... Jadaliśmy wtedy u Hopfera¹³. Znałeś pan Hopfera?...

– Phi...

– Otóż Wokulski był wtedy u Hopfera subiektem i miał już ze dwadzieścia parę lat.

– W handlu win i delikatesów?

– Tak. I jak dziś Józio, tak on wówczas podawał mi piwo, zrazy nelsonskie¹⁴...

– I z tej branży przerzucił się do galanterii? – wtrącił agent.

¹² *krwawnik* – kamień półszlachetny barwy czerwonej. [przypis redakcyjny]

¹³ *u Hopfera* – dzisiejsza kawiarnia „U Hopfera” (ul. Krakowskie Przedmieście 54), której nazwa nawiązuje do tradycji *Lalki*, mieści się w dawnym lokalu Karola Lesisza. [przypis redakcyjny]

¹⁴ *zrazy nelsonskie* – duszone mięso z kartoflami i grzybami. [przypis redakcyjny]

– Zaczekaj pan – przerwał radca. – Przerzucił się, ale nie do galanterii, tylko do Szkoły Przygotowawczej¹⁵, a potem do Szkoły Głównej¹⁶, rozumie pan?... Zachciało mu się być uczonym!...

Ajent począł chwiać głową w sposób oznaczający zdziwienie.

– Istna heca – rzekł. – I skąd mu to przyszło?

– No, skąd! Zwyczajnie – stosunki z Akademią Medyczną¹⁷, ze Szkołą Sztuk Pięknych¹⁸... Wtedy wszystkim paliło się we łbach, a on nie chciał być gorszym od innych. W dzień służył gościom przy bufecie i prowadził rachunki, a w nocy uczył się...

– Licha musiała to być usługa.

– Taka jak innych – odparł radca, niechętnie machając ręką. – Tylko że przy posłudze był, bestia, niemiły; na najniewinniejsze słówko marszczył się jak zbój... Rozumie się, używaliśmy na nim, co wlażło, a on najgorzej gniewał się, jeżeli nazwał go kto

¹⁵ *Szkoła Przygotowawcza* – kurs wstępny do Szkoły Głównej, otwarty w 1861 r. [przypis redakcyjny]

¹⁶ *Szkoła Główna* – wyższa uczelnia, założona w Warszawie w r. 1862, z polskim językiem wykładowym. Kształcili się w niej najwybitniejsi przedstawiciele pozytywizmu polskiego (Prus, Świętochowski, Sienkiewicz, Dygasiński, Chmielowski i in.). W roku 1869 została zamieniona przez władze carskie na uniwersytet z rosyjskim językiem wykładowym. [przypis redakcyjny]

¹⁷ *Akademia Medyczna* – właśc. Akademia Medyko-Chirurgiczna; wyższa szkoła w Warszawie, otwarta w r. 1858, wcielona w r. 1862 do Szkoły Głównej jako jej wydział. [przypis redakcyjny]

¹⁸ *Szkoła Sztuk Pięknych* – średnia uczelnia artystyczna w Warszawie, istniała w latach 1844–1866. [przypis redakcyjny]

„panem konsyliarzem¹⁹”. Raz tak zwymyślał gościa, że mało obaj nie porwali się za czuby.

– Naturalnie, handel cierpiał na tym.

– Wcale nie! Bo kiedy po Warszawie rozeszła się wieść, że subiekt Hopfera chce wstąpić do Szkoły Przygotowawczej, tłumy zaczęły tam przychodzić na śniadanie. Osobliwie roiła się studenteria.

– I poszedł też do Szkoły Przygotowawczej?

– Poszedł i nawet zdał egzamin do Szkoły Głównej. No, ale co pan powiesz – ciągnął radca uderzając ajenta w kolano – że zamiast wytrwać przy nauce do końca, niespełna w rok rzucił szkołę...

– Cóż robił?

– Otóż, co... Gotował wraz z innymi piwo, które do dziś dnia pijemy²⁰, i sam w rezultacie oparł się aż gdzieś koło Irkucka²¹.

– Heca, panie! – westchnął ajent handlowy.

– Nie koniec na tym... W roku 1870 wrócił do Warszawy z niewielkim fundusikiem. Przez pół roku szukał zajęcia, z daleka omijając handle korzenne, których po dziś dzień nienawidzi,

¹⁹ konsyliarz – w ten sposób tytułowano dawniej lekarza. [przypis redakcyjny]

²⁰ gotował wraz z innymi piwo, które do dziś dnia pijemy – mowa o udziale Wokulskiego w powstaniu styczniowym. Warto zwrócić uwagę na fakt, że Bolesław Prus używa w tym miejscu języka ezopowego, czyli nie mówi wprost o powstaniu styczniowym, a jedynie sugeruje czytelnikowi utajone treści. Języka ezopowego używali pisarze, by uniknąć ingerencji cenzury. [przypis redakcyjny]

²¹ Irkuck – miasto we wschodniej Syberii nad rzeką Angara. [przypis redakcyjny]

aż nareszcie przy protekcji swego dzisiejszego dysponenta²², Rzeckiego, wkręcił się do sklepu Minclowej, która akurat została wdową, i w rok potem ożenił się z babą grubo starszą od niego.

– To nie było głupie – wtrącił agent.

– Zapewne. Jednym zamachem zdobył sobie byt i warsztat, na którym mógł spokojnie pracować do końca życia. Ale też miał on krzyż Pański z babą!

– One to umieją...

– Jeszcze jak! – powiedział radca. – Patrz pan jednakże, co to znaczy szczęście. Półtora roku temu baba objadła się czegoś i umarła, a Wokulski po czteroletniej katordze został wolny jak ptaszek, z zasobnym sklepem i trzydziestu tysiącami rubli w gotowiznie, na którą pracowały dwa pokolenia Minclów.

– Ma szczęście.

– Miał – poprawił radca – ale go nie uszanował. Inny na jego miejscu ożeniłby się z jaką uczciwą panienką i żyłby w dostatkach; bo co to, panie, dziś znaczy sklep z reputacją i w doskonałym punkcie!... Ten jednak, wariat, rzucił wszystko i pojechał robić interesa na wojnie. Milionów mu się zachciało czy kiego diabła.

– Może je będzie miał – odezwał się agent.

– Ehe! – zachnął się radca. – Daj no, Józiu, piwa. Myślisz pan, że w Turcji znajdzie jeszcze bogatszą babę aniżeli nieboszcza Minclowa?... Józiu!...

– Służę piorunem!... Jedzie ósma...

²² *dysponent* – zastępca kierownika w zakładzie handlowym. [przypis redakcyjny]

– Ósma? – powtórzył radca – to być nie może. Zaraz... Przedtem była szósta, potem siódma... – mrucał zasłaniając twarz dłonią. – Może być, że ósma. Jak ten czas leci!...

Mimo posępne wróżby ludzi trzeźwo patrzących na rzeczy, sklep galanteryjny pod firmą J. Mincel i S. Wokulski nie tylko nie upadł, ale nawet robił dobre interesy. Publiczność zaciekawiona pogłoskami o bankructwie coraz liczniej odwiedzała magazyn, od chwili zaś kiedy Wokulski opuścił Warszawę, zaczęli zgłaszać się po towary kupcy rosyjscy. Zamówienia mnożyły się, kredyt za granicą istniał, weksle były płacone regularnie, a sklep roił się gośćmi, którym ledwo mogli wydołać trzech subiekci: jeden mizerny blondyn, wyglądający, jakby co godzinę umierał na suchoty, drugi szatyn z brodą filozofa, a ruchami księcia i trzeci elegant, który nosił zabójcze dla płci pięknej wąsiki, pachnąc przy tym jak laboratorium chemiczne.

Ani jednak ciekawość ogółu, ani fizyczne i duchowe zalety trzech subiektów, ani nawet ustalona reputacja sklepu może nie uchroniłyby go od upadku, gdyby nie zawiadował nim czterdziestoletni pracownik firmy, przyjaciel i zastępca Wokulskiego, pan Ignacy Rzecki.

II. Rządy starego subiekta

Pan Ignacy od dwudziestu pięciu lat mieszkał w pokoiku przy sklepie. W ciągu tego czasu sklep zmieniał właścicieli i podłogę, szafy i szyby w oknach, zakres swojej działalności i subiektów; ale pokój pana Rzeckiego pozostał zawsze taki sam. Było w nim to samo smutne okno, wychodzące na to samo podwórze, z tą samą kratą, na której szczeblach zwieszała się, być może, ćwierćwiekowa pajęczyna, a z pewnością ćwierćwiekowa firanka, niegdyś zielona, obecnie wypłowiwała z tęsknoty za słońcem.

Pod oknem stał ten sam czarny stół obity suknem, także niegdyś zielonym, dziś tylko poplamionym. Na nim wielki czarny kałamarz wraz z wielką czarną piaseczniczką²³, przymocowaną do tej samej podstawki – para mosiężnych lichtarzy do świec łojowych, których już nikt nie palił, i stalowe szczypce, którymi już nikt nie obcinał knotów²⁴. Żelazne łóżko z bardzo cienkim materacem, nad nim nigdy nie używana dubeltówka, pod nim pudło z gitarą, przypominające dziecinną trumienkę, wąska kanapka obita skórą, dwa krzesła również skórą obite,

²³ *piaseczniczka* – naczynko do piasku, używanego zamiast bibuły do suszenia świeżego pisma atramentowego. [przypis redakcyjny]

²⁴ *para mosiężnych lichtarzy do świec łojowych, których już nikt nie palił, i stalowe szczypce, którymi już nikt nie obcinał knotów* – w tym czasie do powszechnego użytku weszła lampa naftowa. [przypis edytorski]

duża blaszana miednica i mała szafa ciemnowiśniowej barwy stanowiły umeblowanie pokoju, który, ze względu na swoją długość i mrok w nim panujący, zdawał się być podobniejszym do grobu aniżeli do mieszkania.

Równie jak pokój, nie zmieniły się od ćwierć wieku zwyczaje pana Ignacego.

Rano budził się zawsze o szóstej; przez chwilę słuchał, czy idzie leżący na krześle zegarek, i spoglądał na skazówki, które tworzyły jedną linię prostą. Chciał wstać spokojnie, bez awantur; ale że chłodne nogi i nieco zeszywniałe ręce nie okazywały się dość uległymi jego woli, więc zrywał się, nagle wyskakiwał na środek pokoju i rzuciwszy na łóżko szlafmycę²⁵, biegł pod piec do wielkiej miednicy, w której mył się od stóp do głów, rżąc i parszając jak wiekowy rumak szlachetnej krwi, któremu przypominał się wyścig.

Podczas obrządku wycierania się kosmatymi ręcznikami, z upodobaniem patrzył na swoje chude łydki i zarośnięte piersi, mruczając:

„No, przecie nabieram ciała.”

W tym samym czasie zeskakiwał z kanapki jego stary pudel Ir z wybitym okiem i mocno otrząsnąwszy się, zapewne z resztek snu, skrobał do drzwi, za którymi rozlegało się pracowite dmuchanie w samowar. Pan Rzecki, wciąż ubierając się z pośpiechem, wypuszczał psa, mówił dzień dobry służącemu, wydobywał z szafy imbryk, mylił się przy zapinaniu mankietów,

²⁵ *szlafmyca* – czapka nocna. [przypis redakcyjny]

biegł na podwórze zobaczyć stan pogody, parzył się gorącą herbatą, czesał się nie patrząc w lustro i o wpół do siódmej był gotów.

Obejrzawszy się, czy ma krawat na szyi, a zegarek i portmonetkę w kieszeniach, pan Ignacy wydobywał ze stolika wielki klucz i trochę zgarbiony, uroczyście otwierał tylne drzwi sklepu obite żelazną blachą. Wchodzili tam obaj ze służącym, zapalali parę płomyków gazu i podczas gdy służący zamiatał podłogę, pan Ignacy odczytywał przez binokle ze swego notatnika rozkład zajęć na dzień dzisiejszy.

„Oddać w banku osiemset rubli, aha... Do Lublina wysłać trzy albumy, tuzin portmonetek... Właśnie!... Do Wiednia przekaz na tysiąc dwieście guldenów²⁶... Z kolei odebrać transport... Zmonitować²⁷ rymarza²⁸ za nieodesłanie walizek... Bagatela²⁹!... Napisać list do Stasia... Bagatela...”

Skończywszy czytać, zapalał jeszcze kilka płomieni i przy ich blasku robił przegląd towarów w gablotkach i szafach.

„Spinki, szpilki, portmonety... dobrze... Rękawiczki, wachlarze, krawaty... tak jest... Laski, parasole, sakwojaże³⁰...

²⁶ *gulden* – austriacka moneta srebrna. [przypis redakcyjny]

²⁷ *Zmonitować* – napomnieć. [przypis redakcyjny]

²⁸ *rymarz* – rzemieślnik wyrabiający uprząż, siodła i inne akcesoria jeździeckie (przede wszystkim ze skóry). [przypis edytorski]

²⁹ *Bagatela* – drobnostka [przypis edytorski]

³⁰ *sakwojaż* – walizka (podróżna). [przypis edytorski]

A tu – albumy, neseserki³¹... Szafirowy wczoraj sprzedano, naturalnie!... Lichtarze, kałamarze, przyciski... Porcelana... Ciekawym, dlaczego ten wazon odwrócili?... Z pewnością... Nie, nie uszkodzony... Lalki z włosami, teatr, karuzel... Trzeba na jutro postawić w oknie karuzel, bo już fontanna spowszedniała. Bagatela!... Ósma dochodzi... Założyłbym się, że Klejn będzie pierwszy, a Mraczewski ostatni. Naturalnie... Poznał się z jakąś guwernantką i już jej kupił neseserkę na rachunek i z rabatem... Rozumie się... Byle nie zaczął kupować bez rabatu i bez rachunku...”

Tak mruczał i chodził po sklepie przygarbiony, z rękoma w kieszeniach, a za nim jego pudel. Pan od czasu do czasu zatrzymywał się i oglądał jakiś przedmiot, pies przysiadł na podłodze i skrobał tylną nogą gęste kudły, a rzędem ustawione w szafie lalki małe, średnie i duże, brunetki i blondynki, przypatrywały się im martwymi oczami.

Drzwi od sieni skrzypnęły i ukazał się pan Klejn, mizerny subiekt, ze smutnym uśmiechem na posiniałych ustach.

– A co, byłem pewny, że pan przyjdiesz pierwszy. Dzień dobry – rzekł pan Ignacy. – Paweł! gaś światło i otwieraj sklep.

Służący wbiegł ciężkim kłusem i zakręcił gaz. Po chwili rozległo się zgrzytanie ryglów, szczekanie sztab i do sklepu wszedł dzień, jedyny gość, który nigdy nie zawodzi kupca. Rzecki usiadł przy kantorku³² pod oknem, Klejn stanął na

³¹ *neseserka* – mała podróżna walizka. [przypis redakcyjny]

³² *kantorek* – dawna nazwa biurka. [przypis redakcyjny]

zwykłym miejscu przy porcelanie.

– Pryncypał³³ jeszcze nie wraca, nie miał pan listu? – spytał Klejn.

– Spodziewam się go w połowie marca, najdalej za miesiąc.

– Jeżeli go nie zatrzyma nowa wojna.

– Staś... Pan Wokulski – poprawił się Rzecki – pisze mi, że wojny nie będzie.

– Kursa jednak spadają, a przed chwilą czytałem, że flota angielska wpłynęła na Dardanele³⁴.

– To nic, wojny nie będzie. Zresztą – westchnął pan Ignacy – co nas obchodzi wojna, w której nie przyjmie udziału Bonaparte.

– Bonapartowie skończyli już karierę.

– Doprawdy?... – uśmiechnął się ironicznie pan Ignacy. – A na czyjaż korzyść MacMahon z Ducrotem układali w styczniu zamach stanu³⁵?... Wierz mi, panie Klejn, bonapartyzm³⁶ to

³³ *Pryncypał* – przełożony, osoba najważniejsza w danej instytucji. [przypis edytorski]

³⁴ *flota angielska wpłynęła na Dardanele* – w czasie wojny z Rosją Turcja odwołała się do interwencji państw zachodnich. W związku z tym Anglia zażądała od Rosji wstrzymania kroków wojennych. Ponieważ ze strony Rosji nie było odpowiedzi, flota angielska w połowie lutego przepłynęła Dardanele i zajęła stanowisko naprzeciw Konstantynopola. [przypis redakcyjny]

³⁵ *MacMahon z Ducrotem układali w styczniu zamach stanu* – August Aleksander Ducrot (1817–1882) generał francuski, monarchista. Jako dowódca korpusu w Bourges brał udział w przygotowaniach do monarchistycznego zamachu stanu, który nie powiódł się jednak, m.in. wskutek niezdecydowanego stanowiska MacMahona. Skompromitowany Ducrot otrzymał dymisję 18 stycznia 1878 r. [przypis redakcyjny]

³⁶ *bonapartyzm* – tu: ideologia i ruch polityczny popierający ród Bonaparte w dążeniach do władzy. [przypis redakcyjny]

potęga!...

– Jest większa od niej.

– Jaka? – oburzył się pan Ignacy. – Może republika³⁷ z Gambettą³⁸?... Może Bismarck?...

– Socjalizm... – szepnął mizerny subiekt kryjąc się za porcelaną.

Pan Ignacy mocniej zasadził binokle i podniósł się na swym fotelu, jakby pragnąc jednym zamachem obalić nową teorię, która przeciwstawiała się jego poglądom, lecz popłatało mu szyki wejście drugiego subiekta z brodą.

– A, moje uszanowanie panu Lisieckiemu! – zwrócił się do przybyłego. – Zimny dzień mamy, prawda? Która też godzina w mieście, bo mój zegarek musi się spieszyć. Jeszcze chyba nie ma kwadransa na dziewiątą?...

– Także koncept!... Pański zegarek zawsze spieszy się z rana, a późni wieczorem – odparł cierpko Lisiecki ocierając szronem pokryte wąsy.

– Założę się, żeś pan był wczoraj na preferansie³⁹.

³⁷ republika... – po klęsce cesarza Napoleona III, we Francji 3 września 1870 r. została proklamowana republika. Ustrój republikański został ostatecznie wprowadzony konstytucją 1875 roku. Skrajna prawica dążyła jednak do przywrócenia monarchii. Poszczególne odłamy monarchistów wysuwały na tron różnych kandydatów, m. in. syna Napoleona III, który przybrał imię Napoleona IV. [przypis redakcyjny]

³⁸ Leon Gambetta (1838–1882) – wybitny polityk francuski; należał do umiarkowanego skrzydła partii republikańskiej; proklamował w r. 1870 republikę. [przypis redakcyjny]

³⁹ preferans – rodzaj gry w karty na trzy osoby. [przypis redakcyjny]

– Ma się wiedzieć. Cóż pan myślisz, że mi na całą dobę wystarczy widok waszych galanterii i pańskiej siwizny?

– No, mój panie, wolę być trochę szpakowatym aniżeli łysym
– oburzył się pan Ignacy.

– Koncept!... – syknął pan Lisiecki. – Moja łysina, jeżeli ją kto dojrzy, jest smutnym dziedzictwem rodu, ale pańska siwizna i gderliwy charakter są owocami starości, którą... chciałbym szanować.

Do sklepu wszedł pierwszy gość: kobieta ubrana w salopę⁴⁰ i chustkę na głowie, żądająca mosiężnej spluwaczki... Pan Ignacy bardzo nisko ukłonił się jej i ofiarował krzesło, a pan Lisiecki zniknął za szafami i wróciwszy po chwili doręczył interesantce ruchem pełnym godności żądany przedmiot. Potem zapisał cenę spluwaczki na kartce, podał ją przez ramię Rzeckiemu i poszedł za gablotkę z miną bankiera, który złożył na cel dobroczynny kilka tysięcy rubli.

Spór o siwiznę i łysinę był zażegnany.

Dopiero około dziewiątej wszedł, a raczej wpadł do sklepu pan Mraczewski, piękny, dwudziestokilkoletni⁴¹ blondynek, z oczyma jak gwiazdy, ustami jak korale, z wąsikami jak zatrute sztylety. Wbiegł ciągnąc za sobą od progu smugę woni i zawołał:

– Słowo honoru daję, że musi już być wpół do dziesiątej. Letkiewicz jestem, gałgan jestem, no – podły jestem, ale coś zrobię, kiedy matka mi zachorowała i musiałem szukać doktora.

⁴⁰ *salopa* – watowany płaszcz damski, z peleryną. [przypis redakcyjny]

⁴¹ *dwudziestokilkoletni* – dziś: kilkudziesięcioletni. [przypis edytorski]

Byłem u sześciu...

– Czy u tych, którym dajesz pan neseserki? – spytał Lisiecki.

– Neseserki?... Nie. Nasz doktor nie przyjąłby nawet szpilki. Zaczny człowiek... Prawda, panie Rzecki, że już jest wpół do dziesiątej? Stał mi zegarek.

– Dochodzi **dziewiąta**... – odparł ze szczególnym naciskiem pan Ignacy.

– Dopiero dziewiąta?... No, kto by myślał! A tak projektowałem sobie, że dziś przyjdę do sklepu pierwszy, wcześniej od pana Klejna...

– Ażeby wyjść przed ósmą – wtrącił pan Lisiecki.

Mraczewski utkwiał w nim błękitne oczy, w których malowało się najwyższe zdumienie.

– Pan skąd wie?... – odparł. – No, słowo honoru daję, że ten człowiek ma zmysł proroczy! Właśnie dziś, słowo honoru... muszę być na mieście przed siódmą, choćbym umarł, choćbym... miał podać się do dymisji...

– Niech pan od tego zacznie – wybuchnął Rzecki – a będzie pan wolny przed jedynastą⁴², nawet w tej chwili, panie Mraczewski. Pan powinienes być hrabią, nie kupcem, i dziwię się, że pan od razu nie wstąpił do tamtego fachu, przy którym zawsze ma się czas, panie Mraczewski. Naturalnie!

– No, i pan w jego wieku latałeś za spódniczkami – odezwał się Lisiecki. – Co tu bawić się w morały.

⁴² *jedynasta* – forma konsekwentnie używana przez Prusa; dziś: jedenasta. [przypis edytorski]

– Nigdy nie latałem! – krzyknął Rzecki uderzając pięścią w kantorek.

– Przynajmniej raz wygadał się, że całe życie jest niedołęgą – mruknął Lisiecki do Klejna, który uśmiechał się podnosząc jednocześnie brwi bardzo wysoko.

Do sklepu wszedł drugi gość i zażądał kaloszy. Naprzeciw niego wysunął się Mraczewski.

– Kaloszyków żąda szanowny pan? Który numer, jeżeli wolno spytać? Ach, szanowny pan zapewne nie pamięta! Nie każdy ma czas myśleć o numerze swoich kaloszy, to należy do nas. Szanowny pan pozwoli, że przymierzemy?... Szanowny pan raczy zająć miejsce na taburecie⁴³. Paweł! przynieś ręcznik, zdejmn panu kalosze i wytrzyj obuwie...

Wbiegł Paweł ze ścierką i rzucił się do nóg przybyłemu.

– Ależ, panie, ależ przepraszam!... – tłumaczył się⁴⁴ odurzony gość.

– Bardzo prosimy – mówił prędko Mraczewski – to nasz obowiązek. Zdaje mi się, że te będą dobre – ciągnął podając parę szczepionych nitką kaloszy. – Doskonałe, pysznie wyglądają; szanowny pan ma tak normalną nogę, że niepodobna mylić się co do numeru. Szanowny pan życzy sobie zapewne literki; jakie mają być literki?...

– L. P. – mruknął gość czując, że tonie w bystrym potoku wymowy grzecznego subiekta.

⁴³ *taburet* – dziś: taboret, stółek. [przypis edytorski]

⁴⁴ *tłumaczył* – dziś: tłumaczył. [przypis edytorski]

– Panie Lisiecki, panie Klejn, przybijcie z łaski swojej literki. Szanowny pan każe zawinać dawne kalosze? Paweł! wytrzymaj kalosze i okręć w bibułę. A może szanowny pan nie życzy sobie dźwigać zbytecznego ciężaru? Paweł! rzuć kalosze do paki... Należy się dwa ruble kopiejek pięćdziesiąt... Kaloszy z literkami nikt szanownemu panu nie zamieni, a to przykra rzecz znaleźć w miejsce nowych artykułów dziurawe graty... Dwa ruble pięćdziesiąt kopiejek do kasy, z tą karteczką. Panie kasjerze, pięćdziesiąt kopiejek reszty dla szanownego pana...

Nim gość oprzytomniał, ubrano go w kalosze, wydano resztę i wśród niskich ukłonów odprowadzono do drzwi. Interesant stał przez chwilę na ulicy, bezmyślnie patrząc w szybę, spoza której Mraczewski darzył go słodkim uśmiechem i ognistymi spojrzeniami. Wreszcie machnął ręką i poszedł dalej, może myśląc, że w innym sklepie kalosze bez literek kosztowałyby go dziesięć złotych⁴⁵.

Pan Ignacy zwrócił się do Lisieckiego i kiwał głową w sposób oznaczający podziw i zadowolenie. Mraczewski dostrzegł ten ruch kątem oka i podbiegłszy do Lisieckiego, rzekł półgłosem:

– Niech no pan patrzy, czy nasz stary nie jest podobny z profilu do Napoleona III⁴⁶? Nos... wąs... hiszpanka⁴⁷...

⁴⁵ *dziesięć złotych* – do poł. XIX w. mennica w Warszawie wybijała polskie monety; posługiwano się nimi długo, mimo wprowadzenia w Królestwie waluty rosyjskiej, rublowej. 1 zł polski równał się wartości 15 kopiejek, a 10 groszy wartości 5 kopiejek. [przypis redakcyjny]

⁴⁶ Napoleon III – Ludwik Napoleon Bonaparte, ur. w 1808 r., bratanek Napoleona I; w grudniu 1848 r. obrany został, głównie głosami chłopstwa, prezydentem republiki;

– Do Napoleona, kiedy chorował na kamień⁴⁸ – odparł Lisiecki.

Na ten dowcip pan Ignacy skrzywił się z niesmakiem. Swoją drogą Mraczewski dostał urlop przed siódmą wieczorem, a w parę dni później w prywatnym katalogu Rzeckiego otrzymał notatkę:

„Był na *Hugonotach*⁴⁹ w ósmym rzędzie krzeseł z niejaką Matyldą...???”

Na pociechę mógłby sobie powiedzieć, że w tym samym katalogu równie posiadają notatki dwaj inni jego koledzy, a także inkasent, posłańcy, nawet – służący Paweł. Skąd Rzecki znał podobne szczegóły z życia swych współpracowników? Jest to tajemnica, z którą przed nikim się nie zwierzał⁵⁰.

2 grudnia 1851 r., mając poparcie wojska i wykorzystując osłabienie burżuazji i proletariatu wzajemną walką, dokonał zamachu stanu; rozwiązał Zgromadzenie Ustawodawcze, przedłużył swoje pełnomocnictwo na lat 10 i rozszerzył zakres władzy prezydenta. W rok później, 2 grudnia 1852 r., po przeprowadzeniu plebiscytu ogłosił się cesarzem. Lawirując między klasami społecznymi Napoleon III w rzeczywistości służył interesom wielkiej burżuazji. Swą zaborczą politykę zagraniczną pozorował obroną narodów walczących o wyzwolenie i zjednoczenie polityczne (Włochy, Polska). Zdetronizowany, po klęsce w wojnie francusko-niemieckiej w r. 1870, zmarł na wygnaniu w Anglii w r. 1873. [przypis redakcyjny]

⁴⁷ *hiszpanka* – tu: bródka przycięta spiczasto na sposób hiszpański. [przypis redakcyjny]

⁴⁸ *chorował na kamień* – mowa o kamieniach żółciowych lub nerkowych, cierpieniu bardzo bolesnym, zmieniającym nawet wyraz twarzy chorego. [przypis redakcyjny]

⁴⁹ „*Hugonoci*” (1836) – opera G. Meyerbeera (1791–1864) często wówczas grywana; *hugonoci* – protestanci francuscy, kalwini. [przypis redakcyjny]

⁵⁰ *tajemnica, z którą (...) się nie zwierzał* – dziś: tajemnica, z której się nie zwierzał.

Około pierwszej w południe pan Ignacy zdawszy kasę Lisieckiemu, któremu pomimo ciągłych sporów ufał najbardziej, wymykał się do swego pokoiku, ażeby zjeść obiad przyniesiony z restauracji. Współcześnie z nim wychodził Klejn i wracał do sklepu o drugiej; potem obaj z Rzeckim zostawali w sklepie, a Lisiecki i Mraczewski szli na obiad. O trzeciej znowu wszyscy byli na miejscu.

O ósmej wieczór zamykano sklep; subiekci rozchodzili się i zostawał tylko Rzecki. Robił dzienny rachunek, sprawdzał kasę, układał plan czynności na jutro i przypominał sobie: czy zrobiono wszystko, co wypadało na dziś? Każdą zaniedbaną sprawę opłacał długą bezsennością i smętnymi marzeniami na temat ruiny sklepu, stanowczego upadku Napoleonidów⁵¹ i tego, że wszystkie nadzieje, jakie miał w życiu, były tylko głupstwem.

„Nic nie będzie! Giniemy bez ratunku” – wzdychał przewracając się na twardej pościeli.

Jeżeli dzień udał się dobrze, pan Ignacy był kontent⁵². Wówczas przed snem czytał historię konsulatu i cesarstwa⁵³ albo wycinki z gazet opisujących wojnę włoską z roku 1859⁵⁴, albo

[przypis edytorski]

⁵¹ *Napoleonidzi* – krewni Napoleona i ich potomkowie. [przypis redakcyjny]

⁵² *kontent* – zadowolony. [przypis edytorski]

⁵³ *historia konsulatu i cesarstwa* – Rzecki czyta dzieło prawicowego polityka i historyka francuskiego Adolfa Thiersa (1797–1877) *Historia konsulatu i cesarstwa*, które ukazało się w latach 1845–1862. *Konsulat* – okres dyktatorskich rządów Napoleona Bonapartego w latach 1799–1804. [przypis redakcyjny]

⁵⁴ *wojna włoska z r. 1859* – wojna Królestwa Sardynii i Francji przeciw Austrii,

też, co trafiało się rzadziej, wydobywał spod łóżka gitarę i grał na niej *Marsza Rakoczego*⁵⁵ przyśpiewując wątpliwej wartości tenorem.

Potem śniły mu się obszerne węgierskie równiny, granatowe i białe linie wojsk, przysłoniętych chmurą dymu... Nazajutrz miewał posepny humor i skarżył się na ból głowy.

Do przyjemniejszych dni należała u niego niedziela; wówczas bowiem obmyślał i wykonywał plany wystaw okiennych na cały tydzień.

W jego pojęciu okna nie tylko streszczały zasoby sklepu, ale jeszcze powinny były zwracać uwagę przechodniów bądź najmodniejszym towarem, bądź pięknym ułożeniem, bądź figlem. Prawe okno przeznaczone dla galanterij zbytkownych mieściło zwykle jakiś brąz, porcelanową wazę, całą zastawę buduarowego⁵⁶ stolika, dokoła których ustawiały się albumy, lichtarze, portmonety, wachlarze, w towarzystwie lasek, parasoli i niezliczonej ilości drobnych, a eleganckich przedmiotów. W lewym znowu oknie, napełnionym okazami krawatów, rękawiczek, kaloszy i perfum, miejsce środkowe zajmowały zabawki, najczęściej poruszające się.

Niekiedy podczas tych samotnych zajęć w starym subieckie budziło się dziecko. Wydobywał wtedy i ustawiał na stole

jeden z etapów walk o zjednoczenie Włoch. [przypis redakcyjny]

⁵⁵ „*Marsz Rakoczego*” – narodowy marsz węgierski, skomponowany w połowie XVII w. dla księcia siedmiogrodzkiego, Franciszka II Rakoczego. [przypis redakcyjny]

⁵⁶ *buduarowy* – buduar: elegancki pokój damski. [przypis redakcyjny]

wszystkie mechaniczne cacka. Był tam niedźwiedź wdrapujący się na słup, był piejący kogut, mysz, która biegła, pociąg, który toczył się po szynach, cyrkowy pajac, który cwałował na koniu, dźwigając drugiego pajaca, i kilka par, które tańczyły walca przy dźwiękach niewyraźnej muzyki. Wszystkie te figury pan Ignacy nakręcał i jednocześnie puszczał w ruch. A gdy kogut zaczął pisać łopocząc sztywnymi skrzydłami, gdy tańczyły martwe pary, co chwilę potykając się i zatrzymując, gdy ołowiani pasażerowie pociągu, jadącego bez celu, zaczęli przypatrywać mu się ze zdziwieniem i gdy cały ten świat lalek, przy drgającym świetle gazu, nabrał jakiegoś fantastycznego życia, stary subiekt podparłszy się łokciami śmiał się cicho i mruczał:

– Hi! hi! hi! dokąd wy jedzicie, podróżni?... Dlaczego narażasz kark, akrobato?... Co wam po uściskach, tancerze?... Wykręca się sprężyny i pójdziecie na powrót do szafy. Głupstwo, wszystko głupstwo!... a wam, gdybyście myśleli, mogłoby się zdawać, że to jest coś wielkiego!...

Po takich i tym podobnych monologach szybko składał zabawki i rozdrażniony chodził po pustym sklepie, a za nim jego brudny pies.

„Głupstwo handel... głupstwo polityka... głupstwo podróż do Turcji... głupstwo całe życie, którego początku nie pamiętamy, a końca nie znamy... Gdzież prawda?...”

Ponieważ tego rodzaju zdania wypowiadał niekiedy głośno i publicznie, więc uważano go za bzik, a poważne damy, mające córki na wydaniu, nieraz mówiły.

– Oto do czego prowadzi męczyznę starokawalerstwo!

Z domu pan Ignacy wychodził rzadko i na krótko i zwykle kręcił się po ulicach, na których mieszkali jego koledzy albo oficjaliści⁵⁷ sklepu. Wówczas jego ciemnozielona algierka⁵⁸ lub tabaczkowy surdut⁵⁹, popielate spodnie z czarnym lampasem i wypłowiwały cylinder, nade wszystko zaś jego nieśmiałe zachowanie się zwracały powszechną uwagę. Pan Ignacy wiedział to i coraz bardziej zniechęcał się do spacerów. Wolał przy świetle kłaść się na łóżku i całymi godzinami patrzeć w swoje zakratowane okno, za którym widać było szary mur sąsiedniego domu, ozdobiony jednym jedynym, również zakratowanym oknem, gdzie czasami stał garnczek masła albo wisiwały zwłoki zająca.

Lecz im mniej wychodził, tym częściej marzył o jakiejś dalekiej podróży na wieś lub za granicę. Coraz częściej spotykał we snach zielone pola i ciemne bory, po których błakałby się, przypominając sobie młode czasy. Powoli zbudziła się w nim głucha tęsknota do tych krajobrazów, więc postanowił natychmiast po powrocie Wokulskiego wyjechać gdzieś na całe lato.

– Choć raz przed śmiercią, ale na kilka miesięcy – mówił kolegom, którzy nie wiadomo dlaczego uśmiechali się z tych

⁵⁷ *ofcjalista* – niższy pracownik umysłowy. [przypis redakcyjny]

⁵⁸ *algierka* – rodzaj męskiego ubioru futrzanego. [przypis redakcyjny]

⁵⁹ *surdut* – ówczśnie nazwa wizytowego ubioru męskiego, zwykle ciemnego, z dwoma rzędami guzików. [przypis redakcyjny]

projektów.

Dobrowolnie odcięty od natury i ludzi, utopiony w wartkim, ale ciasnym wirze sklepowych interesów, czuł coraz mocniej potrzebę wymiany myśli. A ponieważ jednym nie ufał, inni go nie chcieli słuchać, a Wokulskiego nie było, więc rozmawiał sam z sobą i – w największym sekrecie pisywał pamiętnik.

III. Pamiętnik starego subiekta

...Ze smutkiem od kilku lat uważam, że na świecie jest coraz mniej dobrych subiektów i rozumnych polityków, bo wszyscy stosują się do mody. Skromny subiekt co kwartał ubiera się w spodnie nowego fasonu, w coraz dziwniejszy kapelusz i coraz inaczej wykładany kołnierzyk. Podobnież dzisiejsi politycy co kwartał zmieniają wiarę: onegdaj wierzyli w Bismarcka, wczoraj w Gambettę, a dziś w Beaconsfielda⁶⁰, który niedawno był Żydkiem.

Już widać zapomniano, że w sklepie nie można stroić się w modne kołnierzyki, tylko je sprzedawać, bo w przeciwnym razie gościom zabraknie towaru, a sklepowi gości. Zaś polityki nie należy opierać na szczęśliwych osobach, tylko na wielkich dynastiach. Metternich⁶¹ był taki sławny jak Bismarck, a Palmerston⁶² sławniejszy od Beaconsfielda i – któż dziś o nich pamięta? Tymczasem ród Bonapartych trząsł Europą za Napoleona I, potem za Napoleona III, a i dzisiaj, choć niektórzy

⁶⁰ *Beaconsfield* – właściwie Beniamin Disraeli (1804–1881), polityk angielski, przywódca konserwatystów, w tym czasie premier i kierownik polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii. [przypis redakcyjny]

⁶¹ Klemens Metternich (1773–1859) – dyplomata austriacki, przywódca europejskiej reakcji politycznej po roku 1815, wróg liberalizmu i ruchów narodowowyzwoleńczych. [przypis redakcyjny]

⁶² Henry Palmerston (1784–1865) – wybitny polityk angielski, przywódca liberałów. [przypis redakcyjny]

nazywają go bankrutem, wpływa na losy Francji przez wierne swoje sługi, MacMahona i Ducrota.

Zobaczycie, co jeszcze zrobi Napoleon IV⁶³, który po cichu uczy się sztuki wojennej u Anglików! Ale o to mniejsza. W tej bowiem pisaninie chcę mówić nie o Bonapartym, ale o sobie, ażeby wiadano, jakim sposobem tworzyli się dobrzy subiekci i choć nie uczeni, ale rozsądni politycy. Do takiego interesu nie trzeba akademii, lecz przykładu – w domu i w sklepie.

Ojciec mój był za młodu żołnierzem, a na starość woźnym w Komisji Spraw Wewnętrznych⁶⁴. Trzymał się prosto jak sztaba, miał nieduże faworyty⁶⁵ i wąs do góry; szyję okręcał czarną chustką i nosił srebrny kolczyk w uchu.

Mieszkaliśmy na Starym Mieście z ciotką, która urzędnikom prała i łątała bieliznę. Mieliśmy na czwartym piętrze dwa pokoiki, gdzie niewiele było dostatków, ale dużo radości, przynajmniej dla mnie. W naszej izdebce najokazalszym sprzętem był stół, na którym ojciec powróciwszy z biura kleił koperty; u ciotki zaś pierwsze miejsce zajmowała balia. Pamiętam, że w pogodne dni puszczałem na ulicy latawce, a w razie słoty wydmuchiwałem w izbie bańki mydlane.

⁶³ Napoleon IV – Eugeniusz Ludwik (1856–1879), syn Napoleona III, od roku 1870 przebywał w Anglii. Po śmierci ojca, w r. 1874 przybrał imię Napoleona IV jako pretendent do tronu cesarskiego. [przypis redakcyjny]

⁶⁴ *Komisja Spraw Wewnętrznych* – naczelny organ administracyjny w Królestwie Kongresowym, odpowiadający ministerstwu, ustanowiony konstytucją 1815 r., zniesiony w r. 1868. [przypis redakcyjny]

⁶⁵ *faworyty* – bokobrody. [przypis redakcyjny]

Na ścianach u ciotki wisieli sami święci; ale jakkolwiek było ich sporo, nie dorównali jednak liczbą Napoleonom, którymi ojciec przyozdabiał swój pokój. Był tam jeden Napoleon w Egipcie, drugi pod Wagram, trzeci pod Austerlitz, czwarty pod Moskwą, piąty w dniu koronacji, szósty w apoteozie⁶⁶. Gdy zaś ciotka zgorszona tyloma świeckimi obrazami, zawiesiła na ścianie mosiężny krucyfiks, ojciec, ażeby – jak mówił – nie obrazić Napoleona, kupił sobie jego brązowe popiersie i także umieścił je nad łóżkiem.

– Zobaczysz, niedowiarku – lamentowała nieraz ciotka – że za te sztuki będą cię pławić w smole.

– I!... Nie da mi cesarz zrobić krzywdy – odpowiadał ojciec.

Często przychodzili do nas dawni koledzy ojca: pan Domański, także woźny, ale z Komisji Skarbu⁶⁷, i pan Raczek, który na Dunaju⁶⁸ miał stragan z zieleniną. Prości to byli ludzie (nawet pan Domański trochę lubił anyżówkę), ale roztropni politycy. Wszyscy, nie wyłączając ciotki, twierdzili jak najbardziej stanowczo, że choć Napoleon I umarł w niewoli⁶⁹,

⁶⁶ *jeden Napoleon w Egipcie...* – obrazy przedstawiały niektóre ważniejsze momenty z życia Napoleona: wyprawę do Egiptu (1798), zwycięstwo nad Austrią pod Wagram (1809), zwycięstwo nad Austrią i Rosją pod Austerlitz (1805), wyprawę na Moskwę (1812), koronację Napoleona na cesarza (1804). [przypis redakcyjny]

⁶⁷ *Komisja Skarbu* – Komisja Finansów i Skarbu odpowiadała dzisiejszemu Ministerstwu Finansów; ustanowiona przez konstytucję 1815 r., zniesiona w r. 1867. [przypis redakcyjny]

⁶⁸ Dunaj – ulica w Warszawie na Starym Mieście (zupełnie zniszczona w czasie powstania warszawskiego). [przypis redakcyjny]

⁶⁹ *Napoleon I umarł w niewoli* – angielskiej w r. 1821 na wyspie Św. Heleny (na

ród Bonapartych jeszcze wypłynie. Po pierwszym Napoleonie znajdzie się jakiś drugi, a gdyby i ten źle skończył, przyjdzie następny, dopóki jeden po drugim nie uporządkują świata.

– Trzeba być zawsze gotowym na pierwszy odgłos! – mówił mój ojciec.

– Bo nie wiecie dnia ani godziny – dodawał pan Domański.

A pan Raczek, trzymając fajkę w ustach, na znak potwierdzenia pluł aż do pokoju ciotki.

– Napluj mi acan⁷⁰ w balie, to ci dam!... – wołała ciotka.

– Może jejmość i dasz, ale ja nie wezmę – mruknął pan Raczek plując w stronę komina.

– U... cóż to za chamy te całe grenadierzyska! – gniewała się ciotka.

– Jejmości zawsze smakowali ułani. Wiem, wiem...

Później pan Raczek ożenił się z moją ciotką...

...Chcąc, ażebym zupełnie był gotów, gdy wybije godzina sprawiedliwości, ojciec sam pracował nad moją edukacją.

Nauczył mnie czytać, pisać, kleić koperty, ale nade wszystko – musztrować się. Do musztry zapędzał mnie w bardzo wczesnym dzieciństwie, kiedy mi jeszcze zza pleców wyglądała koszula. Dobrze to pamiętam, gdyż ojciec komenderując: „Pół obrotu na prawo!” albo „Lewe ramię naprzód – marsz!...”, ciągnął mnie w odpowiednim kierunku za ogon tego ubrania.

Oceanie Atlantyckim). [przypis redakcyjny]

⁷⁰ acan – wyrażenie lekceważące, skrócone, zamiast „wasz-mość pan”. [przypis redakcyjny]

Była to najdokładniej prowadzona nauka.

Nieraz w nocy budził mnie ojciec krzykiem: „Do broni!...”, musztrował pomimo wymyślań i łez ciotki i kończył zdaniem:

– Ignaś! zawsze bądź gotów, wisusie, bo nie wiemy dnia ani godziny... Pamiętaj, że Bonapartów Bóg zesłał, ażeby zrobili porządek na świecie, a dopóty nie będzie porządku ani sprawiedliwości, dopóki nie wypełni się testament cesarza.

Nie mogę powiedzieć, ażeby niezachwianą wiarę mego ojca w Bonapartych i sprawiedliwość podzieliali dwaj jego koledzy. Nieraz pan Raczek, kiedy mu dokuczył ból w nodze, klnąc i stękając mówił:

– E! wiesz, stary, że już za długo czekamy na nowego Napoleona. Ja siwieć zaczynam i coraz gorzej podupadam, a jego jak nie było, tak i nie ma. Niedługo porobią się z nas dziady pod kościół, a Napoleon po to chyba przyjdzie, ażeby z nami śpiewać godzinki.

– Znajdzie młodych.

– Co za młodych! Lepsi z nich przed nami poszli w ziemię, a najmłodsi – diabła warci. Już są między nimi i tacy, co o Napoleonie nie słyszeli.

– Mój słyszał i zapamięta – odparł ojciec mrugając okiem w moją stronę.

Pan Domański jeszcze bardziej upadał na duchu.

– Świat idzie do gorszego – mówił trzęsąc głową. – Wikt coraz droższy, za kwaterę zabraliby ci całą pensję, a nawet co się tyczy anyżówki, i w tym jest szachrajstwo. Dawniej rozweseliłeś się

kieliszkiem, dziś po szklance jesteś taki czczy, jakbyś się napił wody. Sam Napoleon nie doczekałby się sprawiedliwości!

A na to odpowiedział ojciec:

– Będzie sprawiedliwość, choćby i Napoleona nie stało. Ale i Napoleon się znajdzie.

– Nie wierzę – mruknął pan Raczek.

– A jak się znajdzie, to co?... – spytał ojciec.

– Nie doczekamy tego.

– Ja doczekam – odparł ojciec – a Ignasz doczeka jeszcze lepiej.

Już wówczas zdania mego ojca głęboko wyrzywały mi się w pamięci, ale dopiero późniejsze wypadki nadały im cudowny, nieomal proroczy charakter.

Około roku 1840 ojciec zaczął niedomagać. Czasami po parę dni nie wychodził do biura, a wreszcie na dobre legł w łóżku.

Pan Raczek odwiedzał go co dzień, a raz patrząc na jego chude ręce i wyżółkłe policzki szepnął:

– Hej! stary, już my chyba nie doczekamy się Napoleona.

Na co ojciec spokojnie odparł:

– Ja tam nie umrę, dopóki o nim nie usłyszę.

Pan Raczek pokiwał głową, a ciotka łzy otarła myśląc, że ojciec bredzi. Jak tu myśleć inaczej, jeżeli śmierć już kołatała do drzwi, a ojciec jeszcze wyglądał Napoleona...

Było już z nim bardzo źle, nawet przyjął ostatnie sakramenta, kiedy w parę dni później wbiegł do nas pan Raczek dziwnie wzburzony i stojąc na środku izby zawołał:

– A wiesz, stary, że znalazł się Napoleon⁷¹?...

– Gdzie? – krzyknęła ciotka.

– Jużci we Francji.

Ojciec zerwał się, lecz znowu upadł na poduszki. Tylko wyciągnął do mnie rękę i patrząc wzrokiem, którego nie zapomnę, wyszeptał:

– Pamiętaj!... Wszystko pamiętaj...

Z tym umarł.

W późniejszym życiu przekonałem się, jak proroczymi były poglądy ojca. Wszyscy widzieliśmy drugą gwiazdę napoleońską, która obudziła Włochy i Węgry⁷²; a chociaż spadła pod Sedanem⁷³, nie wierzę w jej ostateczne zgaśnięcie. Co mi tam Bismarck, Gambetta albo Beaconsfield! niesprawiedliwość dopóty będzie władać światem, dopóki nowy Napoleon nie urośnie.

W parę miesięcy po śmierci ojca pan Raczek i pan Domański

⁷¹ *znalazł się Napoleon* – mowa o Ludwiku Napoleonie (tj. Napoleonie III), który jako pretendent do tronu francuskiego próbował go dwukrotnie zdobyć przez zamach stanu. Drugi zamach miał miejsce dnia 6 sierpnia 1840 r., kiedy Ludwik Napoleon powrócił z Anglii, gdzie przebywał na emigracji, i z grupą oficerów–bonapartystów wylądował w Wimereux. W Boulogne oddał się pod jego rozkazy tamtejszy garnizon wojskowy. [przypis redakcyjny]

⁷² *druga gwiazda napoleońska...* – Rzecki w naiwnym kulcie dla dynastii napoleońskiej i w przekonaniu, że o biegu historii decydują wielcy ludzie, uważa Wiosnę Ludów za rezultat działalności Ludwika Napoleona. [przypis redakcyjny]

⁷³ *pod Sedanem* – w Ardenach, nad Mozą. W czasie wojny francusko-niemieckiej, 2 września 1870 wojska francuskie poniosły tam straszliwą klęskę, a Napoleon III dostał się do niewoli. [przypis redakcyjny]

wraz z ciotką Zuzanną zebrali się na radę: co ze mną począć? Pan Domański chciał mnie zabrać do swoich biur i powoli wypromować na urzędnika; ciotka zalecała rzemiosło, a pan Raczek zieleniarstwo. Lecz gdy zapytano mnie: do czego mam ochotę? odpowiedziałem, że do sklepu.

– Kto wie, czy to nie będzie najlepsze – zauważył pan Raczek.
– A do jakiegoż byś chciał kupca?

– Do tego na Podwalu⁷⁴, co ma we drzwiach pałasz, a w oknie kozaka.

– Wiem – wtrąciła ciotka. – On chce do Mincla.

– Można spróbować – rzekł pan Domański. – Wszyscy przecież znamy Mincla⁷⁵.

Pan Raczek na znak zgody plunął aż w komin.

– Boże miłosierny – jęknęła ciotka – ten drab już chyba na mnie pluć zacznie, kiedy brata nie stało... Oj! nieszczęśliwa ja sierota!...

– Wielka rzecz! – odezwał się pan Raczek. – Wyjdź jejmość za mąż, to nie będziesz sierotą.

– A gdzież ja znajdę takiego głupiego, co by mnie wziął?

– Phi! może i ja bym się ożenił z jejmością, bo nie ma mnie kto smarować – mruknął pan Raczek, ciężko schylając się do ziemi, ażeby wypukać popiół z fajki. Ciotka rozplakała się, a

⁷⁴ Podwale – jedna z ruchliwych ulic na Starym Mieście, wychodząca z placu Zamkowego. [przypis redakcyjny]

⁷⁵ Mincel – wśród mieszkańców Lublina do dziś utrzymuje się wersja, że pierwowzorem Minclów z *Lalki* byli lubelscy kupcy tegoż nazwiska. [przypis redakcyjny]

wtedy odezwał się pan Domański:

– Po co robić duże ceregiele. Jejmość nie masz opieki, on nie ma gospodyni; pobierzcie się i przygarnijcie Ignasia, a będziecie nawet mieli dziecko. Jeszcze tanie dziecko, bo Mincel da mu wikt i kwaterę, a wy tylko odzież.

– He?... – spytał pan Raczek patrząc na ciotkę.

– No, oddajcie pierwaj chłopca do terminu, a potem... może się odważyć – odparła ciotka. – Zawsze miałam przeczucie, że marnie skończę...

– To i jazda do Mincla! – rzekł pan Raczek podnosząc się z krzeselka. – Tylko jejmość nie zrób mi zawodu! – dodał grożąc ciotce pięścią.

Wyszli z panem Domańskim i może w półtorej godziny wrócili obaj mocno zarumienieni. Pan Raczek ledwie oddychał, a pan Domański z trudnością trzymał się na nogach, podobno z tego, że nasze schody były bardzo niewygodne.

– Cóż?... – spytała ciotka.

– Nowego Napoleona wsadzili do prochowni!⁷⁶ – odpowiedział pan Domański.

– Nie do prochowni, tylko do fortocy. A–u... A–u... – dodał pan Raczek i rzucił czapkę na stół.

– Ale z chłopcem co?

⁷⁶ *Nowego Napoleona wsadzili do prochowni* – zamach stanu Ludwika Napoleona w r. 1840 nie powiódł się. Ludwik Napoleon został wzięty do niewoli, skazany przez Izbę Parów na dożywotnie więzienie i 7 października 1840 r. osadzony w twierdzy Ham (w północnej Francji). Prochownią nazywano więzienie w Warszawie, które mieściło się w dawnej prochowni przy ulicach Rybaki i Bolesć. [przypis redakcyjny]

– Jutro ma przyjść do Mincla z odzieniem i bielizną – odrzekł pan Domański. – Nie do fortecy A–u..., A–u... tylko do Ham–ham czy Cham... bo nawet nie wiem...

– Zwariowaliście, pijaki! – krzyknęła ciotka chwytając pana Raczkę za ramię.

– Tylko bez poufałości! – oburzył się pan Raczek. – Po ślubie będzie poufałość, teraz... Ma przyjść do Mincla jutro z bielizną i odzieniem... Nieszczęsny Napoleonie!...

Ciotka wypchnęła za drzwi pana Raczkę, potem pana Domańskiego i wyrzuciła za nimi czapkę.

– Precz mi stąd, pijaki!

– Wiwat Napoleon! – zawołał pan Raczek, a pan Domański zaczął śpiewać:

Przechodniu, gdy w tę stronę zwrócisz swoje oko,

Przybliż się i rozważaj ten napis głęboko...

Przybliż się i rozważaj ten napis głęboko.

Głos jego stopniowo cichnął, jakby zagłębiając się w studni, potem umilkł na schodach, lecz znowu doleciał nas z ulicy. Po chwili zrobił się tam jakiś hałas, a gdy wyjrzałem oknem, zobaczyłem, że pana Raczkę policjant prowadził do ratusza⁷⁷.

Takie to wypadki poprzedziły moje wejście do zawodu kupieckiego.

⁷⁷ Ratusz mieścił się w przebudowanym pałacu Jabłonowskiego na placu Teatralnym (zniszczony w czasie powstania warszawskiego). W budynku ratusza znajdowały się biura policyjne. [przypis redakcyjny]

Sklep Mincla znałem od dawna, ponieważ ojciec wysyłał mnie do niego po papier, a ciotka po mydło. Zawsze biegłem tam z radosną ciekawością, ażeby napatrzeć się wiszącym za szybami zabawkom. O ile pamiętam, był tam w oknie duży kozak, który sam przez się skakał i machał rękoma, a we drzwiach – bęben, pałasz i skórzany koń z prawdziwym ogonem.

Wnętrze sklepu wyglądało jak duża piwnica, której końca nigdy nie mogłem dojrzeć z powodu ciemności. Wiem tylko, że po pieprz, kawę i liście bobkowe szło się na lewo do stołu, za którym stały ogromne szafy od sklepienia do podłogi napełnione sufladami. Papier zaś, atrament, talerze i szklanki sprzedawano przy stole na prawo, gdzie były szafy z szybami, a po mydło i krochmal szło się w głąb sklepu, gdzie było widać beczki i stosy pak drewnianych.

Nawet sklepienie było zajęte. Wisiały tam długie szeregi pęcherzy naładowanych gorczycą i farbami, ogromna lampa z daszkiem, która w zimie paliła się cały dzień, sieć pełna korków do butelek, wreszcie – wypchany krokodylek, długi może na półtora łokcia⁷⁸.

Właścicielem sklepu był Jan Mincel, starzec z rumianą twarzą i kosmykiem siwych włosów pod brodą. W każdej porze dnia siedział on pod oknem na fotelu obitym skórą, ubrany w niebieski barchanowy kaftan, biały fartuch i takąż szlafmycę. Przed nim na stole leżała wielka księga, w której notował dochód, a tuż

⁷⁸ łokieć – dawna miara długości, łokieć warszawski – ok. 58 cm. [przypis redakcyjny]

nad jego głową wisiał pęk dyscyplin⁷⁹, przeznaczonych głównie na sprzedaż. Starzec odbierał pieniądze, zdawał gościom resztę, pisał w księdze, niekiedy drzemał, lecz pomimo tylu zajęć, z niepojętą uwagą czuwał nad biegiem handlu w całym sklepie. On także, dla uciechy przechodniów ulicznych, od czasu do czasu pociągał za sznurek skaczącego w oknie kozaka i on wreszcie, co mi się najmniej podobało, za rozmaite przestępstwa karciał nas jedną z pęka dyscyplin.

Mówię: nas, bo było nas trzech kandydatów do kary cielesnej: ja tudzież dwaj synowcy starego – Franc i Jan Minclowie.

Czułości pryncypała i jego biełości w używaniu sarniej nogi⁸⁰ doświadczyłem zaraz na trzeci dzień po wejściu do sklepu.

Franc odmierzył jakiejś kobiecie za dziesięć groszy rodzyneków. Widząc, że jedno ziarno upadło na kontuar (stary miał w tej chwili oczy zamknięte), podniosłem je nieznacznie i zjadłem. Chciałem właśnie wyjąć pestkę, która wcisnęła mi się między zęby, gdy uczułem na plecach coś, jakby mocne dotknięcie rozpalonego żelaza.

– A, szelma! – wrzasnął stary Mincel i nim zdałem sobie sprawę z sytuacji, przeciągnął po mnie jeszcze parę razy dyscyplinę, od wierzchu głowy do podłogi.

Zwinąłem się w kłębek z bólu, lecz od tej pory nie śmiałem wziąć do ust niczego w sklepie. Migdały, rodzyнки, nawet rożki

⁷⁹ *dyscyplina* – przyrząd (kilka rzemieni umocowanych do rękojeści) służący do wymierzania kar cielesnych. [przypis edytorski]

⁸⁰ *sarnia noga* – rękojeść dyscypliny z wykonana z sarniej nogi. [przypis redakcyjny]

miały dla mnie smak pieprzu.

Urządziwszy się ze mną w taki sposób, stary zawiesił dyscyplinę na pęku, wpisał rodzyнки i z najdobrodusznieszą miną począł ciągnąć za sznurek kozaka. Patrząc na jego półuśmiechniętą twarz i przymrużone oczy, prawie nie mogłem wierzyć, że ten jowialny staruszek posiada taki zamach w rękę. I dopiero teraz spostrzegłem, że ów kozak widziany z wnętrza sklepu wydaje się mniej zabawnym niż od ulicy.

Sklep nasz był kolonialno-galanteryjno-mydlarski. Towary kolonialne wydawał gościom Franc Mincel, młodzieniec trzydziestokilkuletni, z rudą głową i zaspaną fizjognomią⁸¹. Ten najczęściej dostawał dyscyplinę od stryja, gdyż palił fajkę, późno wchodził za kontuar, wymykał się z domu po nocach, a nade wszystko niedbale ważył towar. Młodszy zaś, Jan Mincel, który zawiadywał galanterią i obok niezgrabnych ruchów odznaczał się łagodnością, był znowu bity za wykradanie kolorowego papieru i pisywanie na nim listów do panien.

Tylko August Katz, pracujący przy mydle, nie ulegał żadnym surowcowym⁸² upomnieniom. Mizerny ten człeczyna odznaczał się niezwykle punktualnością. Najraniej przychodził do roboty, krajał mydło i ważył krochmal jak automat; jadł, co mu podano, w najciemniejszym kącie sklepu, prawie wstydząc się tego, że doświadcza ludzkich potrzeb. O dziesiątej wieczorem gdzieś znikał.

⁸¹ *fizjognomia* (a. *fizjonomia*) – twarz. [przypis edytorski]

⁸² *surowcowy* – surowiec: rzemień wyrznięty ze skóry surowej. [przypis redakcyjny]

W tym otoczeniu upłynęło mi osiem lat, z których każdy dzień był podobny do wszystkich innych dni, jak kropla jesiennego deszczu do innych kropli jesiennego deszczu. Wstawałem rano o piątej, myłem się i zmyślałem sklep. O szóstej otwierałem główne drzwi tudzież okiennicę. W tej chwili gdzieś z ulicy zjawiał się August Katz, zdejmował surdut, kładł fartuch i milcząc stawał między beczką mydła szarego a kolumną ułożoną z cegiełek mydła żółtego. Potem drzwiami od podwórka wbiegał stary Mincel mrucząc: *Morgen!*⁸³, poprawiał szlafmycę, dobywał z szuflady księgę, wciskał się w fotel i parę razy ciągnął za sznurek kozaka. Dopiero po nim ukazywał się Jan Mincel i ucałowawszy stryja w rękę stawał za swoim kontuarem, na którym podczas lata łapał muchy, a w zimie kreślił palcem albo pięścią jakieś figury.

Franca zwykle sprowadzano do sklepu. Wchodził z oczyma zaspanymi, ziewający, obojętnie całował stryja w ramię i przez cały dzień skrobał się w głowę w sposób, który mógł oznaczać wielką senność lub wielkie zmartwienie. Prawie nie było ranka, ażeby stryj patrząc na jego manewry nie wykrzywił mu się i nie pytał:

– No... a gdzie, ty szelma, latała?

Tymczasem na ulicy budził się szmer i za szybami sklepu coraz częściej przesuwali się przechodnie. To służąca, to drwal, jejmość w kapturze, to chłopak od szewca, to jegomość w

⁸³ *Morgen* – skrócone powitanie poranne w języku niemieckim: dzień dobry.
[przypis redakcyjny]

rogatywce szli w jedną i drugą stronę jak figury w ruchomej panoramie⁸⁴. Środkiem ulicy toczyły się wozy, beczki, bryczki – tam i na powrót... Coraz więcej ludzi, coraz więcej wozów, aż nareszcie utworzył się jeden wielki potok uliczny, z którego co chwilę ktoś wpadał do nas za sprawunkiem.

– Pieprzu za trojaka⁸⁵...

– Proszę funt⁸⁶ kawy...

– Niech pan da ryżu...

– Pół funta mydła...

– Za grosz liści bobkowych...

Stopniowo sklep zapełniał się po największej części służącymi i ubogo odzianymi jejmościami. Wtedy Franc Mincel krzywił się najwięcej: otwierał i zamykał szuflady, obwijał towar w tutki⁸⁷ z szarej bibuły, wbiegał na drabinkę, znowu zwiżał, robiąc to wszystko z żalosną miną człowieka, któremu nie pozwalają ziewnąć. W końcu zbierało się takie mnóstwo interesantów, że i Jan Mincel, i ja musieliśmy pomagać Francowi w sprzedaży.

Stary wciąż pisał i zdawał resztę, od czasu do czasu dotykając palcami swojej białej szlafmicy, której niebieski kutasik zwieszał mu się nad okiem. Czasem szarpnął kozaka, a niekiedy z

⁸⁴ *panorama* – rozległy obraz wewnątrz okrągłego budynku, dający widzom złudzenie rzeczywistości. [przypis redakcyjny]

⁸⁵ *trojak* – trzy grosze (pół kopiejki), drobna polska moneta będąca jeszcze wówczas w obiegu. [przypis redakcyjny]

⁸⁶ *funt* – dawna jednostka wagi, funt warszawski był równy dzisiejszym 405 gramom. [przypis redakcyjny]

⁸⁷ *tutki* – (z niem.) tu: zwinięte torebki papierowe. [przypis redakcyjny]

szybkością błyskawicy zdejmował dyscyplinę i ćwiknął⁸⁸ nią którego ze swych synowców. Nader rzadko mogłem zrozumieć: o co mu chodzi? synowcy bowiem niechętnie objaśniali mi przyczyny jego popędliwości.

Około ósmej napływ interesantów zmniejszał się. Wtedy w głębi sklepu ukazywała się gruba służąca z koszem bułek i kubkami (Franc odwracał się do niej tyłem), a za nią – matka naszego pryncypała, chuda staruszka w żółtej sukni, w ogromnym czepcu na głowie, z dzbankiem kawy w rękach. Ustawwszy na stole swoje naczynie, staruszka odzywała się schrypniętym głosem:

– *Gut Morgen, meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...*⁸⁹

I zaczynała rozlewać kawę w białe fajansowe kubki.

Wówczas zbliżał się do niej stary Mincel i całował ją w rękę mówiąc:

– *Gut Morgen, meine Mutter!*⁹⁰

Za co dostawał kubek kawy z trzema bułkami.

Potem przychodził Franc Mincel, Jan Mincel, August Katz, a na końcu ja. Każdy całował staruszkę w suchą rękę, porysowaną niebieskimi żyłami, każdy mówił:

– *Gut Morgen, Grossmutter!*⁹¹

⁸⁸ ćwiknąć (gwar.) – uderzyć. [przypis redakcyjny]

⁸⁹ *Gut Morgen, meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...* (niem.) – dzień dobry, moje dzieci, kawa jest już gotowa. [przypis redakcyjny]

⁹⁰ *Gut Morgen, meine Mutter!* (niem.) – dzień dobry, moja matko! [przypis redakcyjny]

⁹¹ *Gut Morgen, Grossmutter* (niem.) – dzień dobry, babciu! [przypis redakcyjny]

I otrzymywał należny mu kubek tudzież trzy bułki.

A gdyśmy z pośpiechem wypili naszą kawę, służąca zabierała pusty kosz i zamazane kubki, staruszka swój dzbanek i obie znikwały.

Za oknem wciąż toczyły się wozy i płynął w obie strony potok ludzki, z którego co chwila odrywał się ktoś i wchodził do sklepu.

– Proszę krochmalu...

– Dać migdałów za dziesiątkę...

– Lukrecji⁹² za grosz...

– Szarego mydła...

Około południa zmniejszał się ruch za kontuarem towarów kolonialnych, a za to coraz częściej zjawiali się interesanci po stronie prawej sklepu, u Jana. Tu kupowano talerze, szklanki, żelazka, młynki, lalki, a niekiedy duże parasole, szafirowe lub pąsowe. Nabywcy, kobiety i mężczyźni, byli dobrze ubrani, rozsiadali się na krzesłach i kazali sobie pokazywać mnóstwo przedmiotów targując się i żądając coraz to nowych.

Pamiętam, że kiedy po lewej stronie sklepu męczyłem się bieganiną i zawijaniem towarów, po prawej – największe strapienie robiła mi myśl: czego ten a ten gość chce naprawdę i – czy co kupi? W rezultacie jednak i tutaj dużo się sprzedawało; nawet dzienny dochód z galanterii był kilka razy większy aniżeli z towarów kolonialnych i mydła.

Stary Mincel i w niedzielę bywał w sklepie. Rano modlił się, a

⁹² *Lukrecja* – wyciąg z korzenia drzewa lukrecjowego o charakterystycznym słodko-miętłym smaku, stosowany w lecznictwie. [przypis redakcyjny]

około południa kazał mi przychodzić do siebie na pewien rodzaj lekcji.

– *Sag mir*⁹³ – powiedz mi: *was ist das?* co to jest? *Das ist Schublade* – to jest szublada. Zobacz, co jest w te szublade. *Es ist Zimmt* – to jest cynamon. Do czego potrzebuje się cynamon? do zupe, do legumine potrzebuje się cynamon. Co to jest cynamon? Jest taki kora z jedne drzewo. Gdzie mieszka taki drzewo cynamon? W Indii mieszka taki drzewo. Patrz na globus – tu leży Indii. Daj mnie za dziesiątkę cynamon... *O, du Spitzbub!*⁹⁴ jak tobie dam dziesięć razy dyscyplin, ty będziesz wiedział, ile sprzedać za dziesięć groszy cynamon...

W ten sposób przechodziliśmy każdą szufladę w sklepie i historię każdego towaru. Gdy zaś Mincel nie był zmęczony, dyktował mi jeszcze zadania rachunkowe, kazał sumować księgi albo pisywać listy w interesach naszego sklepu.

Mincel był bardzo porządny, nie cierpiał kurzu, ścierał go z najdrobniejszych przedmiotów. Jednych tylko dyscyplin nigdy nie potrzebował okurzać dzięki swoim niedzielnym wykładom buchalterii⁹⁵, geografii⁹⁶ i towaroznawstwa.

Powoli, w ciągu paru lat, tak przywykliśmy do siebie, że stary Mincel nie mógł obejść się beze mnie, a ja nawet jego

⁹³ *Sag mir* (niem.) – powiedz mi. (Tu i w dalszym ciągu rozmowy stary Mincel sam tłumaczy łamaną polszczyzną wyrażenia niemieckie.) [przypis redakcyjny]

⁹⁴ *O, du Spitzbub!*... (niem.) – O, ty łobuzie!... [przypis redakcyjny]

⁹⁵ *buchalteria* – księgowość, rachunkowość. [przypis edytorski]

⁹⁶ *jeografia* – geografia. [przypis edytorski]

dyscypliny począłem uważać za coś, co należało do rodzinnych stosunków. Pamiętam, że nie mogłem utulić się z żalu, gdy raz zepsułem kosztowny samowar, a stary Mincel zamiast chwycić za dyscyplinę – odezwał się:

– Co ty zrobiła, Ignac?... Co ty zrobiła!...

Wolałbym dostać cięgi wszystkimi dyscyplinami, aniżeli znowu kiedy usłyszeć ten drżący głos i zobaczyć wyleknione spojrzenie pryncypała.

Obiady w dzień powszedni jadalіśmy w sklepie, naprzód dwaj młodzi Minclowie i August Katz, a następnie ja z pryncypałem. W czasie święta wszyscy zbieraliśmy się na górze i zasiadaliśmy do jednego stołu. Na każdą Wigilię Bożego Narodzenia Mincel dawał nam podarunki, a jego matka w największym sekrecie urządzała nam (i swemu synowi) choinkę. Wreszcie w pierwszym dniu miesiąca wszyscy dostawaliśmy pensję (ja brałem 10 złotych). Przy tej okazji każdy musiał wylegitymować się z porobionych oszczędności: ja, Katz, dwaj synowcy i służba. Nierobienie oszczędności, a raczej nieodkładanie co dzień choćby kilku groszy, było w oczach Mincla takim występkiem jak kradzież. Za mojej pamięci przewinęło się przez nasz sklep paru subiektów i kilku uczniów, których pryncypał dlatego tylko usunął, że nic sobie nie oszczędzili. Dzień, w którym się to wydało, był ostatnim ich pobytu. Nie pomogły obietnice, zakłęcia, całowania po rękach, nawet upadanie do nóg. Stary nie ruszył się z fotelu⁹⁷, nie patrzył na petentów⁹⁸, tylko

⁹⁷ *fotelu* – tej formy Prus używa konsekwentnie w całym utworze; dziś: fotela.

wskazując palcem drzwi wymawiał jeden wyraz: *fort! fort!...*⁹⁹ Zasada robienia oszczędności stała się już u niego chorobliwym dziwactwem.

Dobry ten człowiek miał jedną wadę, oto – nienawidził Napoleona. Sam nigdy o nim nie wspominał, lecz na dźwięk nazwiska Bonapartego dostawał jakby ataku wścieklizny; siniął na twarzy, pluł i wrzeszczał: szelma! szpitzbub! rozbójnik!...

Usłyszawszy pierwszy raz tak szkaradne wymysły nieomal straciłem przytomność. Chciałem coś hardego powiedzieć staremu i uciec do pana Raczka, który już ożenił się z moją ciotką. Nagle dostrzegłem, że Jan Mincel zasłoniwszy usta dłonią coś mruczy i robi miny do Katza. Wyteżam słuch i – oto co mówi Jan:

– Baje stary, baje! Napoleon był chwat, choćby za to samo, że wygnał hyclów Szwabów. Nieprawda, Katz?

A August Katz zmrużył oczy i dalej krajał mydło.

Oślupiałem ze zdziwienia, lecz w tej chwili bardzo polubiłem Jana Mincla i Augusta Katza. Z czasem przekonałem się, że w naszym małym sklepie istnieją aż dwa wielkie stronnictwa, z których jedno, składające się ze starego Mincla i jego matki, bardzo lubiło Niemców, a drugie, złożone z młodych Minclów i Katza, nienawidziło ich. O ile pamiętam, ja tylko byłem neutralny.

[przypis edytorski]

⁹⁸ *petent* – tu: proszący. [przypis redakcyjny]

⁹⁹ *fort! fort!...* (niem.) – precz! precz!... [przypis redakcyjny]

W roku 1846 doszły nas wieści o ucieczce Ludwika Napoleona z więzienia¹⁰⁰. Rok ten był dla mnie ważny, gdyż zostałem subiektem, a nasz pryncypał, stary Jan Mincel, zakończył życie z powodów dosyć dziwnych.

W roku tym handel w naszym sklepie nieco osłabnął, już to z racji ogólnych niepokojów¹⁰¹, już z tej, że i pryncypał za często i za głośno wymyślał na Ludwika Napoleona. Ludzie poczęli zniechęcać się do nas, a nawet ktoś (może Katz?...) wybił nam jednego dnia szybę w oknie.

Otóż wypadek ten, zamiast całkiem odstręczyć publiczność, zwabił ją do sklepu i przez tydzień mieliśmy tak duże obroty jak nigdy; aż zazdrościli nam sąsiedzi. Po tygodniu jednakże sztuczny ruch na nowo osłabnął i znowu były w sklepie pustki.

Pewnego wieczora w czasie nieobecności pryncypała, co już

¹⁰⁰ *ucieczka Ludwika Napoleona z więzienia* – 25 maja 1846 r. Ludwikowi Napoleonowi udało się uciec z francuskiej twierdzy Ham do Anglii. [przypis redakcyjny]

¹⁰¹ *ogólne niepokoje...* – od roku 1840 wzmogła się we wszystkich zaborach działalność spiskowa. Tajne organizacje demokratyczne przygotowywały ogólnopolskie powstanie, wyznaczając termin na 22 lutego 1846 roku. W Warszawie spisek rozgałęziony był głównie wśród inteligencji i drobnomieszczaństwa, docierał również do proletariatu. Policja pruska i rosyjska wpadły jednak na trop organizacji i przeprowadziły liczne aresztowania, co udaremniło wybuch powstania (poza Krakowskiem). W Królestwie jedyną próbą walki był nieudany napad Pantaleona Potockiego na Siedlce. W następstwie tego władze carskie ogłosiły stan oblężenia; czterech uczestników napadu skazano na śmierć, wiele osób na zesłanie i ciężkie roboty. W początkach 1847 roku działalność konspiracyjna została w Królestwie wznowiona. Na wiosnę 1848 roku policja aresztowała niektórych uczestników spisku, a w ciągu dwu następnych lat rozgromiła go zupełnie. [przypis redakcyjny]

stanowiło fakt niezwykle, wpadł nam drugi kamień do sklepu. Przestraszeni Minclowie pobiegli na górę i szukali stryja, Katz poleciał na ulicę szukać sprawcy zniszczenia, a wtem ukazało się dwu policjantów ciągnących... Proszę zgadnąć kogo?... Ani mniej, ani więcej – tylko naszego pryncypała oskarżając go, że to on wybił szybę teraz, a zapewne i poprzednio...

Na próżno staruszek wypierał się: nie tylko bowiem widziano jego zamach, ale jeszcze znaleziono przy nim kamień... Poszedł też nieborak do ratusza.

Sprawa po wielu tłumaczeniach i wyjaśnieniach naturalnie zatarła się; ale stary od tej chwili zupełnie stracił humor i zaczął chudnąć. Pewnego zaś dnia usiadłszy na swym fotelu pod oknem już nie podniósł się z niego. Umarł oparty brodą na księdze handlowej, trzymając w ręce sznurek, którym poruszał kozaka.

Przez kilka lat po śmierci stryja synowcy prowadzili wspólnie sklep na Podwału i dopiero około 1850 roku podzielili się w ten sposób, że Franc został na miejscu z towarami kolonialnymi, a Jan z galanterią i mydłem przeniósł się na Krakowskie, do lokalu, który zajmujemy obecnie. W kilka lat później Jan ożenił się z piękną Małgorzatą Pfeifer, ona zaś (niech spoczywa w spokoju) zostawszy wdową oddała rękę swoją Stasiowi Wokulskiemu, który tym sposobem odziedziczył interes prowadzony przez dwa pokolenia Minclów.

Matka naszego pryncypała żyła jeszcze długi czas; kiedy w roku 1853 wróciłem z zagranicy, zastałem ją w najlepszym zdrowiu. Zawsze schodziła rano do sklepu i zawsze mówiła:

– *Gut Morgen meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...*

Tylko głos jej z roku na rok przyciszał się, dopóki wreszcie nie umilknął na wieki.

Za moich czasów pryncypał był ojcem i nauczycielem praktykantów i najczujniejszym sługą sklepu; jego matka lub żona były gospodyniami, a wszyscy członkowie rodziny pracownikami. Dziś pryncypał bierze tylko dochody z handlu, najczęściej nie zna go i najwięcej troszczy się o to, ażeby jego dzieci nie zostały kupcami. Nie mówię tu o Stasiu Wokulskim, który ma szersze zamiary, tylko myślę w ogólności, że kupiec powinien siedzieć w sklepie i wyrabiać sobie ludzi, jeżeli chce mieć porządných.

Słysząc, że Andrassy zażądał sześćdziesięciu milionów guldenów na nieprzewidziane wydatki¹⁰². Więc i Austria zbroi się, a tymczasem Staś pisze mi, że – nie będzie wojny. Ponieważ nigdy nie był fanfaronem, więc chyba być musi bardzo wtajemniczonym w politykę; a w takim razie siedzi w Bułgarii nie przez miłość do handlu.

Ciekawym, co on robi! Ciekawym!...

¹⁰² Andrassy zażądał sześćdziesięciu milionów guldenów – po zawarciu pokoju w San Stefano, w marcu 1878 r., zebrały się w Wiedniu delegacje sejmu austriackiego i parlamentu węgierskiego, od których ówczesny minister spraw zagranicznych, hr. Juliusz Andrassy (1823–1890), zażądał nadzwyczajnych kredytów w wysokości 60 milionów guldenów [przypis redakcyjny]

IV. Powrót

Jest niedziela, szkaradny dzień marcowy; zbliża się południe, lecz ulice Warszawy są prawie puste. Ludzie nie wychodzą z domów albo kryją się w bramach, albo skuleni uciekają przed siekącym ich deszczem i śniegiem. Prawie nie słysząc turkotu dorożek, gdyż dorożki stoją. Dorożkarze opuściwszy kozioł wchodzą pod budy swoich powozów, a zmoczone deszczem i zasypane śniegiem konie wyglądają tak, jakby pragnęły schować się pod dyszel i nakryć własnymi uszami.

Pomimo, a może z powodu tak brzydkiego czasu pan Ignacy siedzący w swoim zakratowanym pokoju jest bardzo wesół. Interesa sklepowe idą wybornie, wystawa w oknach na przyszły tydzień już ułożona, a nade wszystko – lada dzień ma powrócić Wokulski. Nareszcie pan Ignacy zda komuś rachunki i ciężar kierowania sklepem, najdalej zaś za dwa miesiące wyjedzie sobie na wakacje. Po dwudziestu pięciu latach pracy – i jeszcze jakiej! – należy mu się ten wypoczynek. Będzie rozmyślał tylko o polityce, będzie chodził, będzie biegał i skakał po polach i lasach, będzie świstał, a nawet śpiewał jak za młodu. Gdyby nie te bóle reumatyczne, które zresztą na wsi ustąpią...

Więc choć deszcz ze śniegiem bije w zakratowane okna, choć pada tak gęsto, że w pokoju jest mrok, pan Ignacy ma wiosenny humor. Wydobywa spod łóżka gitarę, dostraja ją i wzięwszy kilka akordów, zaczyna śpiewać przez nos pieśń bardzo romantyczną:

Wiosna się budzi w całej naturze
Witana rzewnym słowików pieniem;
W zielonym gaju, ponad strumieniem,
Kwitną prześliczne dwie róże.

Czarowne te dźwięki budzą śpiącego na kanapie pudła, który poczyną przypatrywać się jedynym okiem swemu panu. Dźwięki te robią więcej, gdyż wywołują na podwórzu jakiś ogromny cień, który staje w zakratowanym oknie i usiłuje zajrzeć do wnętrza izby, czym zwraca na siebie uwagę pana Ignacego.

„Tak, to musi być Paweł” – myśli pan Ignacy.

Ale Ir jest innego zdania, zeskakuje bowiem z kanapy i z niepokojem wacha drzwi, jakby czuł kogoś obcego.

Słychać szmer w sieniach. Jakaś ręka poszukuje klamki, nareszcie otwierają się drzwi i na progu staje ktoś odziany w wielkie futro upstrzone śniegiem i kroplami deszczu.

– Kto to? – pyta się pan Ignacy i na twarz występują mu silne rumieńce.

– Jużes o mnie zapomniał, stary?... – cicho i powoli odpowiada gość.

Pan Ignacy miesza się coraz bardziej. Zasadza na nos binokle, które mu spadają, potem wydobywa spod łóżka trumienkowate pudło, śpiesznie chowa gitarę i toż samo pudełko wraz z gitarą kładzie na swoim łóżku.

Tymczasem gość zdjął wielkie futro i baranią czapkę, a jednooki Ir obwąchawszy go poczyną kręcić ogonem, łasić się i

z radosnym skomleniem przypadać mu do nóg.

Pan Ignacy zbliża się do gościa wzruszony i zgarbiony więcej niż kiedykolwiek.

– Zdaje mi się... – mówi zacierając ręce – zdaje mi się, że mam przyjemność...

Potem gościa prowadzi do okna mrugając powiekami.

– Staś... jak mi Bóg miły!...

Klepie go po wypukłej piersi, ściska za prawą i za lewą rękę, a nareszcie oparłszy na jego ostrzyżonej głowie swoją dłoń wykonywa nią taki ruch, jakby mu chciał maść wetrzeć w okolice ciemienia.

– Cha! cha! cha! – śmieje się pan Ignacy. – Staś we własnej osobie... Staś z wojny!... Cóż to, dopiero teraz przypomniałeś sobie, że masz sklep i przyjaciół? – dodaje, mocno uderzając go w łopatkę. – Niech mię diabli wezmą, jeżeli nie jesteś podobny do żołnierza albo marynarza, ale nigdy do kupca... Przez osiem miesięcy nie był w sklepie!... Co za pierś... co za łeb...

Gość także się śmiał. Objął Ignacego za szyję i po kilka razy gorąco ucałował go w oba policzki, które stary subiekt kolejno nadstawiał mu, nie oddając jednak pocałunków.

– No i cóż słyhać, stary, u ciebie? – odezwał się gość. – Wychudłeś, pobladłeś...

– Owszem, trochę nabieram ciała.

– Posiwiasteś... Jakże się masz?

– Wybornie. I w sklepie jest nieźle, trochę zwiększyły się nam obroty. W styczniu i lutym mieliśmy targu za dwadzieścia pięć

tysięcy rubli... Staś kochany!... Osiem miesięcy nie było go w domu... Bagatela... Może siądziesz?

– Rozumie się – odpowiedział gość siadając na kanapie, na której wnet umieścił się Ir i oparł mu głowę na kolanach.

Pan Ignacy przysunął sobie krzesło.

– Może co zjesz? Mam szynkę i trochę kawioru.

– Owszem.

– Może co wypijesz? Mam butelkę niezłego węgryna, ale tylko jeden cały kieliszek.

– Będę pił szklanką – odparł gość.

Pan Ignacy zaczął dreptać po pokoju, kolejno otwierając szafę, kuferek i stolik.

Wydobył wino i schował je na powrót, potem rozłożył na stole szynkę i kilka bułek. Ręce i powieki drżały mu i sporo czasu upłynęło, nim o tyle się uspokoił, że zgromadził na jeden punkt poprzednio wyliczone zapasy. Dopiero kieliszek wina przywrócił mu silnie zachwianą równowagę moralną.

Wokulski tymczasem jadł.

– No, cóż nowego? – rzekł spokojniejszym tonem pan Ignacy trącając gościa w kolano.

– Domyślałem się, że ci chodzi o politykę – odparł Wokulski.

– Będzie pokój.

– A po cóż zbroi się Austria?

– Zbroi się za sześćdziesiąt milionów guldenów?... Chce zabrać Bośnię i Hercegowinę¹⁰³.

¹⁰³ zabrać Bośnię i Hercegowinę – Bośnia; kraina w północno-zachodniej części

Ignacemu rozszerzyły się źrenice.

– Austria chce zabrać?... – powtórzył. – Za co?...

– Za co? – uśmiechnął się Wokulski. – Za to, że Turcja nie może jej tego zabronić.

– A cóż Anglia?

– Anglia także dostanie kompensatę.

– Na koszt Turcji?

– Rozumie się. Zawsze słabi ponoszą kosztą zatargów między silnymi.

– A sprawiedliwość? – zawołał Ignacy.

– Sprawiedliwym jest to, że silni mnożą się i rosną, a słabi giną. Inaczej świat stałby się domem inwalidów, co dopiero byłoby niesprawiedliwością.

Ignacy posunął się z krzesłem.

– I ty to mówisz, Stasiu?... Na serio, bez żartów?

Wokulski zwrócił na niego spokojne wejrzenie.

– Ja mówię – odparł. – Cóż w tym dziwnego? Czyliż to samo prawo nie stosuje się do mnie, do ciebie, do nas wszystkich?... Za dużo płakałem nad sobą, ażebym się miał rozczulać nad Turcją.

Pan Ignacy spuścił oczy i umilkł. Wokulski jadł.

– No, a jakże tobie poszło? – zapytał Rzecki już zwykłym tonem.

Wokulskiemu błysnęły oczy. Położył bułkę i oparł się o

Jugosławii na południe od rzeki Sawy (główne miasto Sarajewo). Hercegowina znajduje się między Bośnią a Czarnogórzem. Po zawarciu pokoju w San Stefano Austria zażądała okupacji Bośni i Hercegowiny, które należały wówczas do Turcji.
[przypis redakcyjny]

poręcz kanapy.

– Pamiętasz – rzekł – ile wzięłem pieniędzy, gdy z stąd wyjeżdżałem?

– Trzydzieści tysięcy rubli, całą gotówkę.

– A jak ci się zdaje: ile przywożem?

– Pięćdziesiąt... ze czterdzieści tysięcy... Zgadłem?... – pytał Rzecki, niepewnie patrząc na niego.

Wokulski nalał szklankę wina i wypił ją powoli.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy rubli, z tego dużą część w złocie – rzekł dobitnie. – A ponieważ kazałem zakupić banknoty, które po zawarciu pokoju sprzedam, więc będę miał przeszło trzysta tysięcy rubli...

Rzecki pochylił się ku niemu i otworzył usta.

– Nie bój się – ciągnął Wokulski. – Grosz ten zarobiłem uczciwie, nawet ciężko, bardzo ciężko. Cały sekret polega na tym, że miałem bogatego współnika i że kontentowałem się cztery i pięć razy mniejszym zyskiem niż inni. Toteż mój kapitał ciągle wzrastający był w ciągłym ruchu. – No – dodał po chwili – miałem też szalone szczęście... Jak gracz, któremu dziesięć razy z rzędu wychodzi ten sam numer w rulecie. Gruba gra?... prawie co miesiąc stawiałem cały majątek, a co dzień życie.

– I tylko po to jeździłeś tam? – zapytał Ignacy.

Wokulski drwiąco spojrzał na niego.

– Czy chciałeś, ażeby zostawiałem tureckim Wallenrodem?...¹⁰⁴

¹⁰⁴ *Czy chciałeś, ażeby zostawiałem tureckim Wallenrodem?* – aluzja do bohatera poematu Mickiewicza *Konrad Wallenrod* (1823). Wokulski zostałby „tureckim Wallenrodem”,

- Narażać się dla majątku, gdy się ma spokojny kawałek chleba!... – mruknął pan Ignacy kiwając głową i podnosząc brwi. Wokulski zadrżał z gniewu i zerwał się z kanapy.
- Ten spokojny chleb – mówił zaciskając pięści – dławił mnie i dusił przez lat sześć!... Czy już nie pamiętasz, ile razy na dzień przypominano mi dwa pokolenia Minclów albo anielską dobroć mojej żony? Czy był kto z dalszych i bliższych znajomych, wyjąwszy ciebie, który by mię nie dręczył słowem, ruchem, a choćby spojrzeniem? Ileż to razy mówiono o mnie i prawie do mnie, że karmię się z fartucha żony, że wszystko zawdzięczam pracy Minclów, a nic, ale to nic – własnej energii, choć przecie ja podźwignąłem ten kramik, zdwoiłem jego dochody...
- Mincle i zawsze Mincle!... Dziś niech mnie porównają z Minclami. Sam jeden przez pół roku zarobiłem dziesięć razy więcej aniżeli dwa pokolenia Minclów przez pół wieku. Na zdobycie tego, com ja zdobył pomiędzy kulą, nożem i tyfusem, tysiąc Minclów musiałoby się pocić w swoich sklepikach i szlafmycach. Teraz już wiem, ilu jestem wart Minclów, i jak mi Bóg miły, dla podobnego rezultatu drugi raz powtórzyłbym moją grę! Wolę obawiać się bankructwa i śmierci aniżeli wdzięczyc się do tych, którzy kupią u mnie parasol, albo padać do nóg tym, którzy w moim sklepie raczą zaopatrywać się w waterklozety...
- Zawsze ten sam! – szepnął Ignacy.

gdyby wykorzystując swoje stanowisko dostawcy armii rosyjskiej działał na jej szkodę w interesach Turcji. Tym ironicznym pytaniem Wokulski podkreśla, że jego działalność nie miała żadnego związku z polityką. [przypis redakcyjny]

Wokulski ochłonął. Oparł się na ramieniu Ignacego i zaglądając mu w oczy rzekł łagodnie:

– Nie gniewasz się, stary?

– Czego? Albo nie wiem, że wilk nie będzie pilnował baranów... Naturalnie...

– Cóż u was słyszać? – powiedz mi.

– Akurat tyle, co pisałem ci w raportach. Interesa dobrze idą, towarów przybyło, a jeszcze więcej zamówień. Trzeba jednego subiekta.

– Weźmiemy dwu, sklep rozszerzymy, będzie wspaniały.

– Bagatela!

Wokulski spojrzał na niego z boku i uśmiechnął się widząc, że stary odzyskuje dobry humor.

– Ale co w mieście słyszać? W sklepie, dopóki ty w nim jesteś, musi być dobrze.

– W mieście...

– Z dawnych kundmanów¹⁰⁵ nie ubył kto? – przerwał mu Wokulski, coraz szybciej chodząc po pokoju.

– Nikt! Przybyli nowi.

– A... a...

Wokulski stanął jakby wahając się. Nalał znowu szklanek wina i wypił duszkiem.

– A Łęcki kupuje u nas?...

– Częściej bierze na rachunek.

– Więc bierze... – Tu Wokulski odetchnął. – Jakże on stoi?

¹⁰⁵ *kundman* (z niem.) – stały odbiorca. [przypis redakcyjny]

– Zdaje się, że to skończony bankrut i bodajże w tym roku zlicytują mu nareszcie kamienicę.

Wokulski pochylił się nad kanapą i zaczął bawić się z Irem.

– Proszę cię... A panna Łęcka nie wyszła za mąż?

– Nie.

– A nie wychodzi?...

– Bardzo wątpię. Kto dziś ożeni się z panną mającą wielkie wymagania, a żadnego posagu? Zestarzeje się, choć ładna. Naturalnie...

Wokulski wyprostował się i przeciągnął. Jego surowa twarz nabrała dziwnie rzewnego wyrazu.

– Mój kochany stary! – mówił biorąc Ignacego za rękę – mój pocziwy stary przyjacielu! Ty nawet nie domyślasz się, jakim ja szczęśliwy, że cię widzę, i jeszcze w tym pokoju. Pamiętasz, ilem ja tu spędził wieczorów i nocy... jak mnie karmiłeś... jak oddawałeś mi co lepsze odzienie... Pamiętasz?...

Rzecki uważnie spojrzał na niego i pomyślał, że wino musi być dobre, skoro aż tak rozwiązało usta Wokulskiemu.

Wokulski usiadł na kanapie i oparłszy głowę o ścianę mówił jakby do siebie:

– Nie masz pojęcia, co ja wycierpiałem, oddalony od wszystkich, niepewny, czy już kogo zobaczę, tak strasznie samotny. Bo widzisz, najgorszą samotnością nie jest ta, która otacza człowieka, ale ta pustka w nim samym, kiedy z kraju nie wyniósł ani cieplejszego spojrzenia, ani serdecznego słówka, ani nawet iskry nadziei...

Pan Ignacy poruszył się na krześle z zamiarem protestu.

– Pozwól sobie przypomnieć – odezwał się – że z początku pisywałem listy bardzo życzliwe, owszem, może nawet za sentymentalne. Zraziły mnie dopiero twoje krótkie odpowiedzi.

– Alboż ja do ciebie mam żal?...

– Tym mniej możesz go mieć do innych pracowników, którzy nie znają cię tak jak ja.

Wokulski ocknął się.

– Ależ ja do żadnego z nich nie mam pretensji. Może – odrobinę – do ciebie, żeś tak mało pisał o... mieście... W dodatku bardzo często ginął „Kurier”¹⁰⁶ na poczcie, robiły się luki w wiadomościach, a wtedy męczyły mnie najgorsze przeczucia.

– Z jakiej racji? Wszakże u nas nie było wojny – odparł ze zdziwieniem pan Ignacy.

– Ach tak!... Nawet dobrze bawiliście się. Pamiętam, w grudniu mieliście świetne żywe obrazy¹⁰⁷. Kto to w nich występował?...

– No, ja na takie głupstwa nie chodzę.

– To prawda. A ja tego dnia dałbym – bodaj – dziesięć tysięcy rubli, ażeby je zobaczyć. Głupstwo jeszcze większe!... Czy nie

¹⁰⁶ „Kurier” – „Kurier Warszawski”, popularna gazeta konserwatywnych sfer mieszczańskich i arystokratycznych w Warszawie (wychodziła od r. 1821). [przypis redakcyjny]

¹⁰⁷ *żywe obrazy* – rozrywka towarzyska polegająca na tym, że grupa osób, przebranych w odpowiednie kostiumy, przedstawiała jakąś scenę historyczną albo alegoryczną. [przypis redakcyjny]

tak?...

– Zapewne – chociaż dużo tu tłumaczy samotność, nudy...

– A może tęsknota – przerwał Wokulski. – Zjadała mi ona każdą chwilę wolną od pracy, każdą godzinę odpoczynku. Należ mi wina, Ignacy.

Wypił, zaczął znowu chodzić po pokoju i mówić przyciszonym głosem:

– Pierwszy raz spadło to na mnie w czasie przeprawy przez Dunaj trwającej od wieczora do nocy. Płynąłem sam i Cygan przewoźnik. Nie mogąc rozmawiać przypatrywałem się okolicy. Były w tym miejscu piaszczyste brzegi, jak u nas. I drzewa podobne do naszych wierzb, wzgórza porośnięte leszczyną i kępy lasów sosnowych. Przez chwilę zdawało mi się, że jestem w kraju, i że nim noc zapadnie, znowu was zobaczę. Noc zapadła, ale jednocześnie zniknęły mi z oczu brzegi. Byłem sam na ogromnej smudze wody, w której odbijały się nikłe gwiazdy.

Wówczas przyszło mi na myśl, że tak daleko jestem od domu, że dziś ostatnim między mną i wami łącznikiem są tylko te gwiazdy, że w tej chwili u was może nikt nie patrzy na nie, nikt o mnie nie pamięta, nikt!... Uczułem jakby wewnętrzne rozdarcie i wtedy dopiero przekonałem się, jak głęboką mam ranę w duszy.

– Prawda, że nigdy nie interesowały mnie gwiazdy – szepnął pan Ignacy.

– Od tego dnia uległem dziwnej chorobie – mówił Wokulski. – Dopóki rozpisywałem listy, robiłem rachunki, odbierałem towary, rozsyłałem moich agentów, dopókim bodaj dźwigał i

wyładowywał zepsute wozy albo czuwał nad skradającym się grabieżcą, miałem względny spokój. Ale gdym oderwał się od interesów, a nawet gdym na chwilę złożył pióro, czułem ból, jakby mi – czy ty rozumiesz, Ignacy? – jakby mi ziarno piasku wpadło do serca. Bywało, chodzę, jem, rozmawiam, myślę przytomnie, rozpatruję się w pięknej okolicy, nawet śmieję się i jestem wesół, a mimo to czuję jakieś tępe ukłucie, jakiś drobny niepokój, jakąś nieskończenie małą obawę.

Ten stan chroniczny, męczący nad wszelki wyraz, lada okoliczność rozdmuchiwała w burzę. Drzewo znajomej formy, jakiś obdarty pagórek, kolor obłoku, przelot ptaka, nawet powiew wiatru bez żadnego zresztą powodu budził we mnie tak szaloną rozpacz, że uciekałem od ludzi. Szukałem ustroni tak pustej, gdzie bym mógł upaść na ziemię i nie podsłuchany przez nikogo, wyć z bólu jak pies.

Czasami w tej ucieczce przed samym sobą doganiała mnie noc. Wtedy spoza krzaków, zwalonych pni i rozpadlin wychodziły naprzeciw mnie jakieś szare cienie i smutnie kiwały głowami o wyblakłych oczach. A wszystkie szelesty liści, daleki turkot wozów, szmery wód zlewały się w jeden głos żałosny, który mnie pytał: „Przechodniu nasz, ach! co się z tobą stało? ...”¹⁰⁸

Ach, co się ze mną stało...

¹⁰⁸ *Przechodniu nasz, ach! co się z tobą stało?* – cytat z wiersza Mickiewicza *Do H* *** (*Wezwanie do Neapolu*). Prus przytacza jak zwykle z pamięci; u Mickiewicza: „Pielgrzymie nasz...” [przypis redakcyjny]

– Nic nie rozumiem – przerwał Ignacy. – Cóż to za szal?

– Co?... Tęsknota

– Za czym?

Wokulski drgnął.

– Za czym? No... za wszystkim... za krajem...

– Dlaczegożeś nie wracał?

– A cóż by mi dał powrót?... Zresztą – nie mogłem.

– Nie mogłeś? – powtórzył Ignacy.

– Nie mogłem... i basta! Nie miałem po co wracać – odparł niecierpliwie Wokulski. – Umrzeć tu czy tam, wszystko jedno...
daj mi wina – zakończył nagle, wyciągając rękę.

Rzecki spojrzał w jego rozgorączkowaną twarz i odsunął butelkę.

– Daj pokój – rzekł – już i tak jesteś rozdrażniony...

– Dlatego chcę pić...

– Dlatego nie powinienes pić – przerwał Ignacy. – Za wiele mówisz... może więcej, aniżeli byś chciał – dodał z naciskiem.

Wokulski cofnął się. Zastanowił się i odparł potrząsając głową:

– Mylisz się.

– Zaraz ci dowiodę – odpowiedział Ignacy przyciszonym głosem. – Ty nie jeździłeś tam wyłącznie dla zrobienia pieniędzy...

– Zapewne – rzekł Wokulski po namyśle.

– Bo i na co trzysta tysięcy rubli tobie, któremu wystarczało tysiąc na rok?...

– To prawda.

Rzecki zbliżył swoje usta do jego ucha.

– Jeszcze ci powiem, że pieniędzy tych nie przywiozłeś dla siebie...

– Kto wie, czyś nie zgadł.

– Zgaduję więcej, aniżeli myślisz...

Wokulski nagle roześmiał się.

– Aha, więc tak sądzisz? – zawołał. – Upewniam cię, że nic nie wiesz, stary marzycielu.

– Boję się twojej trzeźwości, pod wpływem której gadasz jak wariat. Rozumiesz mnie, Stasiu?...

Wokulski wciąż się śmiał.

– Masz rację, nie przywykłem pić i wino uderzyło mi do głowy. Ale – już zebrałem zmysły. Powiem ci tylko, że mylisz się gruntownie. A teraz, ażeby ocalić mnie od zupełnego upicia, wypij sam – za pomyślność moich zamiarów.

Ignacy nalał kieliszek i mocno ściskając rękę Wokulskiemu, rzekł:

– Za pomyślność wielkich zamiarów...

– Wielkich dla mnie, ale w rzeczywistości bardzo skromnych.

– Niech i tak będzie – mówił Ignacy. – Jestem tak stary, że mi wygodniej nic nie wiedzieć; jestem już nawet tak stary, że pragnę tylko jednej rzeczy – pięknej śmierci. Daj mi słowo, że gdy przyjdzie czas, zawiadomisz mnie...

– Tak, gdy przyjdzie czas, będziesz moim swatem.

– Już byłem i nieszczęśliwie... – rzekł Ignacy.

– Z wdową przed siedmioma laty?

– Przed piętnastoma¹⁰⁹.

– Znowu swoje – roześmiał się Wokulski. – Zawsze ten sam!

– I tyś ten sam. Za pomyślność twoich zamiarów...

Jakiegolwiek są, wiem jedno, że muszą być godne ciebie. A teraz – milczę...

To powiedziawszy Ignacy wypił wino, a kieliszek rzucił na ziemię. Szkło rozbiło się z brzękiem, który obudził Ira.

– Chodźmy do sklepu – rzekł Ignacy. – Bywają rozmowy, po których dobrze jest mówić o interesach.

Wydobył ze stolika klucz i wyszli. W sieni wionął na nich mokry śnieg. Rzecki otworzył drzwi sklepu i zapalił kilka lamp.

– Co za towary! – zawołał Wokulski. – Chyba wszystko nowe?

– Prawie. Chcesz zobaczyć?... Tu jest porcelana. Zwracam ci uwagę...

– Później... Daj mi księgę.

– Dochodów?...

– Nie, dłużników.

Rzecki otworzył biurko, wydobył księgę i podsunął fotel. Wokulski usiadł i rzuciwszy okiem na listę, wyszukał w niej jedno nazwisko.

– Sto czterdzieści rubli – mówił czytając. – No, to wcale niedużo...

– Któż to? – zapytał Ignacy. – A... Łęcki...

¹⁰⁹ *Przed piętnastoma* – w domyśle: laty, a więc w r. 1863; pojawia się tu kolejna aluzja do udziału Wokulskiego w powstaniu styczniowym. [przypis redakcyjny]

– Panna Łęcka ma także otwarty kredyt... bardzo dobrze – ciągnął Wokulski zbliżywszy twarz do księgi, jakby w niej pismo było niewyraźne. – A... a... Onegdaj wzięła portmonetkę... Trzy ruble?... to chyba za drogo...

– Wcale nie – wtrącił Ignacy. – Portmonetka doskonała, sam ją wybierałem.

– Z którychże to? – spytał niedbale Wokulski i zamknął księgę.

– Z tej gablotki. Widzisz, jakie to cacka.

– Musiała jednak dużo między nimi przerzucić... Jest podobno wymagająca...

– Wcale nie przerzucała, dlaczego miałaby przerzucać? – odparł Ignacy. – Obejrzała tę...

– Tę?...

– A chciała wziąć tę...

– Ach, tę... – szepnął Wokulski biorąc do ręki portmonetkę.

– Ale ja poradziłem jej inną, w tym guście...

– Wiesz co, że to jednak jest ładny wyrób.

– Tamta, którą ja wybrałem, była jeszcze ładniejsza.

– Ta bardzo mi się podoba. Wiesz... ja ją wezmę, bo moja już na nic...

– Czekaj, znajdę ci lepszą – zawołał Rzecki.

– Wszystko jedno. Pokaż inne towary, może jeszcze co mi się przyda.

– Spinki masz?... Krawat, kalosze, parasol...

– Daj mi parasol, no... i krawat. Sam wybierz. Będę dziś

jedynym gościem i w dodatku zapłacę gotówką.

– Bardzo dobry zwyczaj – odparł uradowany Rzecki. Prędko wydobył krawat z szuflady i parasol z okna i podał je ze śmiechem Wokulskiemu. – Po strąceniu rabatu – dodał – jako handlujący, zapłacisz siedem rubli. Pyszny parasol... Bagatela...

– To już wrócimy do ciebie – rzekł Wokulski.

– Nie obejrzysz sklepu? – spytał Ignacy.

– Ach, co mnie to ob...

– Nie obchodzi cię twój własny sklep, taki piękny sklep?... – zdziwił się Ignacy.

– Gdzież znowu, czy możesz przypuszczać... Ale jestem trochę zmęczony.

– Słusznie – odparł Rzecki. – Co racja, to racja. Więc idźmy.

Pozakręcał lampy i, przepuściwszy Wokulskiego, zamknął sklep. W sieni znowu spotkał ich mokry śnieg i Paweł niosący obiad.

V. Demokratyzacja pana i marzenia panny z towarzystwa

Pan Tomasz Łęcki z jedyną córką Izabelą i kuzynką panną Florentyną nie mieszkał we własnej kamienicy, lecz wynajmował lokal, złożony z ośmiu pokoiów, w stronie Alei Ujazdowskiej¹¹⁰. Miał tam salon o trzech oknach, gabinet własny, gabinet córki, sypialnię dla siebie, sypialnię dla córki, pokój stołowy, pokój dla panny Florentyny i garderobę, nie licząc kuchni i mieszkania dla służby, składającej się ze starego kamerdynera Mikołaja, jego żony, która była kucharką, i panny służącej, Anusi.

Mieszkanie posiadało wielkie zalety. Było suche, ciepłe, obszerne, widne. Miało marmurowe schody, gaz, dzwonki elektryczne i wodociągi. Każdy pokój w miarę potrzeby łączył się z innymi lub tworzył zamkniętą w sobie całość. Sprzętów wreszcie miało liczbę dostateczną, ani za mało, ani za wiele, a każdy odznaczał się raczej wygodną prostotą aniżeli skaczącymi do oczu ozdobami. Kredens budził w widzu uczucie pewności, że z niego nie zginą srebra; łóżko przywodziło na myśl bezpieczny spoczynek dobrze zasłużonych; stół można było obciążyć, na krześle usiąść bez obawy załamania się, na fotelu marzyć.

¹¹⁰ Aleja Ujazdowska – najpiękniejsza, niegdyś głównie spacerowa aleja w Warszawie. Wznoszą się wzdłuż niej zabytkowe pałace, rozciągają stare parki. Poważnie zniszczona w czasie powstania warszawskiego, została całkowicie odbudowana (obecnie przecina ją Trasa Łazienkowska). [przypis redakcyjny]

Kto tu wszedł, miał swobodę ruchu; nie potrzebował lękać się, że mu coś zastąpi drogę lub że on coś zepsuje. Czekając na gospodarza nie nudził się, otaczały go bowiem rzeczy, które warto było oglądać. Zarazem widok przedmiotów, wyrobionych nie wczoraj i mogących służyć kilku pokoleniom, nastrojał go na jakiś ton uroczysty.

Na tym poważnym tle dobrze zarysowywali się jego mieszkańcy.

Pan Tomasz Łęcki był to sześćdziesięciokilkoletni człowiek, niewysoki, pełnej tuszy, krwisty. Nosił nieduże wąsy białe i do góry podczesane włosy, tej samej barwy. Miał siwe, rozumne oczy, postawę wyprostowaną, chodził ostro. Na ulicy ustępowano mu z drogi – a ludzie prości mówili: oto musi być pan z panów.

Istotnie, pan Łęcki liczył w swoim rodzie całe szeregi senatorów. Ojciec jego jeszcze posiadał miliony, a on sam za młodu krocie¹¹¹. Później jednak część majątku pochłonęły zdarzenia polityczne¹¹², resztę – podróże po Europie i wysokie stosunki. Pan Tomasz bywał bowiem przed rokiem 1870 na dworze francuskim, następnie na wiedeńskim i włoskim. Wiktor Emanuel¹¹³, oczarowany pięknnością jego córki, zaszczycał go

¹¹¹ *krocie* – tysiące (liczba bardzo duża, ściślej nie określona). [przypis redakcyjny]

¹¹² *zdarzenia polityczne* – zapewne powstanie styczniowe, a następnie represje rządu rosyjskiego oraz reforma uwłaszczeniowa. [przypis redakcyjny]

¹¹³ Wiktor Emanuel II (1820–1878) – król Sardynii w latach 1849–1861, po zjednoczeniu Włoch w r. 1861 król włoski. [przypis redakcyjny]

swoją przyjaźnią i nawet chciał mu nadać tytuł hrabiego. Nie dziw, że pan Tomasz po śmierci wielkiego króla przez dwa miesiące nosił na kapeluszu krepeę.

Od paru lat pan Tomasz nie ruszał się z Warszawy, za mało mając już pieniędzy, ażeby błyszczeć na dworach. Za to jego mieszkanie stało się ogniskiem eleganckiego świata i było nim aż do czasu rozejścia się pogłosek, że pan Tomasz postradał nie tylko swój majątek, ale nawet posag panny Izabeli.

Pierwsi cofnęli się epuzerowie¹¹⁴, za nimi damy mające brzydkie córki, z pozostałą zaś resztą zerwał sam pan Tomasz i ograniczył swoje znajomości wyłącznie do stosunków z rodziną. Lecz gdy i tu zauważył niżenie się uczuciowej temperatury, zupełnie wycofał się z towarzystwa, a nawet ku zgorszeniu wielu szanownych osób, jako właściciel domu w Warszawie, wpisał się do Resursy Kupieckiej¹¹⁵. Chciano go tam zrobić prezesem, ale nie zgodził się.

Tylko jego córka bywała u sędziwej hrabiny Karolowej i paru jej przyjaciółek, co znowu dało początek pogłosce, że pan Tomasz jeszcze posiada majątek i że zerwał z towarzystwem w części przez dziwactwo, w części dla poznania rzeczywistych przyjaciół i wybrania córce męża, który by ją kochał dla niej samej, nie dla posagu.

¹¹⁴ *epuzer* – kandydat do małżeństwa. [przypis redakcyjny]

¹¹⁵ *Resursa* – dosłownie: źródło pomocy, dochodu. Nazwa związków towarzyskich oraz należących do nich lokali. – W Warszawie istniały dwie resursy: wielka, czyli Kupiecka, i Obywatelska, przy czym właśnie Resursa Obywatelska miała bardziej mieszczański charakter. [przypis redakcyjny]

Więc znowu dokoła panny Łęckiej począł zbierać się tłum wielbicieli, a na stoliku w jej salonie stosy biletów wizytowych. Gości jednak nie przyjmowano, co zresztą między nimi nie wywołało zbyt wielkiego oburzenia, ponieważ rozeszła się trzecia z kolei pogłoska, że Łęckiemu licytują kamienicę.

Tym razem w towarzystwie powstał zamęt. Jedni twierdzili, że pan Tomasz jest zdeklarowanym bankrutem, drudzy gotowi byli przysiąc, że zataił majątek, aby zapewnić szczęście jedynaczce. Kandydaci do małżeństwa i ich rodziny znaleźli się w dręczącej niepewności. Ażeby więc nic nie ryzykować i nic nie stracić, składali hołdy pannie Izabeli nie angażując się zbyt mocno i po cichu rzucali w jej domu swoje karty, prosząc Boga, ażeby ich czasem nie zaproszono przed wyklarowaniem się sytuacji.

O rewizytach ze strony pana Tomasza nie było mowy. Usprawiedliwiano go ekscentrycznością i smutkiem po Wiktorze Emanuelu.

Tymczasem pan Tomasz w dzień spacerował po Alejach, a wieczorem grywał w wista¹¹⁶ w resursie. Fizjognomia jego była zawsze tak spokojna, a postawa tak dumna, że wielbiciele jego córki zupełnie potracili głowy. Rozważniejsi czekali, ale śmielsi poczęli znowu darzyć ją powłóczystymi spojrzeniami, cichym westchnieniem lub drżącym uściskiem ręki, na co panna odpowiadała lodowatą, a niekiedy pogardliwą obojętnością.

Panna Izabela była niepospolicie piękną kobietą. Wszystko w niej było oryginalne i doskonałe. Wzrost więcej niż średni,

¹¹⁶ *wist* – czteroosobowa gra w karty. [przypis redakcyjny]

bardzo kształtna figura, bujne włosy blond z odcieniem popielatym, nosek prosty, usta trochę odchylone, zęby perłowe, ręce i stopy modelowe¹¹⁷. Szczególne wrażenie robiły jej oczy, niekiedy ciemne i rozmarzone, niekiedy pełne iskier wesołości, czasem jasnoniebieskie i zimne jak lód.

Uderzająca była gra jej fizjonomii. Kiedy mówiła, mówiły jej usta, brwi, nozdrza, ręce, cała postawa, a nade wszystko oczy, którymi zdawało się, że chce przelać swoją duszę w słuchacza. Kiedy słuchała, zdawało się, że chce wypić duszę z opowiadającego. Jej oczy umiały tulić, pieścić, płakać bez łez, palić i mrozić. Niekiedy można było myśleć, że rozmarzona otoczy kogoś rękami i oprze mu głowę na ramieniu; lecz gdy szczęśliwy topniał z rozkoszy, nagle wykonywała jakiś ruch, który mówił, że schwycić jej niepodobna, gdyż albo wymknie się, albo odepchnie, albo po prostu każe lokajowi wyprowadzić wielbiciela za drzwi...

Ciekawym zjawiskiem była dusza panny Izabeli.

Gdyby ją kto szczerze zapytał: czym jest świat, a czym ona sama? niezawodnie odpowiedziałaby, że świat jest zaczarowanym ogrodem, napełnionym czarodziejskimi zamkami, a ona – boginią czy nimfą uwięzioną w formy cielesne.

Panna Izabela od kolebki żyła w świecie pięknym i nie tylko nadludzkim, ale – nadnaturalnym. Sypiała w puchach, odziewała się w jedwabie i hafty, siadała na rzeźbionych i wyściełanych

¹¹⁷ *modelowy* – tu w znaczeniu wzorowej piękności. [przypis redakcyjny]

hebanach¹¹⁸ lub palisandrach¹¹⁹, piła z kryształów, jadła ze sreber i porcelany kosztownej jak złoto.

Dla niej nie istniały pory roku, tylko wiekuista wiosna, pełna łagodnego światła, żywych kwiatów i woni. Nie istniały pory dnia, gdyż nieraz przez całe miesiące kładła się spać o ósmej rano, a jadła obiad o drugiej po północy. Nie istniały różnice położen jeograficznych, gdyż w Paryżu, Wiedniu, Rzymie, Berlinie czy Londynie znajdowali się ci sami ludzie, te same obyczaje, te same sprzęty, a nawet te same potrawy: zupy z wodorostów Oceanu Spokojnego, ostrygi z Morza Północnego, ryby z Atlantyku albo z Morza Śródziemnego, zwierzyna ze wszystkich krajów, owoce ze wszystkich części świata. Dla niej nie istniała nawet siła ciężkości, gdyż krzesła jej podsuwano, talerze podawano, ją samą na ulicy wieziono, na schody wprowadzano, na góry wnoszono.

Woalka chroniła ją od wiatru, kareta od deszczu, sobole od zimna, parasolka i rękawiczki od słońca. I tak żyła z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, wyższa nad ludzi, a nawet nad prawa natury. Dwa razy spotkała ją straszna burza, raz w Alpach, drugi – na Morzu Śródziemnym. Truchleli najodważniejsi, ale panna Izabela ze śmiechem przysłuchiwała się łoskotowi druzgotanych skał i trzeszczeniu okrętu, ani

¹¹⁸ *heban* – drzewo rosnące w ciepłych krajach o naturalnym czarnym kolorze, bardzo twarde i ciężkie, używane w meblarstwie. [przypis redakcyjny]

¹¹⁹ *palisander* – drewno z drzew południowo-amerykańskich (*jacarandy*), używane na forniry. [przypis redakcyjny]

przypuszczając możliwości niebezpieczeństwa. Natura urządziła dla niej piękne widowisko z piorunów, kamieni i morskiego odmetu, jak w innym czasie pokazała jej księżyc nad Jeziorem Genewskim¹²⁰ albo nad wodospadem Renu¹²¹ rozdarła chmury, które zakrywały słońce. To samo przecie robią co dzień maszyniści teatrów i nawet w zdenerwowanych damach nie wywołują obawy.

Ten świat wiecznej wiosny, gdzie szeleściły jedwabie, rosły tylko rzeźbione drzewa, a glina pokrywała się artystycznymi malowidłami, ten świat miał swoją specjalną ludność. Właściwymi jego mieszkańcami były księżniczki i książęta, hrabianki i hrabiowie tudzież bardzo stara i majątna szlachta obojej płci. Znajdowały się tam jeszcze damy zameżne i panowie żonaci w charakterze gospodarzy domów, matrony strzegące wykwintnego obejścia i dobrych obyczajów i starzy panowie, którzy zasiadali na pierwszych miejscach przy stole, oświadczeni młodzież, błogosławili ją i grywali w karty. Byli też biskupi, wizerunki Boga na ziemi, wysocy urzędnicy, których obecność zabezpieczała świat od nieporządków społecznych i trzęsienia ziemi, a nareszcie dzieci, małe cherubiny, zesłane z nieba po to, ażeby starsi mogli urządzać kinderbale¹²².

¹²⁰ Jezioro Genewskie – największe i bardzo malownicze jezioro szwajcarskie na granicy Szwajcarii i Francji. [przypis redakcyjny]

¹²¹ *wodospad Renu* – w górnym biegu Ren tworzy wiele wodospadów, np. pod Szafuzą w Szwajcarii. [przypis redakcyjny]

¹²² *kinderbal* (z niem.) – zabawa dla dzieci. [przypis redakcyjny]

Wśród stałej ludności zaczarowanego świata ukazywał się od czasu do czasu zwykły śmiertelnik, który na skrzydłach reputacji potrafił wzbić się aż do szczytów Olimpu¹²³. Zwykle bywał nim jakiś inżynier, który łączył oceany albo wiercił czy też budował Alpy. Był jakiś kapitan, który w walce z dzikimi stracił swoją kompanię, a sam okryty ranami ocalał dzięki miłości murzyńskiej księżniczki. Był podróżnik, który podobno odkrył nową część świata, rozbił się z okrętem na bezludnej wyspie i bodaj czy nie kosztował ludzkiego mięsa.

Bywali tam wreszcie sławni malarze, a nade wszystko natchnieni poeci, którzy w sztambuchach¹²⁴ hrabianek pisywali ładne wiersze, mogli kochać się bez nadziei i uwieczniać wdzięki swoich okrutnych bogiń naprzód w gazetach, a następnie w oddzielnych tomikach, drukowanych na welinowym papierze¹²⁵.

Cała ta ludność, między którą ostrożnie przesuwali się wygalonowani¹²⁶ lokaje, damy do towarzystwa, ubogie kuzynki i łaknący wyższych posad kuzyni, cała ta ludność obchodziła wieczne święto.

Od południa składano sobie i oddawano wizyty i rewizyty albo zjeżdżano się w magazynach. Ku wieczorowi bawiono się przed obiadem, w czasie obiadu i po obiedzie. Potem jechano

¹²³ *Olimp* – najwyższe pasmo górskie w Grecji; w greckiej mitologii siedziba bogów. [przypis redakcyjny]

¹²⁴ *sztambuch* – album, pamiętnik. [przypis redakcyjny]

¹²⁵ *welinowy papier* – biały gładki papier, wysokiego gatunku. [przypis redakcyjny]

¹²⁶ *wygalonowani* – w liberii obszytej galonami, czyli złotą lub srebrną taśmą. [przypis redakcyjny]

na koncert lub do teatru, ażeby tam zobaczyć inny sztuczny świat, gdzie bohaterowie rzadko kiedy jedzą i pracują, ale za to wciąż gadają sami do siebie – gdzie niewierność kobiet staje się źródłem wielkich katastrof i gdzie kochanek, zabity przez męża w piątym akcie, na drugi dzień zmartwychwstaje w pierwszym akcie, ażeby popełniać te same błędy i gadać do siebie nie będąc słyszany przez osoby obok stojące. Po wyjściu z teatru znowu zbierano się w salonach, gdzie służba roznosiła zimne i gorące napoje, najęci artyści śpiewali, młode mężatki słuchały opowiadań porąbanego kapitana o murzyńskiej księżniczce, panny rozmawiały z poetami o powinowactwie dusz, starsi panowie wykładali inżynierom swoje poglądy na inżynierię, a damy w średnim wieku półsłówkami i spojrzeniami walczyły między sobą o podróżnika, który jadł ludzkie mięso. Potem zasiadano do kolacji, gdzie usta jadły, żołądki trawiły, a buciki rozmawiały o uczuciach lodowatych serc i marzeniach głów niezawrotnych. A potem – rozjeżdżano się, ażeby w śnie rzeczywistym nabrać sił do snu życia.

Poza tym czarodziejskim był jeszcze inny świat – zwyczajny. O jego istnieniu wiedziała panna Izabela i nawet lubiła mu się przypatrywać z okna karety, wagonu albo z własnego mieszkania. W takich ramach i z takiej odległości wydawał on się jej malowniczym i nawet sympatycznym. Widywała rolników powoli orzących ziemię – duże fury ciągnięte przez chudą szkapę – roznosiciele owoców i jarzyn – starca, który tłukł kamienie na szosie – posłańców idących gdzieś z pośpiechem

– ładne i natrętne kwiaciarki – rodzinę złożoną z ojca, bardzo otyłej matki i czworga dzieci, parami trzymających się za ręce – eleganta niższej sfery, który jechał dorożką i rozpierał się w sposób bardzo zabawny – czasem pogrzeb. I mówiła sobie, że tamten świat, choć niższy, jest ładny; jest nawet ładniejszy od obrazów rodzajowych¹²⁷, gdyż porusza się i zmienia co chwilę.

I jeszcze wiedziała panna Izabela, że jak w oranżeriach rosną kwiaty, a w winnicach winogrona, tak w tamtym, niższym świecie, wyrastają rzeczy jej potrzebne. Stamtąd pochodzi jej wierny Mikołaj i Anusia, tam robią rzeźbione fotele, porcelany, kryształ i firanki, tam rodzą się froterzy¹²⁸, tapicerowie, ogrodnicy i panny szyjące suknie. Będąc raz w magazynie kazała zaprowadzić się do szwalni i bardzo ciekawym wydał się jej widok kilkudziesięciu pracownic, które krajały, fastrygowały i układały na formach fałdy ubrań. Była pewna, że robi im to wielką przyjemność, ponieważ te panny, które brały jej miarę albo przymierały suknie, były zawsze uśmiechnięte i bardzo zainteresowane tym, ażeby strój leżał na niej dobrze.

I jeszcze wiedziała panna Izabela, że na tamtym, zwyczajnym świecie trafiają się ludzie nieszczęśliwi. Więc każdemu ubogiemu, o ile spotkał ją, kazała dawać po kilka złotych; raz spotkawszy mizerną matkę z bladym jak воск dzieckiem przy

¹²⁷ *obrazy rodzajowe* przedstawiają ludzi jako typy pewnych warstw społecznych wśród codziennych zajęć. [przypis redakcyjny]

¹²⁸ *froter* – pracownik zajmujący się woskowaniem i polerowaniem podłóg. [przypis redakcyjny]

piersi oddała jej bransoletę, a brudne, żebrzące dzieci obdarzała cukierkami i całowała z pobożnym uczuciem. Zdawało się jej, że w którymś z tych biedaków, a może w każdym, jest utajony Chrystus, który zastąpił jej drogę, ażeby dać okazję do spełnienia dobrego czynu.

W ogóle dla ludzi z niższego świata miała serce życzliwe. Przychodziły jej na myśl słowa Pisma świętego: „W pocie czoła pracować będziesz.”¹²⁹. Widocznie popełnili oni jakiś ciężki grzech, skoro skazano ich na pracę; ależ tacy jak ona aniołowie nie mogli nie ubolewać nad ich losem. Tacy jak ona, dla której największą pracą było dotknięcie elektrycznego dzwonka albo wydanie rozkazu.

Raz tylko niższy świat zrobił na niej potężne wrażenie.

Pewnego dnia, we Francji, zwiedzała fabrykę żelazną. Zjeżdżając z góry, w okolicy pełnej lasów i łąk, pod szafirowym niebem zobaczyła otchłań wypełnioną obłokami czarnych dymów i białych par i usłyszała głuchy łoskot, zgrzyt i sapanie machin. Potem widziała piece, jak wieże średniowiecznych zamków, dyszące płomieniami – potężne koła, które obracały się z szybkością błyskawic – wielkie rusztowania, które same toczyły się po szynach – strumienie rozpalonego do białości żelaza i półnagich robotników, jak spiżowe posągi, o ponurych wejrzeniach. Ponad tym wszystkim – krwawa luna, warczenie kół, jęki miechów, grzmot młotów i niecierpliwe oddechy

¹²⁹ *W pocie czoła pracować będziesz* – w Starym Testamencie słowa Boga skierowane do Adama po popełnieniu przez niego grzechu pierworodnego. [przypis redakcyjny]

kotłów, a pod stopami dreszcz wylęknionej ziemi.

Wtedy zdało się jej, że z wyżyn szczęśliwego Olimpu zstąpiła do beznadziejnej otchłani Wulkana¹³⁰, gdzie cyklopowie¹³¹ kuja pioruny mogące zdruzgotać sam Olimp. Przyszły jej na myśl legendy o zbuntowanych olbrzymach, o końcu tego pięknego świata, w którym przebywała, i pierwszy raz w życiu ją, boginię, przed którą gięli się marszałkowie i senatorzy, zdjęła trwoga.

– To są straszni ludzie, papo... – szepnęła do ojca.

Ojciec milczał, tylko mocniej przycisnął jej ramię.

– Ale kobietom oni nic złego nie zrobią?

– Tak, nawet oni – odpowiedział pan Tomasz.

W tej chwili pannę Izabelę ogarnął wstyd na myśl, że troszczyła się tylko o kobiety. Więc szybko dodała:

– A jeżeli nam, to i wam nie zrobią nic złego...

Ale pan Tomasz uśmiechnął się i potrząsnął głową. W owym czasie dużo mówiono o zbliżającym się końcu starego świata, a pan Tomasz głęboko odczuwał to, z wielkimi trudnościami wydobywając pieniądze od swoich pełnomocników.

Odwiedziny fabryki stanowiły ważną epokę w życiu panny Izabeli. Z religijną czcią czytywała ona poezje swego dalekiego kuzyna, Zygmunta¹³², i zdawało się jej, że dziś znalazła ilustrację

¹³⁰ *Wulkan* – w mitologii rzymskiej bóg ognia i opiekun kowalstwa. [przypis redakcyjny]

¹³¹ *cyklopowie* – w mitologii greckiej demony ognia, jednookie olbrzymy, które sporządzały dla Zeusa pioruny. [przypis redakcyjny]

¹³² *Zygmunt* – mowa o Zyguncie Krasińskim. [przypis redakcyjny]

do *Nie-Boskiej komedii*. Odtąd często marzyła o zmroku, że na górze kąpiącej się w słońcu, skąd zjeżdżał jej powóz do fabryki, stoją Okopy Św. Trójcy¹³³, a w tej dolinie zasnutej dymami i parą było obozowisko zbuntowanych demokratów, gotowych lada chwila ruszyć do szturmów i zburzyć jej piękny świat.

Teraz dopiero rozumiała, jak gorąco kocha tę swoją duchową ojczyznę, gdzie kryształowe pajaki zastępują słońce, dywany – ziemię, posągi i kolumny – drzewa. Tę drugą ojczyznę, która ogarnia arystokrację wszystkich narodów, wykwinność wszystkich czasów i najpiękniejsze zdobycze cywilizacji.

I to wszystko miałoby runąć, umrzeć albo rozpieczętować się! ... Rycerska młodzież, która śpiewa z takim uczuciem, tańczy z wdziękiem, pojedynkuje się z uśmiechem albo skacze na środku jeziora w wodę za zgubionym kwiatkiem?... Mają zginać te ukochane przyjaciółki, które okrywały ją tyloma pieściznami albo siedząc u jej nóg opowiadały jej tyle drobnych tajemnic, albo oddalone od niej pisywały takie długie, bardzo długie listy, w których tkliwe uczucia mieszały się z nader wątpliwą ortografią?

A ta dobra służba, która ze swymi panami postępuje tak, jakby zaprzysięgała im dożgonną miłość, wierność i posłuszeństwo? A te modystki, które zawsze witają ją z uśmiechem i tak pamiętają o najdrobniejszym szczególe jej

¹³³ *Okopy Św. Trójcy* – dawna warownia przy ujściu Zbrucza do Dniestrzu, pod Kamieńcem Podolskim. W *Nie-Boskiej komedii* (1835) Krasiński przedstawił Okopy Św. Trójcy jako ostatnią twierdzę, gdzie broni się arystokracja. [przypis redakcyjny]

toalety, tak dokładnie wiedzą o jej triumfach? A te piękne konie, którym jaskółka mogłaby zazdrościć lotu, a te psy mądre i przywiązane jak ludzie, a te ogrody, gdzie ręka ludzka powznosiła pagórki, wylewała strumienie, modelowała drzewa? ... I to wszystko miałoby kiedyś zniknąć?...

Od tych rozmyślań przybył pannie Izabeli na twarz nowy wyraz – łagodnego smutku, który ją robił jeszcze piękniejszą. Mówiono, że już zupełnie dojrzała.

Rozumiejąc, że wielki świat jest wyższym światem, panna Izabela dowiedziała się powoli, że do tych wyżyn wzbić się można i stale na nich przebywać tylko za pomocą dwóch skrzydeł: urodzenia i majątku. Urodzenie zaś i majątek są przywiązane do pewnych wybranych rodzin, jak kwiat i owoc pomarańczy do pomarańczowego drzewa. Bardzo też jest możliwym, że dobry Bóg widząc dwie dusze z pięknymi nazwiskami, połączone węzłem sakramentu, pomnaża ich dochody i zsyła im na wychowanie aniołka, który w dalszym ciągu podtrzymuje sławę rodów swoimi cnotami, dobrym ułożeniem i pięknnością. Stąd wynika obowiązek oględnego zawierania małżeństw, na czym najlepiej znają się stare damy i sędziwi panowie. Wszystko znaczy trafny dobór nazwisk i majątków. Miłość bowiem, nie ta szalona, o jakiej marzą poeci, ale prawdziwie chrześcijańska, zjawia się dopiero po sakramencie i najzupełniej wystarcza, ażeby żona umiała pięknie prezentować się w domu, a mąż z powagą asystować jej w świecie.

Tak było dawniej i było dobrze, według zgodnej opinii wszystkich matron. Dziś zapomniano o tym i jest źle: mnożą się mezalianse i upadają wielkie rodziny.

„I nie ma szczęścia w małżeństwach” – dodawała po cichu panna Izabela, której młode mężatki opowiedziały niejeden sekret domowy.

Dzięki nawet tym opowiadaniom nabrała dużego wstrętu do małżeństwa i lekkiej wzgardy dla mężczyzn.

Mąż w szlafroku, który ziewa przy żonie, całuje ją mając pełne usta dymu z cygar, często odzywa się: „A dajże mi spokój”, albo po prostu: „Głupia jesteś!...” – ten mąż, który robi hałasy w domu za nowy kapelusz, a za domem wydaje pieniądze na ekwipaże dla aktorek, to wcale nieciekawe stworzenie. Co najgorsze, że każdy z nich przed ślubem był gorącym wielbicielem, mizerniał nie widząc długo swej pani, rumienił się, kiedy ją spotkał, a nawet niejeden obiecywał zastrzelić się z miłości.

Toteż mając lat osiemnaście, panna Izabela tyranizowała mężczyzn chłodem. Kiedy Wiktor Emanuel raz pocałował ją w rękę, uprosiła ojca, że tego samego dnia wyjechali z Rzymu. W Paryżu oświadczył się jej pewien bogaty hrabia francuski; odpowiedziała mu, że jest Polką i za cudzoziemca nie wyjdzie. Podolskiego magnata odepchnęła zdaniem, że odda swoją rękę tylko temu, kogo pokocha, a na co się jeszcze nie zanoszą, a oświadczyzny jakiegoś amerykańskiego milionera zbyła wybuchem śmiechu.

Takie postępowanie na kilka lat wytworzyło dokoła panny pustkę. Podziwiano ją i wielbiono, ale z daleka; nikt bowiem nie chciał narażać się na szyderczą odmowę.

Po przejściu pierwszego niesmaku panna Izabela zrozumiała, że małżeństwo trzeba przyjąć takim, jakie jest. Była już zdecydowana wyjść za mąż, pod tym wszakże warunkiem, aby przyszedł towarzysz – podobał się jej, miał piękne nazwisko i odpowiedni majątek. Rzeczywiście, trafiali się jej ludzie piękni, majątni i utytułowani; na nieszczęście jednak, żaden nie łączył w sobie wszystkich trzech warunków, więc – znowu upłynęło kilka lat.

Nagle rozeszły się wieści o złym stanie interesów pana Tomasza i – z całego legionu konkurentów – zostało pannie Izabeli tylko dwu poważnych: pewien baron i pewien marszałek¹³⁴, bogaci, ale starzy.

Teraz spostrzegła panna Izabela, że w wielkim świecie usuwa jej się grunt pod nogami, więc zdecydowała się obniżyć skalę wymagań. Ale że baron i marszałek pomimo swoich majątków budzili w niej niepokonaną odrazę, więc odkładała stanowczą decyzję z dnia na dzień. Tymczasem pan Tomasz zerwał z towarzystwem. Marszałek nie mogąc się doczekać odpowiedzi wyjechał na wieś, strapiony baron za granicę i – panna Izabela pozostała kompletnie samą. Wprawdzie wiedziała, że każdy z nich wróci na pierwsze zawołanie, ale – którego tu wybrać?...

¹³⁴ *marszałek* – tu przedstawiciel szlachty z całej guberni prowadzący zarazem księgi rodowodowe szlachty. [przypis redakcyjny]

jak przytłumić wstręt?... Nade wszystko zaś, czy podobna robić z siebie taką ofiarę mając niejaka pewność, że kiedyś odzyska majątek, i wiedząc, że wówczas znowu będzie mogła wybierać. Tym razem już wybierze, poznawszy, jak ciężko jej żyć poza towarzystwem salonów...

Jedna rzecz w wysokim stopniu ułatwiała jej wyjście za mąż dla stanowiska. Oto panna Izabela nigdy nie była zakochaną. Przyczyniał się do tego jej chłodny temperament, wiara, że małżeństwo obejdzie się bez poetycznych dodatków, nareszcie miłość idealna, najdziwniejsza, o jakiej słyszano. Raz zobaczyła w pewnej galerii rzeźb posąg Apollina¹³⁵, który na niej zrobił tak silne wrażenie, że kupiła piękną jego kopię i ustawiła w swoim gabinecie. Przypatrywała mu się całymi godzinami, myślała o nim i kto wie, ile pocałunków ogrzało ręce i nogi marmurowego bóstwa?... I stał się cud: pieszczony przez kochającą kobietę głaz ożył. A kiedy pewnej nocy zapłakana usnęła, nieśmiertelny zstąpił ze swego piedestału i przyszedł do niej w laurowym wieńcu na głowie, jaśniejący mistycznym¹³⁶ blaskiem.

Siadł na krawędzi jej łóżka, długo patrzył na nią oczyma, z których przeglądała wieczność, a potem objął ją w potężnym uścisku i pocałunkami białych ust ocierał łzy i chłodził jej gorączkę.

¹³⁵ *posąg Apollina* – Apollo: w greckiej mitologii starożytnej bóg słońca i sztuk pięknych, zwykle przedstawiany w sztuce jako idealnie piękny młodzieniec. [przypis redakcyjny]

¹³⁶ *mistyczny* – tu w znaczeniu: tajemniczy, nadprzyrodzony. [przypis redakcyjny]

Odtąd nawiedzał ją coraz częściej i omdlewającej w jego objęciach szeptał on, bóg światła, tajemnice nieba i ziemi, jakich dotychczas nie wypowiedziano w śmiertelnym języku. A przez miłość dla niej sprawił jeszcze większy cud, gdyż w swym boskim obliczu kolejno ukazywał jej upięksovane rysy tych ludzi, którzy kiedykolwiek zrobili na niej wrażenie.

Raz był podobnym do odmłodzonego jenerała-bohatera, który wygrał bitwę i z wyżyn swego siodła patrzył na śmierć kilku tysięcy walecznych. Drugi raz przypominał twarz najslawniejszego tenora, któremu kobiety rzucały kwiaty pod nogi, a mężczyźni wypręgalii konie z powozu. Inny raz był wesołym i pięknym księciem krwi jednego z najstarszych domów panujących; inny raz dzielnym strażakiem, który za wydobyć trzech osób z płomieni na piątym piętrze dostał legię honorową¹³⁷; inny raz był wielkim rysownikiem, który przytłaczał świat bogactwem swojej fantazji, a inny raz weneckim gondolierem albo cyrkowym atletą nadzwyczajnej urody i siły.

Każdy z tych ludzi przez pewien czas zaprzętał tajemne myśli panny Izabeli, każdemu poświęcała najcichsze westchnienia rozumiejąc, że dla tych czy innych powodów kochać go nie może i – każdy z nich za sprawą bóstwa ukazywał się w jego postaci, w półrzeczywistych marzeniach. A od tych widzeń oczy panny Izabeli przybrały nowy wyraz – jakiegoś nadziemskiego

¹³⁷ *legia honorowa* – najwyższy order francuski ustanowiony przez Napoleona w 1802 r. [przypis redakcyjny]

zamyślenia. Niekiedy spoglądały one gdzieś ponad ludzi i poza świat; a gdy jeszcze jej popielate włosy na czole ułożyły się tak dziwnie, jakby je rozwał tajemniczy podmuch, patrzącym zdawało się, że widzą anioła albo świętą.

Przed rokiem w jednej z takich chwil zobaczył pannę Izabelę Wokulski. Odtąd serce jego nie zaznało spokoju.

Prawie w tym samym czasie pan Tomasz zerwał z towarzystwem i na znak swoich rewolucyjnych usposobień zapisał się do Resursy Kupieckiej. Tam z pomiatanymi niegdyś garbarzami, szczotkarzami i dystylatorami¹³⁸ grywał w wista, głosząc na prawo i na lewo, że arystokracja nie powinna zasklepić się w wyłączności, ale przodować oświeconemu mieszczaństwu, a przez nie narodowi. Za co wywzajemniając się dumni dziś garbarze, szczotkarze i dystylatorzy raczyli przyznawać, że pan Tomasz jest jedynym arystokratą, który pojął swe obowiązki względem kraju i spełnia je sumiennie. Mogli byli dodać: spełnia co dzień od dziewiątej wieczór do północy.

I kiedy w ten sposób pan Tomasz dźwigał jarzmo stanowiska, panna Izabela trawiła się w samotności i ciszy swego pięknego lokalu. Nieraz Mikołaj już twardo drzemał w fotelu, panna Florentyna, zatkawszy sobie uszy watą, na dobre spała, a do pokoju panny Izabeli sen jeszcze nie zapukał odpędzany przez wspomnienia. Wtedy zrywała się z łóżka i odziana w lekki szlafroczek całymi godzinami chodziła po salonie, gdzie dywan

¹³⁸ *dystylator* – tu: fabrykant wódek (dziś: destylator). [przypis redakcyjny]

głuszył jej kroki i tylko tyle było światła, ile go rzucały dwie skąpe latarnie uliczne.

Chodziła, a w ogromnym pokoju tłoczyły się jej smutne myśli i widziadła osób, które tu kiedyś bywały. Tu drzemie stara księżna; tu dwie hrabiny informują się u prałata¹³⁹, czy można dziecko ochrzcić wodą różaną¹⁴⁰? Tu rój młodzieży zwraca ku niej tęskne spojrzenia albo udanym chłodem usiłuje podniecić w niej ciekawość; a tam girlanda panien, które pieszczą ją wzrokiem, podziwiają albo jej zazdroszczą. Pełno światła, szelestów, rozmów, których większa część, jak motyle około kwiatów, krążyły około jej piękności. Gdzie ona się znalazła, tam obok niej wszystko bladło; inne kobiety były jej tłem, a mężczyźni niewolnikami.

I to wszystko przeszło!... I dziś w tym salonie – chłodno, ciemno i pusto... Jest tylko ona i niewidzialny pająk smutku, który zawsze zasnuwa szarą siecią te miejsca, gdzie byliśmy szczęśliwi i skąd szczęście uciekło. Już uciekło!... Panna Izabela wyłamywała sobie palce, ażeby pohamować się od łez, których wstyd jej było nawet w pustce i w nocy.

Wszyscy ją opuścili, z wyjątkiem – hrabiny Karolowej, która, kiedy wezbrał jej zły humor, przychodziła tu i szeroko zasiadłszy na kanapie, prawiła wśród westchnień:

– Tak, droga Belciu, musisz przyznać, że popełniłaś kilka błędów nie do darowania. Nie mówię o Wiktorze Emanuelu, bo

¹³⁹ *prałat* – wyższy duchowny w Kościele katolickim. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁰ *woda różana* – roztwór wodny olejku różanego. [przypis redakcyjny]

tamto był przelotny kaprys króla trochę liberalnego¹⁴¹ i zresztą bardzo zadłużonego. Na takie stosunki trzeba mieć więcej – nie powiem: taktu, ale – doświadczenia – ciągnęła hrabina, skromnie spuszczaając powieki. – Ale wypuścić czy – jeśli chcesz – odrzucić hrabiego Saint-Auguste, to już daruj!... Człowiek młody, majątny, bardzo dobrze, i jeszcze z taką karierą!... Teraz właśnie przewodniczy jednej deputacji¹⁴² do Ojca świętego i zapewne dostanie specjalne błogosławieństwo dla całej rodziny, no a hrabia Chambord¹⁴³ nazywa go *cher cousin*¹⁴⁴... Ach, Boże!

– Myślę, ciociu, że martwić się tym już za późno – wtrąciła panna Izabela.

– Alboż ja chcę cię martwić, biedne dziecko! I bez tego czekają cię ciosy, które ukoić może tylko głęboka wiara. Zapewne wiesz, że ojciec stracił wszystko, nawet resztę twego posagu?

– Cóż ja na to poradzę?

– A jednak ty tylko możesz radzić i powinnaś – mówiła hrabina z naciskiem. – Marszałek nie jest wprawdzie Adonisem¹⁴⁵, no – ale... Gdyby nasze obowiązki były do

¹⁴¹ *liberalny* – tu: w znaczeniu zwolennika swobody obyczajów. [przypis redakcyjny]

¹⁴² *deputacja* – poselstwo. [przypis redakcyjny]

¹⁴³ hrabia Chambord (1820–1883) – potomek rodu Bourbonów, wnuk Karola X, pretendent do tronu francuskiego, znany pod imieniem Henryka V. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁴ *cher cousin* (fr.) – drogi kuzynie. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁵ *Adonis* – w mit. gr. piękny młodzieniec, kochanek bogini Afrodyty. [przypis redakcyjny]

spełnienia łatwe, nie istniałaby zasługa. Zresztą, mój Boże, któż nam broni mieć na dnie duszy jakiś ideał, o którym myśl osładza najcięższe chwile? Na koniec, mogę cię zapewnić, że położenie pięknej kobiety, mającej starego męża, nie należy do najgorszych. Wszyscy interesują się nią, mówią o niej, składają hołdy jej poświęceniu, a znowu stary mąż jest mniej wymagający od męża w średnim wieku...

– Ach, ciociu...

– Tylko bez egzaltacji, Belciu! Nie masz lat szesnastu i na życie musisz patrzeć serio. Nie można przecie dla jakiejś idiosynkrazji¹⁴⁶ poświęcić bytu ojca, a choćby Flory i waszej służby. Wreszcie pomyśl, ile ty przy twym szlachetnym serduszkum mogłabyś zrobić dobrego rozporządzając znacznym majątkiem.

– Ależ, ciociu, marszałek jest obrzydliwy. Jemu nie żony trzeba, ale niańki, która by mu ocierała usta.

– Nie upieram się przy marszałku, więc baron...

– Baron jeszcze starszy, farbuje się, różuje i ma jakieś plamy na rękach.

Hrabina podniosła się z kanapy.

– Nie nalegam, moja droga, nie jestem swatką, to należy do pani Meliton. Zwracam tylko uwagę, że nad ojcem wisi katastrofa.

– Mamy przecie kamienicę.

¹⁴⁶ *idiosynkrazja* – wstręt do pewnych przedmiotów, pokarmów, osób. [przypis redakcyjny]

– Którą sprzedają najdalej po św. Janie, tak że nawet twoja suma spadnie.

– Jak to – dom, który kosztował sto tysięcy, sprzedadzą za sześćdziesiąt?...

– Bo on nie wart więcej, bo ojciec za dużo wydał. Wiem to od budowniczego, który oglądał go z polecenia Krzeszowskiej.

– Więc w ostateczności mamy serwis... srebra... – wybuchnęła panna Izabela załamując ręce.

Hrabina ucałowała ją kilkakrotnie.

– Drogie, kochane dziecko – mówiła łkając – że też właśnie ja muszę tak ranić ci serce!... Słuchaj więc... Ojciec ma jeszcze długi wekslowe, jakieś parę tysięcy rubli. Otóż te długi... uważasz... te długi ktoś skupił... kilka dni temu, w końcu marca. Domyślały się, że to zrobiła Krzeszowska...

– Cóż za nikczemność! – szepnęła panna Izabela. – Ale mniejsza o nią... Na pokrycie paru tysięcy rubli wystarczy mój serwis i srebra.

– Są one warte bez porównania więcej, ale – kto dziś kupi rzeczy tak kosztowne?

– W każdym razie spróbuję – mówiła rozgorączkowana panna Izabela. – Poproszę panią Meliton, ona mi to ułatwi...

– Zastanów się jednak, czy nie szkoda tak pięknych pamiątek. Panna Izabela roześmiała się.

– Ach, ciociu... Więc mam wahać się pomiędzy sprzedażem siebie i serwisu?... Bo na to, ażeby zabierano nam meble, nigdy nie pozwolę... Ach, ta Krzeszowska... to wykupywanie weksli...

co za ohyda!

– No, może to jeszcze nie ona.

– Więc chyba znalazł się jakiś nowy nieprzyjaciół, gorszy od niej.

– Może to ciotka Honorata – uspokajała ją hrabina – czy ja wiem? Może chce dopomóc Tomaszowi, ale zawieszając nad nim groźbę. Lecz bądź zdrowa, moje kochane dziecko, *adieu*¹⁴⁷...

Na tym skończyła się rozmowa w języku polskim, gęsto ozdobionym francuszczyzną, co robiło go podobnym do ludzkiej twarzy okrytej wysypką.

¹⁴⁷ *adieu* (fr.) – do widzenia. [przypis redakcyjny]

VI. W jaki sposób nowi ludzie ukazują się nad starymi horyzontami

Początek kwietnia, jeden z tych miesięcy, które służą za przejście między zimą i wiosną. Śnieg już zniknął, ale nie ukazała się jeszcze zieloność; drzewa są czarne, trawniki szare i niebo szare: wygląda jak marmur poprzecinany srebrnymi i złotawymi nitkami.

Jest około piątej po południu. Panna Izabela siedzi w swoim gabinecie i czyta najnowszą powieść Zoli¹⁴⁸: *Une page d'amour*¹⁴⁹. Czyta bez uwagi, co chwilę podnosi oczy, spogląda w okno i półświadomie formułuje sąd, że gałązki drzew są czarne, a niebo szare. Znowu czyta, spogląda po gabinecie i półświadomie myśli, że jej meble kryte błękitną materią i jej niebieski szlafroczek mają jakiś szary odcień i że festony białej firanki są podobne do wielkich sopli śniegu. Potem zapomina, o czym myślała w tej chwili, i pyta się w duchu: „O czym ja myślałam?... Ach, prawda, o kweście wielkotygodniowej...” I nagle czuje ochotę przejechania się kareta, a jednocześnie czuje żal do nieba, że jest takie szare, że złotawe żyłki na nim są tak

¹⁴⁸ Zola Emil (1840–1902) – znakomity powieściopisarz francuski, twórca naturalizmu w literaturze. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁹ „*Une page d'amour*” (fr.) – *Kartka miłości*, powieść Zoli, wówczas nowość wydawnicza. W dalszym ciągu Prus wspomina o bohaterce powieści Helenie Grandjean, w której kocha się pan Rambaud. [przypis redakcyjny]

wąskie... Dręczy ją jakiś cichy niepokój, jakieś oczekiwanie, ale nie jest pewna, na co czeka: czy na to, ażeby chmury się rozdarły, czy na to, ażeby wszedł lokaj i wręczył jej list zapraszający na wielkotygodniową kwestę? Już taki krótki czas, a jej nie proszą.

Znowu czyta powieść, ten rozdział, kiedy podczas gwiazdzistej nocy p. Rambaud naprawiał zepsutą lalkę małej Joasi. Helena tonęła we łzach bezprzedmiotowego żalu, a opat¹⁵⁰ Jouve radził, ażeby wyszła za męża. Panna Izabela odczuwa ten żal i kto wie, czy gdyby w tej chwili ukazały się na niebie gwiazdy, zamiast chmur, czy nie rozplakałaby się tak jak Helena. Wszak to już ledwo parę dni do kwesty, a jej jeszcze nie proszą. Że zaproszą, o tym wie, ale dlaczego zwłóczy¹⁵¹?...

„Te kobiety, które zdają się tak gorąco szukać Boga, bywają niekiedy nieszczęśliwymi istotami, których serce wzburzyła namiętność. Idą do kościoła, ażeby tam wielbić mężczyznę” – mówił opat Jouve.

„Pocziwy opat, jak on chciał uspokoić tę biedną Helenę!” – myśli panna Izabela i nagle odrzuca książkę. Opat Jouve przypomniał jej, że już od dwu miesięcy haftuje pas do kościelnego dzwonka i że go jeszcze nie skończyła. Podnosi się z fotelu i przysuwa do okna stolik z tamburkiem¹⁵², z pudełkiem różnokolorowych jedwabów z kolorowym deseniem; rozwija

¹⁵⁰ *opat* – tytuł przełożonego w niektórych klasztorach. [przypis redakcyjny]

¹⁵¹ *zwłóczyć* – dziś: zwlekać; ociągać się. [przypis edytorski]

¹⁵² *tamburek* – bębenek, na którym naciąga się materiał do haftowania. [przypis redakcyjny]

pas i zaczyna gorliwie wyszywać na nim róże i krzyże. Pod wpływem pracy w sercu budzi się otucha. Kto tak, jak ona, służy Kościołowi, nie może być zapomnianym przy wielkotygodniowej kweście. Wybiera jedwabie, nawłoczy¹⁵³ igły i szyje wciąż. Oko jej przebiega od wzoru do haftu, ręka spada z góry na dół, wznosi się z dołu do góry, ale w myśli zaczyna rodzić się pytanie dotyczące kostiumu na groby i toalety na Wielkanoc. Pytanie to wkrótce zapełnia jej całą uwagę, zasłania oczy i zatrzymuje rękę. Suknia, kapelusz, okrywka i parasolka, wszystko musi być nowe, a tu tak niewiele czasu i nie tylko nic nie zamówione, ale nawet nie wybrane!...

Tu przypomina sobie, że jej serwis i srebra już znajdują się u jubilera, że już trafia się jakiś nabywca i że dziś lub jutro będą sprzedane. Panna Izabela czuje ściśnięcie serca za serwisem i srebrami, lecz doznaje niejakiej ulgi na myśl o kweście i nowej toalecie. Może mieć bardzo piękną, ale jaką?...

Odsuwa tamburek i ze stolika, na którym leżą Szekspir, Dante, album europejskich znakomitości tudzież kilka pism, bierze: „Le Moniteur de la Mode”¹⁵⁴ i zaczyna go przeglądać z największą uwagą. Oto jest toaleta obiadowa; oto ubiory wiosenne dla panienek, panien, mężatek, młodych mężatek i ich matek; oto suknie wizytowe, ceremonialne, spacerowe; sześć nowych form kapeluszy, z dziesięć materiałów, kilkadziesiąt barw... Co tu

¹⁵³ nawłoczyć – dziś: nawlekać. [przypis edytorski]

¹⁵⁴ „Le Moniteur de la Mode” (fr.) – monitor mody: tytuł żurnala mód paryskich (monitor: doradca, nauczyciel). [przypis redakcyjny]

wybrać, o Boże?... Niepodobna wybierać bez naradzenia się z panną Florentyną i z magazynierką...

Panna Izabela z niechęcią odrzuca monitora mody i siada na szeszlunku¹⁵⁵ w postaci półleżącej. Ręce splecione jak do modlitwy opiera na poręczy, głowę na rękach i patrzy w niebo rozmarzonymi oczyma. Kwesta wielkotygodniowa, nowa toaleta, chmury na niebie, wszystko miesza się w jej wyobraźni na tle żalu za serwisem i lekkiego uczucia wstydu, że go sprzedaje.

„Ach, wszystko jedno!” – mówi sobie i znowu pragnie, ażeby chmury rozdarły się choć na chwilę. Ale chmury zgęszczają się, a w jej sercu wzmagają się żal, wstyd i niepokój. Spojrzenie jej pada na stolik stojący tuż obok szeszlunku i na książkę do nabożeństwa oprawną w kość słoniową. Panna Izabela bierze do rąk książkę i powoli, kartka za kartką, wyszukuje w niej modlitwy: *Acte de resignation*¹⁵⁶, a znalazłszy, zaczyna czytać:

„*Que votre nom soit beni à jamais, bien qui avez voulu m'éprouver par cette peine.*”¹⁵⁷. W miarę jak czyta, szare niebo wyjaśnia się, a przy ostatnich słowach... „*et d'attendre en paix votre divin secours...*”¹⁵⁸, chmury pękają, ukazuje się kawałek czystego błękitu, gabinet panny Izabeli napętnia się światłem,

¹⁵⁵ *szeszlunek* – rodzaj wyściełanej sofy. [przypis redakcyjny]

¹⁵⁶ *Acte de resignation* (fr.) – akt poddania się woli bożej. [przypis redakcyjny]

¹⁵⁷ *Que votre nom soit beni à jamais...* (fr.) – „Niech imię Twoje będzie błogosławione na wieki, mimo że chciałeś mnie doświadczyć przez to cierpienie.” [przypis redakcyjny]

¹⁵⁸ ...*et d'attendre en paix votre divin secours...* (fr.) – „...i oczekiwać w pokoju Twej boskiej pomocy.” [przypis redakcyjny]

a jej dusza spokojem. Teraz jest pewna, że modły jej zostały wysłuchane, że będzie miała najpiękniejszą toaletę i najlepszy kościół do kwesty.

W tej chwili delikatnie otwierają się drzwi gabinetu; staje w nich panna Florentyna, wysoka, czarno ubrana, nieśmiała, trzyma w dwu palcach list i mówi cicho:

– Od pani Karolowej.

– Ach, w sprawie kwesty – odpowiada panna Izabela z czarującym uśmiechem. – Cały dzień nie zaglądałaś do mnie, Florciu.

– Nie chcę ci przeszkadzać.

– W nudzeniu się?... – pyta panna Izabela. – Kto wie, czy nie byłoby nam weselej nudzić się w jednym pokoju.

– List... – mówi nieśmiała osoba w czarnej sukni, wyciągając rękę do Izabeli.

– Znam jego treść – przerywa panna Izabela. – Posiedź trochę u mnie i jeżeli nie zrobi ci subiekcji¹⁵⁹, przeczytaj ten list.

Panna Florentyna siada nieśmiało na fotelu, delikatnie bierze z biurka nożyk i z największą ostrożnością przecina kopertę. Kładzie na biurku nożyk, potem kopertę, rozwija papier i cichym, melodyjnym głosem czyta list pisany po francusku:

„Droga Belu! wybaczyć, że odzywam się w sprawie, którą tylko ty i twój ojciec macie prawo rozstrzygać. Wiem, drogie dziecię, że pozbywasz się tego serwisu i sreber, sama mi zresztą o tym mówiłaś. Wiem też, że znalazł się nabywca, który ofiarowuje

¹⁵⁹ *subiekcja* – kłopot. [przypis edytorski]

wam pięć tysięcy rubli, moim zdaniem za mało, choć w tych czasach trudno spodziewać się więcej. Po rozmowie jednak, jaką miałam w tej materii z Krzeszowską, zaczynam lękać się, ażeby piękne te pamiątki nie przeszły w niewłaściwe ręce.

Chciałabym temu zapobiec, proponuję ci więc, jeżeli zgodzisz się, trzy tysiące rubli pożyczki na zastaw wspomnianego serwisu i sreber. Sądzę, że dziś wygodniej będzie im u mnie, gdy ojciec twój znajduje się w takich kłopotach. Odebrać je będziesz mogła, kiedy zechcesz, a w razie mojej śmierci nawet bez zwracania pożyczki.

Nie narzucam się, tylko proponuję. Rozważ, jak ci będzie wygodniej, a nade wszystko pomyśl o następstwach.

O ile cię znam, byłabyś boleśnie dotkniętą usłyszawszy kiedyś, że nasze rodzinne pamiątki zdobią stół jakiego bankiera albo należą do wyprawy jego córki.

Zasłałam ci tysiące pocałunków.

Joanna

P. S. Wyobraź sobie, co za szczęście spotkało moją ochronkę. Będąc wczoraj w sklepie tego sławnego Wokulskiego przymówiłam się o mały datek dla sierot. Liczyłam na jakie kilkanaście rubli, a on, czy uwierzysz, ofiarował mi tysiąc, wyraźnie: tysiąc rubli, i jeszcze powiedział, że na moje ręce nie śmiałby złożyć mniejszej sumy. Kilku takich Wokulskich, a czuję, że na starość zostałabym demokratką.”

Panna Florentyna skończywszy list nie śmiała oderwać od niego oczu. Wreszcie odważyła się i spojrzała: panna Izabela

siedziała na szeszlengu blada, z zaciśniętymi rękami.

– Cóż ty na to, Florciu? – spytała po chwili.

– Myślę – odparła cicho zapytana – że pani Karolowa na początku listu najtrafniej osądziła swoje stanowisko w tej sprawie.

– Co za upokorzenie! – szepnęła panna Izabela, nerwowo bijąc ręką w szeszleng.

– Upokorzeniem jest proponować komuś trzy tysiące rubli na zastaw sreber, i to wówczas, gdy obcy ofiarowują pięć tysięcy... Innego nie widzę.

– Jak ona nas traktuje... My chyba naprawdę jesteśmy zrujnowani...

– Ależ, Belciu!... – przerwała ożywiając się panna Florentyna.
– Właśnie ten cierpki list dowodzi, że nie jesteście zrujnowani. Ciotka lubi być cierpką, ale umie oszczędzać nieszczęście. Gdyby wam groziła ruina, znaleźlibyście w niej tkliwą i delikatną pocieszycielkę.

– Dziękuję za to.

– I nie potrzebujesz obawiać się tego. Jutro wpłynie nam pięć tysięcy rubli, za które można prowadzić dom przez pół roku... choćby przez kwartał. Za parę miesięcy...

– Zlicytują nam kamienicę...

– Prosta forma, i nic więcej. Owszem, możecie zyskać, podczas gdy dzisiaj kamienica jest tylko ciężarem. No, a po ciotce Hortensji dostaniesz ze sto tysięcy rubli. Zresztą – dodała po chwili panna Florentyna podnosząc brwi – ja sama nie jestem

pewna, czy i ojciec nie ma jeszcze majątku. Wszyscy są tego zdania...

Panna Izabela wychyliła się z szezlonga i ujęła rękę panny Florentyny.

– Florciu – rzekła zniżając głos – komu ty to mówisz?... Więc naprawdę uważasz mnie tylko za pannę na wydaniu, która nic nie widzi i niczego nie pojmuję?... Myślisz, że nie wiem – domówiła jeszcze ciszej – że już miesiąc, jak pieniądze na utrzymanie domu pożyczasz od Mikołaja...

– Może właśnie ojciec chce tego...

– Czy i tego chce, ażebyś mu co rano podkładała kilka rubli do pugilaresu?

Panna Florentyna spojrzała jej w oczy i poruszyła głową.

– Za dużo wiesz – odparła – ale nie wszystko. Już od dwu tygodni, może od dziesięciu dni widzę, że ojciec miewa po kilkanaście rubli...

– Więc zaciąga długi...

– Nie, ojciec nigdy nie zaciąga długów w mieście. Każdy wierzyciel przychodzi z pożyczką do domu i w gabinecie ojca dostaje kwit albo procent. Nie znasz go pod tym względem.

– Więc skądże teraz ma pieniądze?

– Nie wiem. Widzę, że ma, i słyszę, że zawsze je miał.

– Po cóż w takim razie zezwala na sprzedaż sreber? – pytała natarczywie panna Izabela.

– Może chce zirytować rodzinę.

– A kto wykupił jego weksle?

Panna Florentyna zrobiła rękoma ruch oznaczający rezygnację.

– Nie wykupiła ich Krzeszowska – rzekła – to wiem na pewno.

– Więc – albo ciotka Hortensja, albo...

– Albo?...

– Albo sam ojciec. Czy nie wiesz, ile rzeczy robi ojciec, ażeby zaniepokoić rodzinę, a potem śmiać się...

– Za cóż chciałby mnie, nas niepokoić?

– Myśli, że ty jesteś spokojna. Córka powinna nieograniczenie ufać ojcu.

– Ach, tak!... – szepnęła panna Izabela zamyślając się.

Czarno ubrana kuzynka z wolna podniosła się z fotelu i cicho wyszła.

Panna Izabela znowu poczęła patrzeć na swój pokój, który wydał się jej popielatym, na czarne gałązki, które chwiały się za oknem, na parę wróbli świergoczących może o budowie gniazda, na niebo, które stało się jednolicie szarym, bez żadnej jaśniejszej prążki. W jej pamięci znowu odżyła sprawa kwesty i nowej toalety, ale obie wydały się jej tak małymi, tak prawie śmiesznymi, że myśląc o nich nieznacznie wzruszyła ramionami.

Dreczyły ją inne pytania: czyby nie oddać serwisu hrabinie Karolowej – i – skąd ojciec ma pieniądze? Jeżeli miał je dawniej, dlaczego pozwolił na zaciąganie długów u Mikołaja?... A jeżeli nie miał, z jakiego źródła czerpie je dziś?... Jeżeli ona odda serwis i srebra ciotce, może stracić okazję do korzystnego pozbycia się ich, a jeżeli sprzeda za pięć tysięcy, pamiątki

te naprawdę mogą dostać się w niewłaściwe ręce, jak pisała hrabina.

Nagle przerwał się ten bieg myśli: bystre jej ucho usłyszało w dalszych pokojach szmer. Było to męskie stąpanie, miarowe, spokojne. W salonie stłumił je nieco dywan, w pokoju jadalnym wzmocniło się, w jej sypialni przycichło, jakby ktoś szedł na palcach.

– Proszę, papo – odezwała się panna Izabela usłyszawszy pukanie do swych drzwi.

Wszedł pan Tomasz. Ona podniosła się z szezlonga, ale ojciec nie pozwolił na to. Objął ją w ramiona, ucałował w głowę i zanim usiadł przy niej, rzucił okiem w duże lustro na ścianie. Zobaczył tam swoją piękną twarz, siwe wąsy, swój ciemny żakiet¹⁶⁰ bez zarzutu, gładkie spodnie, jakby dopiero co wyszły od krawca, i uznał, że wszystko jest dobrze.

– Słyszę – rzekł do córki uśmiechając się – że panienka odbiera korespondencje, które jej psują humor.

– Ach, papo, gdybyś wiedział, jakim tonem przemawia ciotka...

– Zapewne tonem osoby chorej na nerwy. Za to nie możesz mieć do niej żalu.

– Gdyby tylko żal. Ja boję się, że ona ma rację i że nasze srebra mogą naprawdę znaleźć się na jakim bankierskim stole.

Przytuliła głowę do ramienia ojca. Pan Tomasz spojrzał niechęć w lusterko na stoliku i przyznał w duchu, że oboje w tej

¹⁶⁰ *żakiet* – długa marynarka maska z zaokrąglonymi połami. [przypis redakcyjny]

chwili tworzą bardzo piękną grupę. Szczególniej dobrze odbijała obawa rozlana na twarzy córki od jego spokoju. Uśmiechnął się.

– Bankierskie stoły!... – powtórzył. – Srebra naszych przodków bywały już na stołach Tatarów, Kozaków, zbuntowanych chłopów, i nie tylko nam to nie uchybiało, ale nawet przynosiło zaszczyt. Kto walczy, naraża się na straty.

– Tracili przez wojnę i na wojnie – wtrąciła panna Izabela.

– A dziś nie ma wojny?... Zmieniła się tylko broń: zamiast kosą albo jataganem¹⁶¹ walczą rublem. Joasia dobrze to rozumiała sprzedając nie serwis – ale rodzinny majątek, albo rozbierając na wybudowanie spichlerza ruiny zamku.

– Więc jesteśmy zwyciężeni!... – szepnęła panna Izabela.

– Nie, dziecko – odparł pan Tomasz prostując się. – My dopiero zaczniemy triumfować i bodaj czy nie tego boi się moja siostra i jej koteria¹⁶². Oni tak głęboko zasnęli, że razi ich każdy objaw żywotności, każdy mój śmielszy krok – dodał jakby do siebie.

– Twój, papo?

– Tak. Myśleli, że poproszę ich o pomoc. Sama Joasia chętnie zrobiłaby mnie swoim plenipotentem. Ja natomiast podziękowałem im za emeryturę i zbliżyłem się do mieszczaństwa. Zyskałem u tych ludzi powagę, która zaczyna

¹⁶¹ *jatagan* – wschodnia broń sieczna pośrednia między nożem a szablą [przypis redakcyjny]

¹⁶² *koteria* – grupa osób popierająca się wzajemnie, ze szkodą dla ogółu. [przypis redakcyjny]

trwożyć nasze sfery. Myśleli, że zejść na drugi plan, a widzą, że mogą wysunąć się na pierwszy.

– Ty, papo?

– Ja. Dotychczas milczałem nie mając odpowiednich wykonawców. Dziś znalazłem takiego, który zrozumiał moje idee, i zacznę działać.

– Któż to jest? – spytała panna Izabela, ze zdumieniem patrząc na ojca.

– Niejaki Wokulski, kupiec, żelazny człowiek. Przy jego pomocy zorganizuję nasze mieszczaństwo, stworzę towarzystwo do handlu ze Wschodem, tym sposobem dźwignę przemysł...

– Ty, papo?

– I wówczas zobaczymy, kto wysunie się naprzód, choćby przy możliwych wyborach do rady miejskiej¹⁶³...

Panna Izabela słuchała z szeroko otwartymi oczyma.

– Czy ten człowiek – szepnęła – o którym mówisz, papo, nie jest jakim aferzystą, awanturnikiem?...

– Nie znasz go więc? – spytał pan Tomasz. – On jednak jest jednym z naszych dostawców.

– Sklep znam, bardzo ładny – mówiła panna Izabela zamyślając się. – Jest tam stary subiekt, który wygląda trochę na dziwaka, ale nadzwyczajnie uprzejmy... Ach, zdaje mi się, że kilka dni temu poznałam i właściciela... Wygląda na gburą...

– Wokulski gbur?... – zdziwił się pan Tomasz. – Jest on

¹⁶³ przy możliwych wyborach do rady miejskiej – miasta w Królestwie, poza krótkim okresem rządów Wielopolskiego, nie posiadały samorządu. [przypis redakcyjny]

wprawdzą trochę sztywny, ale bardzo grzeczny.

Panna Izabela wstrząsnęła głową.

– Niemiły człowiek – odpowiedziała z ożywieniem. – Teraz przypominam go sobie... Będąc we wtorek w sklepie zapytałam go o cenę wachlarza. Trzeba było widzieć, jak spojrzał na mnie!... Nie odpowiedział nic, tylko wyciągnął swoją ogromną czerwoną rękę do subiekta (nawet dość eleganckiego chłopca) i mruknął głosem, w którym czuć było gniew: panie Morawski czy Mraczewski (bo nie pamiętam), pani zapytuje o cenę wachlarza. A... nieciekawego znalazł papo współnika!... – śmiała się panna Izabela.

– Szalonej energii człowiek, żelazny człowiek – odparł pan Tomasz. – Oni tacy. Poznasz ich, bo myślę urządzić w domu parę zebrań. Wszyscy oryginalni, ale ten oryginalniejszy od innych.

– Papa tych panów chce przyjmować?...

– Muszę naradzać się z niektórymi. A co do naszych – dodał patrząc w oczy córce – zapewniam cię, że gdy usłyszą, kto u mnie bywa, ani jednego nie zabraknie w salonie.

W tej chwili weszła panna Florentyna zapraszając na obiad. Pan Tomasz podał rękę córce i przeszli we troje do jadalnego pokoju, gdzie już znajdowała się waza tudzież Mikołaj odziany we frak i wielki biały krawat.

– Śmieję się z Belci – rzekł pan Tomasz do kuzynki, która nalewała rosół z wazy. – Wyobraź sobie, Floro, że Wokulski zrobił na niej wrażenie gbura. Czy ty go znasz?

– Któż by dziś nie znał Wokulskiego – odpowiedziała panna

Florentyna podając Mikołajowi talerz dla pana. – No, elegancki on nie jest, ale – robi wrażenie...

– Pnia z czerwonymi rękoma – wtrąciła ze śmiechem panna Izabela.

– On mi przypomina Trostiego, pamiętasz, Belu, tego pułkownika strzelców w Paryżu – odpowiedział Pan Tomasz.

– A mnie posąg triumfującego gladiatora¹⁶⁴ – melodyjnym głosem dodała panna Florentyna. – Pamiętasz Belu, we Florencji, tego z podniesionym mieczem? Twarz surowa, nawet dzika, ale piękna.

– A czerwone ręce?... – zapytała panna Izabela.

– Odmroził je na Syberii – wtrąciła panna Florentyna z akcentem.

– Cóż on tam robił?

– Pokutował za uniesienia młodości – rzekł pan Tomasz. – Można mu to przebaczyć.

– Ach, więc jest i bohaterem!...

– I milionerem – dodała panna Florentyna.

– I milionerem? – powtórzyła panna Izabela. – zaczynam wierzyć, że papo zrobił dobry wybór przyjmując go na wspólnika. Chociaż...

– Chociaż?... – spytał ojciec.

– Co powie świat na tę spółkę?

– Kto ma siłę w rękach, ma świat u nóg.

¹⁶⁴ *gladiator* – zapaśnik w starożytnym Rzymie, walczący na publicznych igrzyskach.
[przypis redakcyjny]

Właśnie Mikołaj obniósł połedwicę, gdy w przedpokoju zadzwoniono. Stary służący wyszedł i po chwili wrócił z listem na srebrnej, a może platerowanej tacy.

– Od pani hrabiny – rzekł.

– Do ciebie, Belu – dodał pan Tomasz biorąc list do ręki. – Pozwolisz, że cię zastąpię w połknięciu tej nowej pigułki.

Otworzył list, zaczął go czytać i ze śmiechem podał pannie Izabeli.

– Oto – zawołał – cała Joasia jest w tym liście. Nerwy, zawsze nerwy!...

Panna Izabela odsunęła talerz i z niepokojem przebiegła papier oczyma. Lecz stopniowo twarz jej wypogodziła się.

– Słuchaj, Florciu – rzekła – bo to ciekawe.

„Droga Belu! – pisze ciotka. – Zapomnij, aniołku, o moim poprzednim liście. W rezultacie twój serwis nic mnie nie obchodzi i znajdziemy inny, gdy będziesz szła za mąż. Ale chodzi mi, ażebyś koniecznie kwestowała tylko ze mną, i właśnie o tym miałam zamiar pisać poprzednio, nie o serwisie. Biedne moje nerwy! jeżeli nie chcesz ich do reszty rozstroić, musisz zgodzić się na moją prośbę.

Grób w naszym kościele będzie cudowny. Mój poczciwy Wokulski daje fontannę, sztuczne ptaszki śpiewające, pozytywkę¹⁶⁵, która będzie grała same poważne kawałki, i

¹⁶⁵ *pozytywka* – rodzaj małej katarynki, samogrającej po nakręceniu. [przypis redakcyjny]

mnóstwo dywanów. Hozer¹⁶⁶ dostarcza kwiatów, a amatorowie urządzają koncert na organ¹⁶⁷, skrzypce, wiolonczelę i głosy. Jestem zachwycona, ale gdyby mi wśród tych cudów zabrakło ciebie, rozchorowałabym się. A więc tak?... Ściskam cię i całuję po tysiąc razy, kochająca ciotka.

Joanna

Postscriptum. Jutro jedziemy do magazynu zamówić dla ciebie kostium wiosenny. Umarłabym, gdybyś go nie przyjęła.”

Panna Izabela była rozpromieniona. List ten spełniał wszystkie jej nadzieje.

– Wokulski jest nieporównany! – rzekł śmiejąc się Pan Tomasz. – Szturmem zdobył Joasię, która nie tylko nie będzie mi wymawiała współnika, lecz nawet gotowa o niego walczyć ze mną.

Mikołaj podał kurczęta.

– Musi to być jednakże genialny człowiek – zauważyła panna Florentyna.

– Wokulski?... no, nie – mówił pan Tomasz. – Jest to człowiek szalonej energii, ale co się tyczy daru kombinowania,

¹⁶⁶ *Hozer* – właściwie: Hoser; założona przez Piotra Hosera ok. 1848 r. znana firma ogrodnicza Braci Hoser zajmowała się hodowlą i sprzedażą drzew owocowych, ozdobnych oraz kwiatów. [przypis redakcyjny]

¹⁶⁷ *organ* – dziś: organy. [przypis edytorski]

nie powiem, ażeby posiadał go w wysokim stopniu.

– Zdaje mi się, że składa tego dowody.

– Wszystko to są dowody tylko energii – odpowiedział pan Tomasz. – Dar kombinacji, genialny umysł poznaje się w innych rzeczach, choćby... w grze. Ja z nim dosyć często grywam w pikietę¹⁶⁸, gdzie koniecznie trzeba kombinować. Rezultat jest taki, że przegrałem osiem do dziesięciu rubli, a wygrałem około siedemdziesięciu, chociaż – nie mam pretensji do geniuszu! – dodał skromnie.

Pannie Izabeli wypadł z ręki widelec. Pobladła i chwyciwszy się za czoło szepnęła:

– A!... a!...

Ojciec i panna Florentyna zerwali się z krzeseł.

– Co ci jest Belu?... – spytał zatrwożony pan Tomasz.

– Nic – odpowiedziała wstając od stołu – migrena. Od godziny czułam, że będę ją mieć... To nic, papo...

Pocałowała ojca w rękę i wyszła do swego pokoju.

– Nagła migrena powinna by przejść zaraz – rzekł Pan Tomasz. – Pójdź do niej, Florciu. Ja na chwilę wyjdę do miasta, bo muszę zobaczyć się z kilkoma osobami, ale wcześniej wrócę. Tymczasem czuwać nad nią, kochana Florciu, proszę cię o to – mówił pan Tomasz ze spokojną fizjognomią człowieka, bez którego poleceń albo prośby nie może być dobrze na świecie.

– Zaraz do niej pójde, tylko tu zrobię porządek – odpowiedziała panna Florentyna, dla której ład w domu był

¹⁶⁸ *pikieta* – gra w karty na dwie osoby. [przypis redakcyjny]

sprawą ważniejszą od czyjejkolwiek migreny.

Już mrok ogarnął ziemię... Panna Izabela jest znowu sama w swoim gabinecie; upadła na szezlong i obu rękami zasłoniła oczy. Spod kaskady tkanin spływających aż na podłogę wysunął się jej wąski pantofelek i kawałek pończoszki; ale tego nikt nie widzi ani ona o tym nie myśli. W tej chwili jej duszę znowu targa gniew, żal i wstyd. Ciotka ją przeprosiła, ona sama będzie kwestować przy najładniejszym grobie i będzie miała najpiękniejszy kostium; lecz mimo to – jest nieszczęśliwą... Doznaje takich uczuć, jak gdyby wszedłszy do pełnego salonu ujrzała nagle na swym nowym kostiumie ogromną tłustą plamę obrzydłej formy i koloru, jakby suknię wytarzano gdzieś na kuchennych schodach. Myśl o tym jest dla niej tak wstrętne, że ślina napływa jej do ust.

Co za straszne położenie!... Już miesiąc zadłużają się u swego lokaja, a od dziesięciu dni jej ojciec na swoje drobne wydatki wygrywa pieniądze w karty... Wygrać można; panowie wygrywają tysiące, ale – nie na opędzenie pierwszych potrzeb, i przecież – nie od kupców. Ach, gdyby można, upadłaby ojcu do nóg i błagała go, ażeby nie grywał z tymi ludźmi, a przynajmniej nie teraz, kiedy ich stan majątkowy jest tak ciężki. Za kilka dni, gdy odbierze pieniądze za swój serwis, sama wręczy ojcu paręset rubli prosząc, ażeby je przegrał do tego pana Wokulskiego, ażeby wynagrodził go hojniej, niż ona wynagrodzi Mikołaja za zaciągnięte długi.

Ale czyż jej wypada zrobić to, a nawet mówić o tym ojcu?...

„Wokulski?... Wokulski?... – szepcze panna Izabela. – Któż to jest ten Wokulski, który dziś tak nagle ukazał się jej od razu z kilku stron, pod rozmaitymi postaciami. Co on ma do czynienia z jej ciotką, z ojcem?...”

I otóż zdaje się jej, że już od kilku tygodni coś słyszała o tym człowieku. Jakiś kupiec niedawno ofiarował parę tysięcy rubli na dobroczynność, ale nie była pewna, czy to był handlujący strojami damskimi, czy futrami. Potem mówiono, że także jakiś kupiec podczas wojny bułgarskiej¹⁶⁹ dorobił się wielkiego majątku, tylko nie uważała, czy dorobił się szewc, u którego ona bierze buciki, czy jej fryzjer? I dopiero teraz przypomina sobie, że ten kupiec, który dał pieniądze na dobroczynność, i ten, który zyskał duży majątek, są jedną osobą, że to właśnie jest ów Wokulski, który do jej ojca przegrywa w karty, a którego jej ciotka, znana z dumy hrabina Karolowa, nazywa: „mój poczciwy Wokulski!...”

W tej chwili przypomina sobie nawet fizjognomię tego człowieka, który w sklepie nie chciał z nią mówić, tylko cofnąwszy się za ogromne japońskie wazony przypatrywał się jej posępnie. Jak on na nią patrzył...

Jednego dnia weszła z panną Florentyną na czekoladę do cukierni, przez figle. Usiadły przy oknie, za którym zebrali się kilkoro obdartych dzieci. Dzieci spoglądały na nią, na czekoladę

¹⁶⁹ *wojna bułgarska* – wojna ta została wypowiedziana Turcji przez Rosję pod pretekstem obrony Bułgarów i toczyła się głównie na terenie Bułgarii; stąd nazwa bułgarskiej [przypis redakcyjny]

i na ciastka z ciekawością i łakomstwem głodnych zwierzątek, a ten kupiec – tak samo na nią patrzył.

Lekki dreszcz przebiegł pannę Izabelę. I to ma być wspólnik jej ojca?... Do czego ten wspólnik?... Skąd jej ojcu przyszło do głowy zawiązywać jakieś towarzystwa handlowe, tworzyć jakieś rozległe plany, o których nigdy dawniej nie marzył?... Chce przy pomocy mieszczaństwa wysunąć się na czoło arystokracji; chce zostać wybranym do rady miejskiej, której nie było i nie ma?...

Ależ ten Wokulski to naprawdę jakiś aferzysta, może oszust, który potrzebuje głośnego nazwiska na szyld do swoich przedsiębiorstw. Bywały takie wypadki. Ileż pięknych nazwisk szlachty niemieckiej i węgierskiej unurzało się w operacjach handlowych, których ona nawet nie rozumie, a ojciec chyba nie więcej.

Zrobiło się już zupełnie ciemno; na ulicy zapalono latarnie, których blask wpadał do gabinetu panny Izabeli malując na suficie ramę okna i zwoje firanki. Wyglądało to jak krzyż na tle jasności, którą powoli zasłania gęsty obłok.

„Gdzie to ja widziałam taki krzyż, taką chmurę i jasność?...” – zapytała się panna Izabela. Zaczęła przypominać sobie widziane w życiu okolice i – marzyć.

Zdawało się jej, że powozem jedzie przez jakąś znaną miejscowość. Krajobraz jest podobny do olbrzymiego pierścienia, utworzonego z lasów i zielonych gór, a jej powóz znajduje się na krawędzi pierścienia i zjeżdża na dół. Czy on zjeżdża? bo ani zbliża się do niczego, ani od niczego nie oddala,

tak jakby stał w miejscu. Ale zjeżdża: widać to po wizerunku słońca, które odbija się w lakierowanym skrzydle powozu i drgając, z wolna posuwa się w tył. Zresztą słychać turkot... To turkot dorożki na ulicy?... Nie, to turkoczą maszyny pracujące gdzieś w głębi owego pierścienia gór i lasów. Widać tam nawet, na dole, jakby jezioro czarnych dymów i białych par, ujęte w ramę zieleności.

Teraz panna Izabela spostrzega ojca, który siedzi przy niej i z uwagą ogląda sobie paznokcie, od czasu do czasu rzucając okiem na krajobraz. Powóz ciągle stoi na krawędzi pierścienia niby bez ruchu, a tylko wizerunek słońca, odbitego w lakierowanym skrzydle, wolno posuwa się ku tyłowi. Ten pozorny spoczynek czy też utajony ruch w wysokim stopniu drażni pannę Izabelę. „Czy my jedziemy, czy stoimy?” – pyta ojca. Ale ojciec nie odpowiada nic, jakby jej nie widział; ogląda swoje piękne paznokcie i czasami rzuca okiem na okolicę...

Wtem (powóz ciągle drży i słychać turkot) z głębi jeziora czarnych dymów i białych par wynurza się do pół figury jakiś człowiek. Ma krótko ostrzyżone włosy, śniadą twarz, która przypomina Trostiego, pułkownika strzelców (a może gladiatora z Florencji?), i ogromne czerwone dłonie. Odziany jest w zasmoloną koszulę z rękawami zawiniętymi wyżej łokcia; w lewej ręce, tuż przy piersi, trzyma karty ułożone w wachlarz, w prawej, którą podniósł nad głowę, trzyma jedną kartę, widocznie w tym celu, aby ją rzucić na przód siedzenia powozu. Reszty postaci nie widać spośród dymu.

„Co on robi, ojciec?” – pyta się zalekniona panna Izabela.

„Gra ze mną w pikietę” – odpowiada ojciec, również trzymając w rękach karty.

„Ależ to straszny człowiek, papo!”

„Nawet tacy nie robią nic złego kobietom” – odpowiada pan Tomasz.

Teraz dopiero panna Izabela spostrzega, że człowiek w koszuli patrzy na nią jakimś szczególnym wzrokiem, ciągle trzymając kartę nad głową. Dym i para, kotłujące w dolinie, chwilami zasłaniają jego rozpiętą koszulę i surowe oblicze; tonie wśród nich – nie ma go. Tylko spoza dymu widać błyśk jego oczów, a nad dymem obnażoną do łokcia rękę i – kartę.

„Co znaczy ta karta, papo?...” – zapytuje ojca.

Ale ojciec spokojnie patrzy we własne karty i nie powiada nic, jakby jej nie widział.

„Kiedyż nareszcie wyjedziemy z tego miejsca?...”

Ale choć powóz drży i słońce odbite w skrzydle posuwa się ku tyłowi, ciągle u stopni widać jezioro dymu, a w nim zanurzonego człowieka, jego rękę nad głową i – kartę.

Pannę Izabelę ogarnia nerwowy niepokój, skupia wszystkie wspomnienia, wszystkie myśli, ażeby odgadnąć co znaczy karta, którą trzyma ten człowiek?...

Czy to są pieniądze, które przegrał do ojca w pikietę? Chyba nie. Może ofiara, jaką złożył Towarzystwu Dobroczyńności? I to nie. Może tysiąc rubli, które dał ciotce na ochronę, a może to jest kwit na fontannę, ptaszki i dywany do ubrania grobu Pańskiego?

... Także nie; to wszystko nie niepokoiłoby jej.

Stopniowo pannę Izabelę napełnia wielka bojaźń. Może to są weksle jej ojca, które ktoś niedawno wykupił?... W takim razie wzięwszy pieniądze za srebra i serwis spłaci ten dług najpierwej i uwolni się od podobnego wierzyciela. Ale człowiek pogrążony w dymie wciąż patrzy jej w oczy i karty nie rzuca. Więc może... Ach!...

Panna Izabela zrywa się z szezlonga, potrąca w ciemności o taburet i drżącymi rękoma dzwoni. Dzwoni już drugi raz, nie odpowiada nikt, więc wybiega do przedpokoju i we drzwiach spotyka pannę Florentynę, która chwyta ją za rękę i mówi ze zdziwieniem:

– Co tobie, Belciu?...

Światło w przedpokoju nieco oprzytomnia pannę Izabelę. Uśmiecha się.

– Weź, Florciu, lampę do mego pokoju. Papa jest?

– Przed chwilą wyjechał.

– A Mikołaj?

– Zaraz wróci, poszedł oddać list posłańcowi. Czy gorzej boli cię głowa? – pyta panna Florentyna.

– Nie – śmieje się panna Izabela – tylko zdrzemnęłam się i tak mi się coś majaczyło.

Panna Florentyna bierze lampę i obie z kuzynką idą do jej gabinetu. Panna Izabela siada na szezlongu, zasłania ręką oczy przed światłem i mówi:

– Wiesz, Florciu, namyśliłam się, nie sprzedam moich sreber

obcemu. Mogą naprawdę dostać się Bóg wie w jakie ręce. Siądź zaraz, jeżeliś łaskawa, przy moim biurku i napisz do ciotki, że... przyjmuję jej propozycję. Niech nam pożyczy trzy tysiące rubli i niech weźmie serwis i srebra.

Panna Florentyna patrzy na nią z najwyższym zdumieniem, wreszcie odpowiada:

– To jest niemożliwe, Belciu.

– Dlaczego?...

– Przed kwadransiem otrzymałam list od pani Meliton, że srebra i serwis już kupione.

– Już?... Kto je kupił? – woła panna Izabela chwytając kuzynkę za rękę.

Panna Florentyna jest zmieszana.

– Podobno jakiś kupiec z Rosji... – mówi, lecz czuć, że mówi nieprawdę.

– Ty coś wiesz, Florciu!... Proszę cię, powiedz!... – błaga ją panna Izabela. Jej oczy napęnlają się łzami.

– Zresztą tobie powiem, tylko nie zdradź tajemnicy przed ojcem – prosi kuzynka.

– Więc kto?... No, kto kupił?...

– Wokulski – odpowiada panna Florentyna.

Pannie Izabeli w jednej chwili obeschły oczy nabierając przy tym barwy stalowej. Odpycha z gniewem rękę kuzynki, przechodzi tam i na powrót swój gabinet, wreszcie siada na foteliku naprzeciw panny Florentyny. Nie jest już przestraszona i zdenerwowana pięknnością, ale wielką damą, która ma zamiar

kogoś ze służby osądzić, a może wydalić.

– Powiedz mi, kuzynko – mówi pięknym kontraltowym głosem – co to za śmieszny spisek knujecie przeciwko mnie?

– Ja?... spisek?... – powtarza panna Florentyna, przyciskając rękoma piersi. – Nie rozumiem cię, Belu...

– Tak. Ty, pani Meliton i ten... zabawny bohater... Wokulski...

– Ja i Wokulski?... – powtarza panna Florentyna. Tym razem zdziwienie jej jest tak szczere, że wątpić nie można.

– Przypuśćmy, że nie spiskujesz – ciągnie dalej Panna Izabela – ale coś wiesz...

– O Wokulskim wiem to, co wszyscy. Ma sklep, w którym kupujemy, zrobił majątek na wojnie...

– A o tym, że wciąga papę do spółki handlowej, nie słyszałaś? Wyraziście oczy panny Florentyny zrobiły się bardzo dużymi.

– Ojca twego wciąga do spółki?... – rzekła wzruszając ramionami. – Do jakiejże spółki może go wciągnąć?...

I w tej chwili przestrasza się własnych słów...

Panna Izabela nie mogła wątpić o jej niewinności; znowu parę razy przeszła się po gabinecie z ruchami zamkniętej lwicy i nagle zapytała:

– Powiedzże mi przynajmniej: co sądzisz o tym człowieku?

– Ja o Wokulskim?... Nic o nim nie sędzę, wyjąwszy chyba to, że szuka rozgłosu i stosunków.

– Więc dla rozgłosu ofiarował tysiąc rubli na ochronę?

– Z pewnością. Dał przecie dwa razy tyle na dobroczynność.

– A dlaczego kupił mój serwis i srebra?

– Zapewne dlatego, ażeby je z zyskiem sprzedać – odpowiedziała panna Florentyna. – W Anglii za podobne rzeczy dobrze płacą.

– A dlaczego... wykupił weksle papy?

– Skąd wiesz, że to on? W tym nie miałby żadnego interesu.

– Nic nie wiem – pochwyciła gorączkowo panna Izabela – ale wszystko przeczuwam, wszystko rozumiem... Ten człowiek chce zbliżyć się do nas...

– Już się przecie poznał z ojcem – wtrąciła panna Florentyna.

– Więc do mnie chce się zbliżyć!... – zawołała panna Izabela z wybuchem. – Poznałam to po...

Wstyd jej było dodać: „po jego spojrzeniu”.

– Czy nie uprzedzasz się, Belciu?...

– Nie. To, czego doznaję w tej chwili, nie jest uprzedzeniem, ale raczej jasnowidzeniem. Nawet nie domyślasz się, jak ja dawno znam tego człowieka, a raczej – od jak dawna on mnie prześladowa. Teraz dopiero przypominam sobie, że przed rokiem nie było przedstawienia w teatrze, nie było koncertu, odczytu, na którym bym go nie spotkała, i dopiero dziś ta... bezmyślna figura wydaje mi się straszną...

Panna Florentyna aż cofnęła się z fotelikiem, szepcząc:

– Więc przypuszczasz, żeby się ośmielił...

– Zagustować we mnie?... – przerwała ze śmiechem panna Izabela. – Tego nawet nie myślałabym mu bronić. Nie jestem ani tak naiwna, ani tak fałszywie skromna, ażeby nie wiedzieć, że się

podobam... mój Boże! nawet służbie... Kiedyś gniewało mnie to jak żebranina, która zastępuje nam drogę na ulicach, dzwoni do mieszkań albo pisuje listy z prośbą o wsparcie. Ale dziś – tylko rozumiałam lepiej słowa Zbawcy: „Komu wiele dano, od tego wiele żądać będą.”¹⁷⁰.

– Zresztą – dodała wzruszając ramionami – mężczyźni w tak bezceremonialny sposób zaszczycają nas swoim uwielbieniem, że nie tylko już nie dziwię się ich nadskakiwaniu albo impertynenckim spojrzeniom, ale temu, gdy jest inaczej. Jeżeli w salonie spotkam człowieka, który mi nie mówi o swej sympatii i cierpieniach albo nie milczy posepnie w sposób zdradzający jeszcze większą sympatię i cierpienia, albo nie okazuje mi lodowatej obojętności, co ma być oznaką najwyższej sympatii i cierpień, wtedy – czuję, że mi czegoś brak, jak gdybym zapomniała wachlarza albo chusteczki... O, ja ich znam! tych wszystkich donżuanów¹⁷¹, poetów, filozofów, bohaterów, te wszystkie tkliwe, bezinteresowne, złamane, rozmarzone albo silne dusze... Znam całą tę maskaradę i zapewniam cię, że dobrze się nią bawię. Cha! cha! cha!... jacy oni śmieszni...

– Nie rozumiem cię, Belciu... – wtrąciła panna Florentyna rozkładając ręce.

– Nie rozumiesz?... Więc chyba nie jesteś kobietą.

¹⁷⁰ *Komu wiele dano, od tego wiele żądać będą* – cytat z Ewangelii św. Łukasza (Łk 12:48). [przypis redakcyjny]

¹⁷¹ *donżuan* – w przenośni: uwodziciel kobiet; *don Juan*: bohater z dramatu hiszpańskiego Tirso de Moliny (1630), później bohater wielu utworów literackich. [przypis redakcyjny]

Panna Florentyna zrobiła gest przeczący, a następnie powątpiewający.

– Posłuchaj – przerwała panna Izabela. – Od roku już straciliśmy stanowisko w świecie. Nie zaprzeczaj, bo tak jest, wszyscy o tym wiemy. Dziś jesteśmy zrujnowani.

– Przesadzasz...

– Ach, Floro, nie pocieszaj mnie, nie kłam!... Czyżeś nie słyszała przy obiedzie, że nawet tych kilkanaście rubli, które ma obecnie mój ojciec, są wygrane w karty od...

Panna Izabela mówiąc to drżała na całym ciele. Oczy jej błyszczały, na twarzy miała wypieki.

– Otóż w takiej chwili przychodzi ten... kupiec, nabywa nasze weksle, nasz serwis, opętuje mego ojca i ciotkę, czyli – ze wszystkich stron otacza mnie sieciami jak myśliwiec zwierzyne. To już nie smutny wielbiciel, to nie konkurent, którego można odrzucić, to... zdobywca!... On nie wzdycha, ale zakrada się do łask ciotki, ręce i nogi oplątuje ojcu, a mnie chce porwać gwałtem, jeżeli nie zmusić do tego, ażebym mu się sama oddała... Czy rozumiesz tę wyrafinowaną nikczemność?

Panna Florentyna przestraszyła się.

– W takim razie masz bardzo prosty sposób. Powiedz...

– Komu i co?... Czy ciotce, która gotowa popierać tego pana, ażeby mnie zmusić do oddania ręki marszałkowi?... Czy może mam powiedzieć ojcu, przerazić go i przyspieszyć katastrofę? Jedno tylko zrobię: nie pozwolę ojcu, ażeby zaciągał się do jakichkolwiek spółek, choćbym miała włożyć mu się u nóg,

choćbym miała... zabronić mu tego w imieniu zmarłej matki....

Panna Florentyna patrzy na nią z zachwytem...

– Doprawdy, Belciu – rzekła – przesadzasz. Z twoją energią i taką genialną domyślnością...

– Nie znasz tych ludzi, a ja widziałam ich przy pracy. W ich rękach stalowe szyny zwijają się jak wstążki. To straszni ludzie. Oni dla swoich celów umieją poruszyć wszystkie siły ziemskie, jakich my nawet nie znamy. Oni potrafią łamać, usidlać, płaszczyć się, wszystko ryzykować, nawet – cierpliwie czekać...

– Mówisz na podstawie czytanych romansów.

– Mówię na mocy moich przeczuć, które ostrzegają... wołają, że ten człowiek po to jeździł na wojnę, ażeby mnie zdobyć. I ledwie wrócił, już mnie ze wszystkich stron obsacza¹⁷²... Ale niech się strzeże!... Chce mnie kupić? dobrze, niech kupuje! ... przekona się, że jestem bardzo droga... Chce mnie złapać w sieci?... Dobrze, niech je rozsnuwa... ale ja mu się wymknę, choćby – w objęcia marszałka... O Boże! nawet nie domyślałam się, jak głęboką jest przepaść, w którą spadamy, dopóki nie zobaczyłam takiego dna. Z salonów Kwirynału¹⁷³ do sklepu... To już nawet nie upadek, to hańba...

Siadła na szezlongu i utuliwszy głowę rękoma szlochała.

¹⁷² *obsacza* – dziś: *osacza*. [przypis edytorski]

¹⁷³ *Kwirynał* – jedno z siedmiu wzgórz rzymskich; od r. 1870 nazwa siedziby królów włoskich. [przypis redakcyjny]

VII. Gołąb wychodzi na spotkanie węża

Serwis i srebra rodziny Łęckich były już sprzedane i nawet jubiler odniósł panu Tomaszowi pieniądze, straciwszy dla siebie sto kilkadziesiąt rubli składowego¹⁷⁴ i za pośrednictwo. Mimo to hrabina Karolowa nie przestała kochać panny Izabeli; owszem – jej energia i poświęcenie, okazane przy sprzedaży pamiątek, zbudziły w sercu starej damy nowe źródło uczuć rodzinnych. Nie tylko uprosiła pannę Izabelę o przyjęcie pięknego kostiumu, nie tylko co dzień bywała u niej albo ją wzywała do siebie, ale jeszcze (co było dowodem niesłychanej łaski) na całą Wielką Środę ofiarowała jej swój powóz.

– Przejdź się, aniołku, po mieście – mówiła hrabina całując siostrzenicę – i pozałatwiaj drobne sprawunki. Tylko pamiętaj, żebyś mi za to w czasie kwesty wyglądała ślicznie... Tak ślicznie, jak to tylko ty potrafisz!... Proszę cię...

Panna Izabela nie odpowiedziała nic, ale jej spojrzenie i rumieniec kazały domyślać się, że z całą gotowością spełni wolę ciotki.

W Wielką Środę, punkt o jedynastej rano, panna Izabela już siedziała w otwartym powozie wraz ze swoją nieodstępną towarzyszką, panną Florentyną. Po Alei chodziły wiosenne powiewy roznosząc tę szczególną, surową woń, która poprzedza pękanie liści na drzewach i ukazanie się pierwiosnków; szare

¹⁷⁴ *składowe* – opłata za przechowanie towaru na składzie. [przypis redakcyjny]

trawniki nabrały zielonawego odcienia; słońce grzało tak mocno, że panie otworzyły parasolki.

– Śliczny dzień – westchnęła panna Izabela patrząc na niebo, gdzieś tam poplamione białymi obłokami.

– Gdzie jaśnie panienka rozkaże jechać? – spytał lokaj zatrzasnąwszy drzwiczki powozu.

– Do sklepu Wokulskiego – z nerwowym pośpiechem odpowiedziała panna Izabela.

Lokaj skoczył na kozioł i spasio gniade konie ruszyły uroczystym kłusem parskając i wyrzucając łbami.

– Dlaczego, Belciu, do Wokulskiego? – zapytała trochę zdziwiona panna Florentyna.

– Chcę sobie kupić paryskie rękawiczki, kilka flakonów perfum...

– To samo dostaniemy gdzie indziej.

– Chcę tam – odpowiedziała sucho panna Izabela.

Od paru dni męczył ją osobliwy niepokój, jakiego już raz doznała w życiu. Będąc przed laty za granicą w ogrodzie aklimatyzacyjnym¹⁷⁵ zobaczyła w jednej z klatek ogromnego tygrysa, który spał oparty o kratę w taki sposób, że mu część głowy i jedno ucho wysunęło się na zewnątrz.

Widząc to panna Izabela uczuła nieprzepartą chęć pochwycenia tygrysa za ucho. Zapach klatki napelniał ją wstrętem, potężne łapy zwierzęcia nieopisaną trwogą, lecz mimo

¹⁷⁵ gród aklimatyzacyjny – tu: ogród zoologiczny, ogród dla zwierząt egzotycznych.
[przypis redakcyjny]

to czuła, że – musi tygrysa przynajmniej dotknąć w ucho.

Dziwny ten pociąg wydał się jej samej niebezpiecznym i nawet śmiesznym. Przemogła się więc i poszła dalej; lecz po paru minutach – wróciła. Znowu cofnęła się, przejrzała inne klatki, starała się o czym innym myśleć. Na próżno. Wróciła się i choć tygrys już nie spał, tylko mrucząc lizał swoje straszliwe łapy, panna Izabela podbiegła do klatki, wsunęła rękę i – drżąca i blada – dotknęła tygrysiego ucha.

W chwilę później wstydziła się swego szaleństwa, lecz zarazem czuła to gorzkie zadowolenie znane ludziom, którzy usłuchają w ważnej sprawie głosu instynktu.

Dziś zbudziło się w niej podobnego rodzaju pragnienie.

Gardziła Wokulskim, serce jej zamierało na samo przypuszczenie, że ten człowiek mógł zapłacić za srebra więcej, niż były warte, a mimo to czuła nieprzeparty pociąg – wejść do sklepu, spojrzeć w oczy Wokulskiemu i zapłacić mu za parę drobiazgów tymi właśnie pieniędzmi, które pochodziły od niego. Strach ją zdejmował na myśl spotkania, lecz niewytłomaczony instynkt popychał.

Na Krakowskim już z daleka zobaczyła szyld z napisem: J. Mincel i S. Wokulski, a o jeden dom bliżej nowy, jeszcze nie wykończony sklep¹⁷⁶ o pięciu oknach frontu, z lustrzanymi szybami. Z kilku pracujących przy nim rzemieślników i

¹⁷⁶ *nowy, jeszcze nie wykończony sklep...* – nowy sklep Wokulskiego umieścił Prus na Krakowskim Przedmieściu pod nr 7 (tzw. „dom Grodzickiego”). Dom ten, wypalony w 1944 r., obecnie został odbudowany. [przypis redakcyjny]

robotników jedni od wewnątrz wycierali szyby, drudzy złócili i malowali drzwi i futryny, inni umocowywali przed oknami ogromne mosiężne bariery.

– Cóż to za sklep budują? – spytała panny Florentyny.

– Chyba dla Wokulskiego, bo słyszałam, że wziął obszerniejszy lokal.

„Dla mnie ten sklep!” – pomyślała panna Izabela szarpiąc rękawiczki.

Powóz stanął, lokaj zeskoczył z kozła i pomógł paniom wysiąść. Lecz gdy następnie otworzył z łoskotem drzwi do sklepu Wokulskiego, panna Izabela tak osłabła, że nogi zachwiały się pod nią. Przez chwilę chciała wrócić do powozu i uciec stąd; wnet jednak opanowała się i z podniesioną głową weszła.

Pan Rzecki stał już na środku sklepu i zacierając ręce, witał ją niskimi ukłonami. W głębi pan Lisiecki, podчесując piękną brodę, okrągłymi i pełnymi godności ruchami prezentował brązowe kandelabry jakiejś damie, która siedziała na krześle. Mizerny Klejn wybierał laski młodzieńcowi, który na widok panny Izabeli szybko uzbroił się w binokle – a pachnący heliotropem¹⁷⁷ Mraczewski palił wzrokiem i sztyletował wąsikami dwie rumiane panienki, które towarzyszyły damie i oglądały toaletowe cacka.

Na prawo ode drzwi, za kantorkiem, siedział Wokulski schylony nad rachunkami.

Gdy panna Izabela weszła, młodzieniec oglądający laski

¹⁷⁷ *heliotrop* – krzew o silnie pachnących kwiatach. [przypis redakcyjny]

poprawił kołnierzyk na szyi, dwie panienki spojrzały na siebie, pan Lisiecki urwał w połowie swój okrągły frazes o stylu kandelabrow, ale zatrzymał okrągłą pozę, a nawet dama słuchająca jego wykładu ciężko odwróciła się na krześle. Przez chwilę sklep zaległa cisza, którą dopiero panna Izabela przerwała odezawszy się pięknym kontraltem:

– Czy zastałyśmy pana Mraczewskiego?...

– Panie Mraczewski!... – pochwycił pan Ignacy.

Mraczewski już stał przy pannie Izabeli, zarumieniony jak wiśnia, pachnący jak kadzielnica, z pochyloną głową, jak kita wodnej trzciny.

– Przyszłyśmy prosić pana o rękawiczki.

– Numerek pięć i pół – odparł Mraczewski i już trzymał pudełko, które mu nieco drżało w rękach pod wpływem spojrzenia panny Izabeli.

– Otóż nie... – przerwała panna ze śmiechem. – Pięć i trzy czwarte... Już pan zapomniał!...

– Pani, są rzeczy, których się nigdy nie zapomina. Jeżeli jednak rozkazuje pani pięć i trzy czwarte, będę służył w nadziei, że niebawem znowu zaszczyli nas pani swoją obecnością. Bo rękawiczki pięć i trzy czwarte – dodał z lekkim westchnieniem, podsuwając jej kilka innych pudełek – stanowczo zsuną się z rączek...

– Geniusz! – cicho szepnął pan Ignacy mrugając na Lisieckiego, który pogardliwie ruszył ustami.

Dama siedząca na krześle zwróciła się do kandelabrow,

dwie panny do toaletki z oliwkowego drzewa, młodzieniec w binoklach począł znowu wybierać laski i – rzeczy w sklepie przeszły do spokojnego trybu. Tylko rozgorączkowany Mraczewski zeskakiwał i wbiegał na drabinę, wysuwał szuflady i wydobywał coraz nowe pudełka tłumacząc pannie Izabeli po polsku i po francusku, że nie może nosić innych rękawiczek, tylko pięć i pół, ani używać innych perfum, tylko oryginalnych Atkinsona¹⁷⁸, ani ozdabiać swego stolika innymi drobiazgami, jak paryskimi.

Wokulski pochylił się nad kantorkiem tak, że żyły nabrzmiały mu na czole, i – wciąż rachował w myśli:

„29 a 36 – to 65, a 15 to 80, a 73 – to... to...”

Tu urwał i spod oka spojrzał w stronę panny Izabeli rozmawiającej z Mraczewskim. Oboje stali zwrócenii do niego profilem; dostrzegł więc pałający wzrok subiekta przykuty do panny Izabeli, na co ona w sposób demonstracyjny odpowiadała uśmiechem i spojrzeniami łagodnej zachęty.

„29 a 36 – to 65, a 15...” – liczył w myśli Wokulski, lecz nagle pióro prysło mu w rękę. Nie podnosząc głowy wydobył nową stalówkę z szuflady, a jednocześnie, nie wiadomo jakim sposobem, z rachunku wypadło mu pytanie:

„I ja mam niby to ją kochać?... Głupstwo! Przez rok cierpiałem na jakąś chorobę mózgową, a zdawało mi się, że jestem zakochany... 29 a 36... 29 a 36... Nigdy nie przypuszczałem, ażeby mogła mi być tak dalece obojętną... Jak

¹⁷⁸ *perfumy Atkinsona* – luksusowe perfumy angielskie. [przypis redakcyjny]

ona patrzy na tego osła... No, jest to widocznie osoba, która kokietuje nawet subiektów, a czy tego samego nie robi z furmanami i lokajami!... Pierwszy raz czuję spokój... o Boże... A tak go bardzo pragnąłem...”

Do sklepu weszło jeszcze parę osób, do których niechętnie zwrócił się Mraczewski, powoli wiążąc paczki.

Panna Izabela zbliżyła się do Wokulskiego i wskazując w jego stronę parasolką rzekła dobitnie:

– Floro, bądź łaskawa zapłacić temu panu. Wracamy do domu.

– Kasa jest tu – odezwał się Rzecki podbiegając do panny Florentyny. Wziął od niej pieniądze i oboje cofnęli się w głąb sklepu.

Panna Izabela z wolna podsunęła się tuż do kantorka, za którym siedział Wokulski. Była bardzo blada. Zdawało się, że widok tego człowieka wywiera na nią wpływ magnetyczny¹⁷⁹.

– Czy mówię z panem Wokulskim?

Wokulski powstał z krzesła i odparł obojętnie:

– Jestem do usług.

– Wszakże to pan kupił nasz serwis i srebra? – mówiła zdławionym głosem.

– Ja, pani.

Teraz panna Izabela zawahała się. Po chwili jednak słaby

¹⁷⁹ *wpływ magnetyczny* – dziś powiedzielibyśmy: hipnotyczny. Osoba w stanie hipnozy, podobnym do snu, traci świadomość i wolę i spełnia jedynie rozkazy hipnotyzera. W wieku XIX uważano hipnozę za zjawisko analogiczne do magnetyzmu fizycznego i nazywano je również magnetyzmem. [przypis redakcyjny]

rumieniec wrócił jej na twarz. Ciągnęła dalej:

– Zapewne pan sprzeda te przedmioty?

– W tym celu je kupiłem.

Rumieniec panny Izabeli wzmochnął się.

– Przyszły nabywca w Warszawie mieszka? – pytała dalej.

– Rzeczy tych nie sprzedam tutaj, lecz za granicą. Tam...
dadzą mi wyższą cenę – dodał spostrzegłszy w jej oczach
zapytanie.

– Pan spodziewa się dużo zyskać?

– Dlatego, ażeby zyskać, kupiłem.

– Czy i dlatego mój ojciec nie wie, że srebra te są w pańskim
ręku? – rzekła ironicznie.

Wokulskiemu drgnęły usta.

– Serwis i srebra nabyłem od jubilera. Sekretu z tego nie robię.
Osób trzecich do sprawy nie mieszam, ponieważ to nie jest w
zwyczajach handlowych.

Pomimo tak szorstkich odpowiedzi panna Izabela odetchnęła.
Nawet oczy jej nieco pociemniały i straciły połysk nienawiści.

– A gdyby mój ojciec namyśliwszy się chciał odkupić te
przedmioty, za jaką cenę odstąpiłby je pan teraz?

– Za jaką kupiłem. Rozumie się z doliczeniem procentu w
stosunku... sześć... do ośmiu od sta rocznie...

– I wyrzekłby się pan spodziewanego zysku?... Dlaczegoż to?
... – przerwała mu z pośpiechem.

– Dlatego, proszę pani, że handel opiera się nie na zyskach
spodziewanych, ale na ciągłym obrocie gotówki.

– Żegnaj pana i... dziękuję za wyjaśnienia – rzekła panna Izabela widząc, że jej towarzyszka już kończy rachunki.

Wokulski uklonił się i znowu usiadł do swej księgi.

Gdy lokaj zabrał paczki i panie zajęły miejsca w powozie, panna Florentyna odezwała się tonem wyrzutu:

– Mówiłaś z tym człowiekiem, Belu?...

– Tak i nie żałuję tego. On wszystko skłamał, ale...

– Co znaczy to: **ale**?... – z niepokojem zapytała panna Florentyna.

– Nie pytaj mnie... Nic do mnie nie mów, jeżeli nie chcesz, ażebym rozplakała się na ulicy...

A po chwili dodała po francusku:

– Zresztą, może zrobiłam źle przyjeżdżając tutaj, ale... wszystko mi jedno!...

– Myślę, Belciu – rzekła, z powagą sznurując usta, jej towarzyszka – że należałoby pomówić o tym z ojcem albo z ciotką.

– Chcesz powiedzieć – przerwała panna Izabela – że muszę pomówić z marszałkiem albo z baronem? Na to zawsze będzie czas; dziś nie mam jeszcze odwagi.

Przerwała się rozmowa. Panie milcząc wróciły do domu; panna Izabela cały dzień była rozdrażniona.

Po wyjściu panny Izabeli ze sklepu Wokulski wziął się znowu do rachunków i bez błędu zsumował dwie duże kolumny cyfr. W połowie trzeciej zatrzymał się i dziwił się temu spokojowi, jaki zapanował w jego duszy. Po całorocznej gorączce i tęsknocie

przerywanej wybuchami szału skąd naraz ta obojętność? Gdyby można było jakiegoś człowieka nagle przerzucić z balowej sali do lasu albo z dusznego więzienia na chłodne i obszerne pole, nie doznałby innych wrażeń ani głębszego zdumienia.

„Widocznie przez rok ulegałem częściowemu obłąkaniu” – myślał Wokulski. – „Nie było niebezpieczeństwa, nie było ofiary, której nie poniósłbym dla tej osoby, i ledwie ją zobaczył, już nic mnie nie obchodzi...”

A jak ona rozmawiała ze mną. Ile tam było pogardy dla marnego kupca... »Zapłać temu panu!...« Paradne są te wielkie damy; próżniak, szuler, nawet złodziej, byle miał nazwisko, stanowi dla nich dobre towarzystwo, choćby fizjognomią zamiast ojca przypominał lokaja swej matki. Ale kupiec – jest pariasem¹⁸⁰... Co mnie to wreszcie obchodzi; gnijcie sobie w spokoju!”

Znowu dodał jedną kolumnę nie uważając nawet, co się dzieje w sklepie.

„Skąd ona wie – myślał dalej – że ja kupiłem serwis i srebra? ... A jak wybadywała, czym nie zapłacił więcej niż warto! Z przyjemnością ofiarowałbym im ten pamiątkowy drobiazg. Winienem jej dozgonną wdzięczność, bo gdyby nie szął dla niej, nie dorobiłbym się majątku i spleśniałbym za kantorkiem. A teraz może mi smutno będzie bez tych żalów, rozpacz i nadziei... Głupie życie!... Po ziemi gonimy marę, którą

¹⁸⁰ *parias* – członek najniższej kasty w Indiach; ogólnie: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis redakcyjny]

każdy nosi we własnym sercu, i dopiero gdy stamtąd ucieknę, poznamy, że to był obłąd... No, nigdy bym nie przypuszczał, że mogą istnieć tak cudowne kuracje. Przed godziną byłem pełen trucizny, a w tej chwili jestem tak spokojny i – jakiś pusty, jakby uciekła ze mnie dusza i wnętrzności, a została tylko skóra i odzież. Co ja teraz będę robił? czym będę żył?... Chyba pojedę na wystawę do Paryża¹⁸¹, a potem w Alpy...”

W tej chwili zbliżył się do niego na palcach Rzecki i szepnął:
– Pyszny jest ten Mraczewski, co? Jak on umie rozmawiać z kobietami!

– Jak fryzjerczyk, którego uzuchwalono – odpowiedział Wokulski nie odrywając oczu od książki.

– Nasze klientki zrobiły go takim – odpowiedział stary subiekt, lecz widząc, że przeszkadza pryncypałowi, cofnął się. Wokulski znowu wpadł w zadumę. Nieznacznie spojrzał na Mraczewskiego i dopiero w tej chwili zauważył, że młody człowiek ma coś szczególnego w fizjonomii.

„Tak – myślał – on jest beczelnie głupi i zapewne dlatego podoba się kobietom.”

Śmiać mu się chciało i ze spojrzeń panny Izabeli, wysyłanych pod adresem pięknego młodzieńca, i z własnych przywidzeń, które dziś tak nagle go opuściły.

Wtem drgnął; usłyszał imię panny Izabeli i spostrzegł, że w

¹⁸¹ wystawa w Paryżu – 1 maja 1878 r. została otwarta w Paryżu wielka wystawa powszechna, która pociągnęła za sobą duży napływ obcokrajowców. Zwiedziło ją około dwustu tysięcy cudzoziemców, w tym blisko dwa tysiące Polaków. [przypis redakcyjny]

sklepie nie ma nikogo z gości.

– No, ale dzisiaj toś się pan nie ukrywał ze swoimi amatorami – mówił ze smutnym uśmiechem Klejn do Mraczewskiego.

– Ale bo jak ona na mnie patrzyła, to ach!... – westchnął Mraczewski, jedną rękę kładąc na piersi, drugą podkręcając wąsika. – Jestem pewny – mówił – że za parę dni otrzymam wonny bilecik. Potem – pierwsza schadzka, potem: „dla pana łamię zasady, w jakich mnie wychowano”, a potem: „czy nie gardzisz mną?” Chwila wcześniej jest bardzo rozkoszną, ale w chwilę później człowiek jest tak zakłopotany...

– Co pan blagujesz! – przerwał mu Lisiecki. – Znamy przecież pańskie konkiety¹⁸²: nazywają się Matyldami, którym pan imponujesz porcją pieczeni i kuflem piwa.

– Matyldy są na co dzień, damy na święta. Ale Iza będzie największym świętem. Słowo honoru daję, że nie znam kobiety, która by na mnie tak piekielne robiła wrażenie... No, ale bo też i ona łgnie do mnie!

Trzasnęły drzwi i do sklepu wszedł jegomość szpakowaty; zażądał breloku¹⁸³ do zegarka, a krzyczał i stukał laską tak mocno, jakby miał zamiar kupić całą japońszczyznę.

Wokulski słuchał przechwałek Mraczewskiego bez ruchu. Doświadczał wrażenia, jakby mu na głowę i na piersi spadały ciężary.

– W rezultacie nic mnie to nie obchodzi – szepnął.

¹⁸² *konkiety* – podboje. [przypis redakcyjny]

¹⁸³ *brelok* – ozdobny wisiorek przy łańcuszku. [przypis redakcyjny]

Po szpakowatym jegomościu weszła do sklepu dama żądająca parasola, później pan w średnim wieku chcący nabyć kapelusz, potem młody człowiek żądający cygarnicy, nareszcie trzy panny, z których jedna kazała podać sobie rękawiczki Szolca¹⁸⁴, ale koniecznie Szolca, bo innych nie używa.

Wokulski złożył księgę, z wolna podniósł się z fotelu i sięgnąwszy po kapelusz stojący na kantorku skierował się ku drzwiom. Czuł brak oddechu i jakby rozsadzanie czaszki.

Pan Ignacy zabiegł mu drogę.

– Wychodzisz?... Może zajrzysz do tamtego sklepu – rzekł.

– Nigdzie nie zajrzę, jestem zmęczony – odpowiedział

Wokulski nie patrząc mu w oczy.

Gdy wyszedł, Lisiecki trącił Rzeckiego w ramię.

– Coś stary jakby zaczynał robić bokami – szepnął.

– No – odparł pan Ignacy – puszczenie w ruch takiego interesu jak moskiewski to nie chy-chy. Rozumie się.

– Po cóż się w to wdaje?

– Po to, żeby miał nam z czego pensje podwyższać – surowo odpowiedział pan Ignacy.

– A niechże sobie zakłada sto nowych interesów, nawet w Irkucku, byle tak co roku podwyższał – rzekł Lisiecki. – Ja z nim się o to spierać nie będę. Ale swoją drogą, uważam, że jest diabelnie zmieniony, osobliwie dzisiaj. Żydzi, panie, Żydzi – dodał – jak zwąchają jego projekta, dadzą mu łupnia.

– Co tam Żydzi...

¹⁸⁴ *Szolc* – firma galanteryjna w Warszawie. [przypis redakcyjny]

– Żydzi, mówię, Żydzi!... Wszystkich trzymają za łąb i nie pozwolą, ażeby im bruździł jakiś Wokulski, nie Żyd ani nawet meches¹⁸⁵.

– Wokulski zwiąże się ze szlachtą – odpowiedział Ignacy – a i tam są kapitały.

– Kto wie, co gorsze: Żyd czy szlachcic – wtrącił mimochodem Klejn i podniósł brwi w sposób bardzo żałosny.

¹⁸⁵ *meches* – pogardliwa nazwa przechrzty, używana przez Żydów ortodoksyjnych (ściśle przestrzegających zasad religii). [przypis redakcyjny]

VIII. Medytacje

Znalazłszy się na ulicy Wokulski stanął na chodniku, jakby namyślając się, dokąd iść. Nie ciągnęło go nic w żadną stronę. Dopiero gdy przypadkiem spojrzął w prawo, na swój nowo wykończony sklep, przed którym już zatrzymywali się ludzie, odwrócił się ze wstrętem i poszedł w lewo.

„Dziwna rzecz, jak mnie to wszystko mało obchodzi” – rzekł do siebie. Potem myślał o tych kilkunastu ludziach, którym już daje zajęcie, i o tych kilkudziesięciu, którzy od pierwszego maja mieli dostać u niego zajęcie, o tych setkach, dla których w ciągu roku miał stworzyć nowe źródła pracy, i o tych tysiącach, którzy dzięki jego tanim towarom mogliby sobie poprawić nędzny byt – i – czuł, że ci wszyscy ludzie i ich rodziny nic go w tej chwili nie interesują.

„Sklep odstąpię, nie zawiążę spółki i wyjadę za granicę” – myślał.

„A zawód, jaki zrobisz ludziom, którzy w tobie położyli nadzieję?”

„Zawód?... Alboż mnie samego nie spotkał zawód?...”

Wokulski idąc poczuł jakąś niewygodę; lecz dopiero zastanowiwszy się osądził, że męczy go ciągle ustępowanie z drogi; przeszedł więc na drugą stronę ulicy, gdzie ruch był mniejszy.

„A jednak ten Mraczewski jest infamis¹⁸⁶! – myślał. – Jak można mówić takie rzeczy w sklepie? »Za parę dni otrzymam bilecik, a potem – schadzka!... Ha, sama sobie winna, nie trzeba kokietować błaznów... Zresztą – wszystko mi jedno.”

Czuł w duszy dziwną pustkę, a na samym jej dnie coś, jakby kroplę piekącej goryczy. Żadnych sił, żadnych pragnień, nic, tylko tę kroplę tak małą, że jej niepodobna dojrzeć, a tak gorzką, że cały świat można by nią zatruć.

„Chwilowa apatia, wyczerpanie, brak wrażeń... Za dużo myślę o interesach” – mówił.

Staął i patrzył. Dzień przedświąteczny i ładna pogoda wywabiły mnóstwo ludzi na bruk miejski. Sznur powozów i pstrokaty falujący tłum między Kopernikiem i Zygmunt¹⁸⁷ wyglądał jak stado ptaków, które właśnie w tej chwili unosiły się nad miastem dążąc ku północy.

„Szczególna rzecz – mówił. – Każdy ptak w górze i każdy człowiek na ziemi wyobraża sobie, że idzie tam, dokąd chce. I dopiero ktoś stojący na boku widzi, że wszystkich razem pcha naprzód jakiś fatalny prąd, mocniejszy od ich przewidywań i pragnień. Może nawet ten sam, który unosi smugę iskier wydmuchniętych przez lokomotywę podczas nocy?... Błyszczą

¹⁸⁶ *infamis* (łac.) – człowiek bez czci, niegodziwy. [przypis redakcyjny]

¹⁸⁷ *między Kopernikiem i Zygmunt...* – tj. wzdłuż całego Krakowskiego Przedmieścia: pomnik Kopernika wzniesiony został w r. 1830 według modelu słynnego duńskiego rzeźbiarza Bertolda Thorwaldsena (1770–1844). Zygmunt: znana kolumna z posągami króla Zygmunta III Wazy (1587–1632), wzniesiona w r. 1644 przez jego syna Władysława IV na Placu Zamkowym. [przypis redakcyjny]

przez mgnienie oka, aby zgasnąć na całą wieczność, i to nazywa się życiem.

Mijają ludzkie pokolenia
Jak fale, gdy wiatr morzem zmaci;
I nie masz godów ich pamięci,
I nie masz bólów ich wspomnienia.¹⁸⁸

Gdzie ja to czytałem?... Wszystko jedno.”

Nieustanny turkot i szmer wydał się Wokulskiemu nieznosnym, a wewnętrzna pustka straszliwą. Chciał czymś się zająć i przypomniał sobie, że jeden z zagranicznych kapitalistów pytał go o zdanie w kwestii bulwarów nad Wisłą¹⁸⁹. Zdanie już miał wyrobione: Warszawa całym swoim ogromem ciąży i zsuwa się ku Wiśle. Gdyby brzeg rzeki obwarować bulwarami, powstałaby tam najpiękniejsza część miasta: gmachy, sklepy, aleje...

„Trzeba spojrzeć, jak by to wyglądało?” – szepnął Wokulski

¹⁸⁸ *Mijają ludzkie pokolenia...* – ten i następne wierszowane cytaty w tekście tego rozdziału pochodzą z poematu Włodzimierza Zagórskiego (1834–1902) *Król Salomon* (dedykowanego Bolesławowi Prusowi), opartego na motywach biblijnej księgi *Eklezjastes*. Fragment, z którego pochodzi ten i następne cytaty, ukazał się w zbiorze *Z teki Chochlika* w r. 1881. [przypis redakcyjny]

¹⁸⁹ ...w kwestii bulwarów nad Wisłą – sprawa budowy bulwarów nad Wisłą była wtedy rzeczywiście aktualna. „Kurier Warszawski” z 2 kwietnia 1879 roku donosi o powstaniu towarzystwa polsko–francuskiego, które zamierza wybudować te bulwary kosztem 25 milionów rubli. Projekt jednak nie został urzeczywistniony. [przypis redakcyjny]

i skręcił na ulicę Karową¹⁹⁰.

Przy bramie¹⁹¹ wiodącej tam zobaczył bosego, przewiązanego sznurami tragarza, który pił wodę prosto z wodotrysku; zachlapał się od stóp do głów, ale miał bardzo zadowoloną minę i śmiejące się oczy.

„Jużci, ten ma, czego pragnął. Ja, ledwie zbliżył się do źródła, widzę, że nie tylko ono znikło, ale nawet wysychają moje pragnienia. Pomimo to mnie zazdroszczą, a nad nim każą się litować. Co za potworne nieporozumienie!”

Na Karowej odetchnął. Zdawało mu się, że jest jedną z plew, które już odrzucił młyn wielkomiejskiego życia, i że powoli spływa sobie gdzieś na dół tym rynsztokiem zaciśniętym odwiecznymi murami.

„Cóż bulwary?... – myślał. – Postoją jakiś czas, a potem będą walić się, zarośnięte zielskiem i odrapane, jak te oto ściany. Ludzie, którzy je budowali z wielką pracą, mieli także na celu zdrowie, bezpieczeństwo, majątek, a może zabawy i pieszczoty. I gdzie oni są?... Zostały po nich splekane mury, jak skorupa

¹⁹⁰ ulica Karowa, Dobra, Garbarska, Topiel, Radna, Browarna, Tamka – wymienione w tym rozdziale, są to ulice Powiśla, dzielnicy Warszawy między Krakowskim Przedmieściem a Wisłą, zamieszkiwanej przez biedotę. Położona w bezpośrednim sąsiedztwie śródmieścia, jaskrawo z nim kontrastowała. Przed 1939 r. część Powiśla bardzo się unowocześniła, jednak dopiero w ostatnich latach nowe budownictwo wyparło resztki starych ruder, pamiętających czasy Prusa. [przypis redakcyjny]

¹⁹¹ Przy bramie – wejście z Krakowskiego Przedmieścia na Karową prowadziło przez wielką stylową bramę (projektu Marconiego) z dwoma wodotryskami w bocznych kolumnach. Zburzono ją przy budowie hotelu „Bristol” w 1899 r. [przypis redakcyjny]

po ślimaku dawnej epoki. A cały pożytek z tego stosu cegieł i tysiąca innych stosów będzie, że przyszły geolog nazwie je skałą ludzkiego wyrobu, jak my dziś koralowe rafy albo kredę nazywamy skałami wyrobu pierwotniaków.

I cóż ma z trudu swego człowiek?...

I z prac tych, które wszczął pod słońcem?...

Znikomość – jego dzieła gońcem,

A żywot jego mgnieniem powiek.

Gdziem ja to czytał, gdzie?... Mniejsza o to.”

Zatrzymał się w połowie drogi i patrzył na ciągnącą się u jego stóp dzielnicę między Nowym Zjazdem¹⁹² i Tamką. Uderzyło go podobieństwo do drabiny, której jeden bok stanowi ulica Dobra, drugi – linia od Garbarskiej do Topieli, a kilkanaście uliczek poprzecznych formują jakby szczeble.

„Nigdzie nie wejdziemy po tej leżącej drabinie – myślał. – To chory kąt, dziki kąt.”

I rozważał pełen goryczy, że ten płat ziemi nadrzecznej, zasypany śmieciem z całego miasta, nie urodzi nic nad parterowe i jednopiętrowe domki barwy czekoladowej i jasnożółtej, ciemnozielonej i pomarańczowej. Nic, oprócz białych i czarnych

¹⁹² Nowy Zjazd biegł od Placu Zamkowego do żelaznego mostu na Wiśle i tworzył rodzaj wiaduktu na arkadach, w połączeniu z nasypem ziemnym (wiadukt Pancera). Nowy Zjazd był bardzo ruchliwym punktem Warszawy ze względu na most (Kierbedzia) łączący Warszawę z Pragą. Tędy przechodzi obecnie Trasa W-Z i Most Śląsko-Dąbrowski. [przypis redakcyjny]

parkanów, otaczających puste place, skąd gdzieśniedzie
wyskakuje kilkupiętrowa kamienica jak sosna, która ocalała z
wyciętego lasu, przestraszona własną samotnością.

„Nic, nic!...” – powtarzał tułając się po uliczkach, gdzie
widać było rudery zapadnięte niżej bruku, z dachami porośniętymi
mchem, lokale z okiennicami dniem i nocą zamkniętymi na
sztaby, drzwi zabite gwoździami, naprzód i w tył powychylane
ściany, okna łatane papierem albo zatkanie łachmanem. Szedł,
przez brudne szyby zaglądał do mieszkań i nasyczał się widokiem
szaf bez drzwi, krzeseł na trzech nogach, kanap z wydartym
siedzeniem, zegarów o jednej skazówce z porozbijanymi
cyferblatami.

Szedł i cicho śmiał się na widok wyrobników wiecznie
czekających na robotę, rzemieślników, którzy trudnią się tylko
łataniem starej odzieży, przekupek, których całym majątkiem
jest kosz zeszlących ciastek – na widok obdartych mężczyzn,
mizernych dzieci i kobiet niezwykle brudnych.

„Oto miniatura kraju – myślał – w którym wszystko dąży do
spodlenia i wytępienia rasy. Jedni giną z niedostatku, drudzy z
rozpusty. Praca odejmuje sobie od ust, ażeby karmić niedołęgów;
miłosierdzie hoduje bezczelnych próżniaków, a ubóstwo nie
mogące zdobyć się na sprzęty otacza się wiecznie głodnymi
dziećmi, których największą zaletą jest wczesna śmierć.

Tu nie poradzi jednostka z inicjatywą, bo wszystko
sprzysięgło się, ażeby ją spętać i zużyć w pustej walce – o nic.”

Potem w wielkich konturach przyszła mu na myśl jego

własna historia. Kiedy dzieckiem będąc łaknął wiedzy – oddano go do sklepu z restauracją. Kiedy zabijał się nocną pracą będąc subiektem – wszyscy sztychili z niego, zacząwszy od kuchcików, skończywszy na upijającej się w sklepie inteligencji. Kiedy nareszcie dostał się do uniwersytetu – prześladowano go porcjami, które niedawno podawał gościom.

Odetchnął dopiero na Syberii. Tam mógł pracować, tam zdobył uznanie i przyjaźń Czerskich¹⁹³, Czekanowskich¹⁹⁴, Dybowski¹⁹⁵. Wrócił do kraju prawie uczonym, lecz gdy w tym kierunku szukał zajęcia, zakrzyczano go i odesłano do handlu...

„To taki piękny kawałek chleba w tak ciężkich czasach!”

No i wrócił do handlu, a wtedy zawołano, że się sprzedał i żyje na łasce żony, z pracy Minclów.

Traf zdarzył, iż po kilku latach żona umarła zostawiając mu dość spory majątek. Pochowawszy ją, Wokulski odsunął się nieco od sklepu, a znowu zbliżył się do książek. I może z galanteryjnego kupca zostałby na dobre uczonym przyrodnikiem, gdyby znalazłszy się raz w teatrze nie zobaczył panny Izabeli.

Siedziała w łoży z ojcem i panną Florentyną, ubrana w białą

¹⁹³ Czernski Jan (1845–1892) – przyrodnik i geolog, zesłany w r. 1863 na Syberię, badał tam faunę i pokłady węgla. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁴ Czekanowski Aleksander (1830–1876) – geograf i geolog, zesłany w r. 1863 na Syberię. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁵ Dybowski Benedykt (1833–1930) – uczone polski, zesłany w r. 1864 na Syberię, badał tamtejszą przyrodę, antropologię i języki ludów syberyjskich. [przypis redakcyjny]

suknię. Nie patrzyła na scenę, która w tej chwili skupiała uwagę wszystkich, ale gdzieś przed siebie, nie wiadomo gdzie i na co. Może myślała o Apollinie?...

Wokulski przypatrywał się jej cały czas.

Zrobiła na nim szczególne wrażenie. Zdawało mu się, że już kiedyś ją widział i że ją dobrze zna. Wpatrzył się lepiej w jej rozmarzone oczy i nie wiadomo skąd przypomniał sobie niezmierny spokój syberyjskich pustyń, gdzie bywa niekiedy tak cicho, że prawie słyszeć szelest duchów wracających ku zachodowi¹⁹⁶. Dopiero później przyszło mu na myśl, że on nigdzie i nigdy jej nie widział, ale – że jest tak coś – jakby na nią od dawna czekał.

„Tyżeś to czy nie ty?...” – pytał się w duchu, nie mogąc od niej oczu oderwać.

Odtąd mało pamiętał o sklepie i o swoich książkach, lecz ciągle szukał okazji do widywania panny Izabeli w teatrze, na koncertach lub na odczytach. Uczuć swoich nie nazwałby miłością i w ogóle nie był pewny, czy dla oznaczenia ich istnieje w ludzkim języku odpowiedni wyraz. Czuł tylko, że stała się ona jakimś mistycznym punktem, w którym zbiegają się wszystkie jego wspomnienia, pragnienia i nadzieje, ogniskiem, bez którego życie nie miałoby stylu, a nawet sensu. Służba w sklepie kolonialnym, uniwersytet, Syberia, ożenienie się z wdową

¹⁹⁶ *słyszeć szelest duchów wracających ku zachodowi* – prawdopodobnie reminiscencja epizodu w *Anhellim* (1838) Juliusza Słowackiego, kiedy dusza bohatera, wywołana przez Szamana, pragnie powrócić do ojczyzny. [przypis redakcyjny]

po Minclu, a w końcu mimowolne pójście do teatru, gdy wcale nie miał chęci – wszystko to były ścieżki i etapy, którymi los prowadził go do zobaczenia panny Izabeli.

Od tej pory czas miał dla niego dwie fazy. Kiedy patrzył na pannę Izabelę, czuł się absolutnie spokojnym i jakby większym, nie widząc – myślał o niej i tęsknił. Niekiedy zdawało mu się, że w jego uczuciach tkwi jakaś omyłka i że panna Izabela nie jest żadnym środkiem jego duszy, ale zwykłą, a może nawet bardzo pospolitą panną na wydaniu. A wówczas przychodził mu do głowy dziwaczny projekt:

„Zapoznam się z nią i wprost zapytam: czy ty jesteś tym, na co przez całe życie czekałem?... Jeżeli nie jesteś, odejdę bez pretensji i żalu...”

W chwilę później spostrzegął, że projekt ten zdradza umysłowe zboczenie. Kwestię więc: czym jest, a czym nie jest, odłożył na bok, a postanowił, bądź co bądź, zapoznać się z panną Izabelą.

Wtedy przekonał się, że między jego znajomymi nie ma człowieka, który mógłby go wprowadzić do domu Łęckich. Co gorsze: pan Łęcki i panna byli klientami jego sklepu, lecz taki stosunek, zamiast ułatwić, utrudniał raczej znajomość.

Stopniowo sformułował sobie warunki zapoznania się z panną Izabelą. Ażeby mógł nic więcej tylko szczerze rozmówić się z nią, należało:

Nie być kupcem albo być bardzo bogatym kupcem.

Być co najmniej szlachcicem i posiadać stosunki w sferach

arystokratycznych.

Nade wszystko zaś mieć dużo pieniędzy.

Wylegitymowanie się ze szlachectwa nie było rzeczą trudną.

W maju roku zeszłego Wokulski wziął się do tej sprawy, którą jego wyjazd do Bułgarii o tyle przyspieszył, że już w grudniu miał dyplom¹⁹⁷, z majątkiem było znacznie trudniej; w tym przecie dopomógł mu los.

W początkach wojny wschodniej¹⁹⁸ przejeżdżał przez Warszawę bogaty moskiewski kupiec, Suzin, przyjaciel Wokulskiego jeszcze z Syberii. Odwiedził Wokulskiego i gwałtem zachęcał go do przyjęcia udziału w dostawach dla wojska.

– Zbierz pieniędzy, Stanisławie Piotrowiczu, ile się da – mówił – a uczciwe słowo, zrobisz okrągły milionik!...

Następnie półgłosem wyłożył mu swoje plany.

Wokulski wysłuchał jego projektów. Do wykonania jednych nie chciał należeć, inne przyjął, lecz wahał się. Żał mu było opuścić miasto, w którym przynajmniej widywał pannę Izabelę. Ale gdy w czerwcu ona wyjechała do ciotki, a Suzin począł naglić go depeszami, Wokulski zdecydował się i podniósł całą gotówkę po żonie w ilości rs¹⁹⁹ trzydzieści tysięcy, którą nieboszczka trzymała nietykalną w banku.

¹⁹⁷ *dyplom* – tu: dokument stwierdzający pochodzenie szlacheckie. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁸ *wojna wschodnia* – wojna rosyjsko-turecka. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁹ *rs* – skrót: rubli srebrnych. [przypis redakcyjny]

Na kilka dni przed wyjazdem zaszedł do znajomego lekarza Szumana, z którym pomimo obustronnej życzliwości widywali się nieczęsto. Lekarz, Żyd, stary kawaler, żółty, mały, z czarną brodą, miał reputację dziwaka. Posiadając majątek leczył darmo i o tyle tylko, o ile było mu to potrzebnym do studiów etnograficznych²⁰⁰; przyjaciołom zaś swoim raz na zawsze dał jedną receptę:

„Używaj wszystkich środków, od najmniejszej dozy oleju do największej dozy strychniny, a coś ci z tego pomoże, nawet na – nosaciznę.”

Gdy Wokulski zadzwonił do mieszkania lekarza, ten właśnie był zajęty gatunkowaniem włosów rozmaitych osobników rasy słowiańskiej, germańskiej i semickiej i przy pomocy mikroskopu mierzył dłuższe i krótsze średnice ich przekrojów.

– A, jesteś?... – rzekł do Wokulskiego odwracając głowę. – Nałóż sobie fajkę, jeżeli chcesz, i kładź się na kanapie, jeżeli się zmieścisz.

Gość zapalił fajkę i położył się, jak mu kazano, doktor robił swoje. Przez pewien czas obaj milczeli, wreszcie odezwał się Wokulski:

– Powiedz mi: czy medycyna zna taki stan umysłu, w którym człowiekowi wydaje się, że jego rozproszone dotychczas wiadomości i... uczucia złączyły się jakby w jeden organizm?

– Owszem. Przy ciągłej pracy umysłowej i dobrym

²⁰⁰ *studia etnograficzne* – zainteresowania Szumana zbliżają się raczej do antropologii. [przypis redakcyjny]

odżywianiu mogą wytworzyć się w mózgu nowe komórki albo – skojarzyć się między sobą dawne. No i wówczas z rozmaitych departamentów²⁰¹ mózgu i z rozmaitych dziedzin wiedzy tworzy się jedna całość.

– A co znaczy taki stan umysłu, w którym człowiek obojętnie dla śmierci, ale za to poczyną tęsknić do legend o życiu wiecznym?...

– Obojętność dla śmierci – odpowiedział doktor – jest cechą umysłów dojrzałych, a pociąg do życia wiecznego – zapowiedzią nadchodzącej starości.

Znowu umilkli. Gość palił fajkę, gospodarz kręcił się nad mikroskopem.

– Czy myślisz – spytał Wokulski – że można... kochać kobietę w sposób idealny, nie pożądam jej?

– Naturalnie. Jest to jedna z masek, w którą lubi przebierać się instynkt utrwalenia gatunku.

– Instynkt – gatunek – instynkt utrwalenia czegoś i – utrwalenie gatunku!... – powtórzył Wokulski. – Trzy wyrazy, a cztery głupstwa.

– Zrób szóste – odpowiedział doktor nie odejmując oka od szkła – i ożeń się.

– Szóste?... – rzekł Wokulski podnosząc się na kanapie. – A gdzież piąte?

– Piąte już zrobiłeś: zakochałeś się.

– Ja?... W moim wieku?...

²⁰¹ *departamenty* – tu: w znaczeniu części. [przypis redakcyjny]

– Czterdzieści pięć lat – to epoka ostatniej miłości, najgorszej
– odpowiedział doktor.

– Znawczy mówią, że pierwsza miłość jest najgorsza – szepnął Wokulski.

– Nieprawda. Po pierwszej czeka cię sto innych, ale po setnej pierwszej – już nic. Żeń się; jedyny to ratunek na twoją chorobę.

– Dlaczegożes ty się nie ożenił?

– Bo mi narzeczona umarła – odpowiedział doktor pochyliwszy się na tył fotelu i patrząc w sufit. – Więc zrobiłem, com mógł: otrujęm się chloroformem. Było to na prowincji. Ale Bóg zesłał dobrego kolegę, który wysadził drzwi i uratował mnie. Najpodlejszy rodzaj miłosierdzia!... Ja zapłaciłem za drzwi zepsute, a kolega odziedziczył moją praktykę ogłosiwszy, że wariat...

Znowu wrócił do włosów i mikroskopu.

– A jaki z tego sens moralny dla ostatniej miłości? – spytał Wokulski.

– Ten, że samobójcom nie należy przeszkadzać – odpowiedział doktor.

Wokulski poleżał jeszcze z kwadrans, potem podniósł się, postawił w kącie fajkę i schyliwszy się nad doktorem ucałował go.

– Bywaj zdrow, Michale.

Doktor zerwał się od stołu.

– No?...

– Wyjeżdżam do Bułgarii

– Po co?

– Zostanę wojskowym dostawcą. Muszę zrobić duży majątek!

... – odparł Wokulski.

– Albo?...

– Albo... nie wróćę.

Doktor popatrzył mu w oczy i mocno ścisnął go za rękę.

– *Sit tibi terra levis*²⁰² – rzekł spokojnie. Odprowadził go do drzwi i znowu wziął się do swojej roboty.

Już Wokulski był na schodach, gdy doktor wybiegł za nim i zawołał wychylając się przez poręcz:

– Gdybyś jednak wrócił, nie zapomnij przywieźć mi włosów: bułgarskich, tureckich i tak dalej, od obu płci. Tylko pamiętaj: w oddzielnych pakietach z notatkami. Wiesz przecie, jak to robić...

...Wokulski ocknął się z tych dawnych wspomnień.

Nie ma doktora ani jego mieszkania i nawet ich od dziesięciu miesięcy nie widział. Tu jest błotnista ulica Radna, tam Browarna. Na górze spoza nagich drzew wyglądają żółte gmachy uniwersyteckie; na dole parterowe domki, puste place i parkany, a niżej – Wisła.

Obok niego stał jakiś człowiek w wypłowiałej kapocie z rudawym zarostem. Zdjął czapkę i pocałował Wokulskiego w rękę. Wokulski przypatrzył mu się uważniej.

– Wysocki?... – rzekł. – Co ty tu robisz?

– Tu mieszkamy, wielmożny panie, w tym domu –

²⁰² *Sit tibi terra levis* (łac.) – niech ci ziemia lekką będzie. [przypis redakcyjny]

odpowiedział człowiek wskazując na niską lepiankę.

– Dlaczego nie przyjeżdżasz po transporta²⁰³? – pytał Wokulski.

– Czym przyjadę, panie, kiedy jeszcze na Nowy Rok koń mi padł.

– Cóż robisz?

– A ot tak – razem nic. Zimowaliśmy u brata, co jest dróżnikiem na Wiedeńskiej Kolei²⁰⁴. Ale i jemu bieda, bo go ze Skierniewic²⁰⁵ przenieśli pod Częstochowę. W Skierniewicach ma trzy morgi²⁰⁶ i żył jak bogacz, a dzisiaj i on kiepski, i grunt wynędznienie bez dozoru.

– No, a z wami co teraz?

– Kobieta niby trochę pierze, ale takim, co nie bardzo mają czym płacić, a ja – ot tak... Marniejemy, panie... nie pierwsi i nie ostatni. Jeszcze póki wielkiego postu, to człowiek krzepi się mówiący²⁰⁷: dzisiaj pościsz za dusze zmarłe, jutro na pamiątkę, że Chrystus Pan nic nie jadł, pojutrze, na intencję, ażeby Bóg złe odmienił. Zaś po świętach nie będzie nawet sposobu i dzieciom

²⁰³ *transporta* – dziś: transporty, towary do przewiezienia. [przypis redakcyjny]

²⁰⁴ *Kolej Wiedeńska* – linia kolejowa Warszawa—Skierniewice—Koluszki—Piotrków—Częstochowa—Dąbrowa Górnicza na Kraków i Wiedeń, najdawniejsza w Królestwie Kongresowym, zbudowana w latach 1838–1848. [przypis redakcyjny]

²⁰⁵ Skierniewice – miasto powiatowe i węzeł kolejowy, 66 km na południowy zachód od Warszawy. [przypis redakcyjny]

²⁰⁶ *mórg* – miara powierzchni: mórg polski – ok. 55 arów. [przypis redakcyjny]

²⁰⁷ *człowiek krzepi się mówiący* – dawna forma imiesłowowa; dziś: człowiek krzepi się mówiąc. [przypis edytorski]

wytłomaczyć, na jaką intencję nie jedzą...

Ale i wielmożny pan coś markotnie wygląda? Taki już widać czas nastał, że wszyscy muszą zginąć – westchnął ubogi człowiek.

Wokulski zamyślił się.

– Komorne wasze zapłacone? – spytał.

– Nawet nie ma, panie, co płacić, bo nas i tak wypędzą.

– A dlaczego nie przyszedłeś do sklepu, do pana Rzeckiego? – spytał Wokulski.

– Nie śmiałem, panie. Koń odszedł, wóz u Żyda, kubrak na mnie jak na dziadzie... Z czymże było przyjść i jeszcze ludziom głowę zaprzatać?...

Wokulski wydobył portmonetkę.

– Masz tu – rzekł – dziesięć rubli na święta. Jutro w południe przyjdiesz do sklepu i dostaniesz kartkę na Pragę. Tam u handlarza wybierzesz sobie konia, a po świętach przyjeżdżaj do roboty. U mnie zarobisz ze trzy ruble na dzień, więc dług spłacisz łatwo. Zresztą dasz sobie radę.

Ubogi człowiek dotknąwszy pieniędzy zaczął się trząść.

Uważnie słuchał Wokulskiego, a łzy spływały mu po wychudzonej twarzy.

– Czy panu powiedział kto – zapytał po chwili – że z nami jest... ot tak?... Bo już nam ktoś – dodał szeptem – przysyłał siostrę miłosierdzia, będzie z miesiąc. Mówiła, że muszę być ladaco, i dała nam kartkę na pud²⁰⁸ węgla z Żelaznej²⁰⁹ ulicy. Czy

²⁰⁸ pud – rosyjska jednostka wagi, ok. 16 kg. [przypis redakcyjny]

może pan tak sam z siebie?...

– Idź do domu, a jutro bądź w sklepie – odparł Wokulski.

– Idę, panie – odpowiedział człowiek kłaniając się do ziemi.

Odszedł, lecz przystawał na drodze; widocznie rozmyślał nad niespodziewanym szczęściem.

W tej chwili Wokulskiego tknęło szczególne przeczucie.

– Wysocki!... – zawołał. – A twemu bratu jak na imię?

– Kasper – odpowiedział człowiek wracając pędem.

– Przy jakiej mieszka stacji?

– Przy Częstochowie, panie.

– Idź do domu. Może Kaspra przeniosą do Skierniewic.

Ale ten zamiast iść, zbliżył się.

– Przepraszam, wielmożny panie – rzekł nieśmiało – ale jak mnie kto zaczepi: skąd mam tyle pieniędzy?...

– Powiedz, że na rachunek wzięłeś ode mnie.

– Rozumiem, panie... Bóg... niech Bóg...

Ale Wokulski już nie słuchał; szedł w stronę Wisły myśląc:

„Jakże oni szczęśliwi, ci wszyscy, w których tylko głód wywołuje apatię, a jedynym cierpieniem jest zimno. I jak łatwo ich uszczęśliwić!... Nawet moim skromnym majątkiem mógłbym wydzwignąć parę tysięcy rodzin. Nieprawdopodobne, a przecież – tak jest.”

Wokulski doszedł do brzegu Wisły i zdumiał się.

²⁰⁹ ulica Żelazna – w zachodniej części Warszawy (w czasie wojny poważnie zniszczona). [przypis redakcyjny]

Na kilkumorgowej²¹⁰ przestrzeni wznosił się tu pagórek najobrzydliwszych śmieci, cuchnących, nieomal ruszających się pod słońcem, a o kilkadziesiąt kroków dalej leżały zbiorniki wody, którą piła Warszawa.

„O, tutaj – myślał – jest ognisko wszelkiej zarazy. Co człowiek dziś wyrzuci ze swego mieszkania, jutro wypije; później przenosi się na Powązki²¹¹ i z drugiej znowu strony miasta razi bliźnich pozostałych przy życiu.

Bulwar tutaj, kanały i woda źródłana na górze i – można by ocalić rokrocznie kilka tysięcy ludzi od śmierci, a kilkadziesiąt tysięcy od chorób... Niewielka praca, a zysk nieobliczony; natura umie wynagradzać.”

Na stoku i w szczelinach obmierzłego wzgórza spostrzegł niby postacie ludzkie. Było tu kilku drzemających na słońcu pijaków czy złodziei, dwie śmieciarki i jedna kochająca się para, złożona z trędowatej kobiety i suchotniczego mężczyzny, który nie miał nosa. Zdawało się, że to nie ludzie, ale widma ukrytych tutaj chorób, które odziały się w wykopane w tym miejscu szmaty. Wszystkie te indywidua zwierzyły obcego człowieka; nawet śpiący podnieśli głowy i z wyrazem zdziżenia psów przypatrywali się gościowi.

²¹⁰ *kilkumorgowa* – od: morga, miara powierzchni ziemi, wynosząca 0,56 ha. [przypis edytorski]

²¹¹ Powązki – w północno-zachodniej części Warszawy; dzielnica cmentarzy (największy i najstarszy z nich – cmentarz katolicki, założony w 1791). W latach 1877–1881 śmiertelność wynosiła w Warszawie 36,8%; a po wybudowaniu wodociągów i kanalizacji spadła do 19,5%. [przypis redakcyjny]

Wokulski uśmiechnął się.

„Gdybym tu przyszedł w nocy, na pewno wyleczyliby mnie z melancholii. Jutro już spoczywałbym pod tymi śmieciami, które – wreszcie – są tak wygodnym grobem jak każdy inny. Na górze zrobiłby się wrzask, ścigano by i wyklinano tych pocziwców, a oni – może wyświadczyliby mi łaskę.

O, bo nie znają, w snach mogilnych
Drzemiący, ciężkich trosk żywota,
I duch się ich już nie szamota
W pragnieniach – tęsknych a bezsilnych..

Ależ ja zaczynam być naprawdę sentymentalny?... muszę mieć nerwy dobrze rozbite. Bulwar jednak nie wytępiłby takich oto Mohikanów²¹²; przenieśliby się na Pragę albo za Pragę, uprawialiby w dalszym ciągu swoje rzemiosło, kochaliby się jak ta dwójeczka, ba, nawet mnożyliby się. Co za piękne, ojczyzno, będziesz miała potomstwo, urodzone i wychowane na tym śmietniku, z matki okrytej wysypką i beznosego ojca!...

Moje dzieci byłyby inne; po niej wzięłyby piękność, po mnie siłę... No, ale ich nie będzie. W tym kraju tylko choroba, nędza i zbrodnia znajdują weselne łożnice, nawet przytułki dla potomstwa.

Strach, co tu się stanie za kilka generacji... A przecie jest proste lekarstwo: praca obowiązkowa – słusznie wynagradzana.

²¹² *Mohikanie* – wymarłe plemię Indian w Ameryce Północnej. [przypis redakcyjny]

Ona jedna może wzmocnić lepsze indywidua, a bez krzyku wytepić złe i... mielibyśmy ludność dzielną, jak dziś mamy zagłodzoną lub chorą.”

A potem, nie wiadomo z jakiej racji, pomyślał:

„Cóż z tego, że trochę kokietuje?... Kokieteria u kobiet jest jak barwa i zapach u kwiatów. Taka już ich natura, że każdemu chcą się podobać, nawet Mraczewskim...”

Dla wszystkich kokieteria, a dla mnie: »zapłać temu panu!...«
Może ona myśli, że ja oszukałem ich na kupnie srebra?... To byłoby kapitalne!”

Nad samym brzegiem Wisły leżał stos belek. Wokulski uczuł znużenie, siadł i patrzył. W spokojnej powierzchni wody odbijała się Saska Kępa²¹³, już zieleniejąca, i praskie domy z czerwonymi dachami; na środku rzeki stała nieruchoma berlina²¹⁴. Nie większym wydawał się ten okręt, który zeszłego lata widział Wokulski na Morzu Czarnym, unieruchomiony z powodu zepsucia się machin.

„Leciał jak ptak i nagle utknął; zabrakło w nim motoru. Spytałem się wówczas: a może i ja kiedyś stanę w biegu? – no, i

²¹³ Saska Kępa – nazwą tą oznaczano wówczas naturalną wyspę na Wiśle, obejmującą wtedy część dzisiejszej Pragi i Grochowa; północna jej część znajdowała się naprzeciw Powiśla. Saska Kępa została później podzielona, najpierw na dwie części (przy budowie Mostu Poniatowskiego w latach 1904–1913), a następnie na trzy – po usypaniu Alei Waszyngtona w 1935 r. Dziś nazwą tą określa się dzielnicę nadwiślańską leżącą na południe od Mostu Poniatowskiego. [przypis redakcyjny]

²¹⁴ berlina – duża łódź zagłowa z pomostem przykrywającym przewożony ładunek. [przypis redakcyjny]

stanąłem. Jakież to pospolite sprężyny wywołują ruch w świecie: trochę węgla ożywia okręt, trochę serca – człowieka...”

W tej chwili żółtawy, za wczesny motyl przeleciał mu nad głową w stronę miasta.

„Ciekawym, skąd on się wziął? – myślał Wokulski. – Natura miewa kaprysy i – analogie – dodał. – Motyle istnieją także w rodzaju ludzkim: piękna barwa, latanie nad powierzchnią życia, karmienie się słodyczami, bez których giną – oto ich zajęcie. A ty, robaku, nurtuj ziemię i przerabiaj ją na grunt zdolny do siewu. Oni bawią się, ty pracuj; dla nich istnieje wolna przestrzeń i światło, a ty ciesz się jednym tylko przywilejem: zrastania się, jeżeli cię rozdepcze ktoś nieuważny.

I tobież to wzdychać do motyla, głupi?... I dziwić się, że ma wstręt do ciebie?... Jakiż łącznik może istnieć między mną i nią?

...

No, gąsienica jest także podobna do robaka, póki nie zostanie motylem. Ach więc to ty masz zostać motylem, kupcze galanteryjny? Dlaczegoż by nie? Ciągłe doskonalenie się jest prawem świata, a ileż to kupieckich rodów w Anglii zostało lordowskimi mościami?

W Anglii!... Tam jeszcze istnieje epoka twórcza w społeczeństwie; tam wszystko doskonalili się i wstępuje na wyższe szczeble. Owszem, tam nawet ci wyżsi przyciągają do siebie nowe siły. Lecz u nas wyższa warstwa zakrzepła jak woda na mrozie i nie tylko wytworzyła osobny gatunek, który nie łączy się z resztą, ma do niej wstręt fizyczny, ale jeszcze własną martwością

kępuje wszelki ruch z dołu. Co się tu łudzić: ona i ja to dwa różne gatunki istot, naprawdę jak motyl i robak. Mam dla jej skrzydeł opuszczać swoją norę i innych robaków?... To są moi – ci, którzy leżą tam na śmietniku, i może dlatego są nędzni, a będą jeszcze nędzniejsi, że ja chcę wydawać po trzydzieści tysięcy rubli rocznie na zabawę w motyla. Głupi handlarzu, podły człowieku!...

Trzydzieści tysięcy rubli znaczą tyle, co sześćdziesiąt drobnych warsztatów albo sklepików, z których żyją całe rodziny. I to ja mam byt ich zniszczyć, wyssać z nich ludzkie dusze i wypędzić na ten śmietnik?...

No dobrze, ale gdyby nie ona, czy miałbym dziś majątek?... Kto wie, co się stanie ze mną i z tymi pieniędzmi bez niej? Może właśnie dopiero przy niej nabiorą one twórczych własności; może choć kilkanaście rodzin z nich skorzysta?..."

Wokulski odwrócił się i nagle zobaczył na ziemi swój własny cień. Potem przypomniał sobie, że ten cień chodzi przed nim, za nim albo obok niego zawsze i wszędzie, jak myśl o tamtej kobiecie chodziła za nim wszędzie i zawsze, na jawie i we śnie, mieszając się do wszystkich jego celów, planów i czynów.

„Nie mogę wyrzec się jej” – szepnął rozkładając ręce, jakby tłumaczył się komuś.

Wstał z belek i wrócił do miasta.

Idąc przez ulicę Obożną²¹⁵, przypomniał sobie furmana

²¹⁵ ulica Obożna – ulica w śródmieściu Warszawy, w czasie wojny zupełnie zniszczona, obecnie odbudowana. [przypis redakcyjny]

Wysockiego, któremu koń padł, i zdawało mu się, że widzi cały szereg wozów, przed którymi leżą padłe konie, cały szereg rozpaczających nad nimi furmanów, a przy każdym gromadę mizernych dzieci i żonę, która pierze bieliznę takim, co płacić nie mogą.

„Koń?...” – szepnął Wokulski i czegoś serce mu się ścisnęło.

Raz w marcu przechodząc Aleją Jerozolimską zobaczył tłum ludzi, czarny wóz węglarski stojący w poprzek drogi pod bramą, a o parę kroków dalej wyprężonego konia.

– Co się to stało?

– Koń złamał nogę – odparł wesoło jeden z przechodniów, który miał fiołkowy szalik na szyi i trzymał ręce w kieszeniach.

Wokulski mimochodem spojrzał na delikwenta. Chudy koń z wytartymi bokami stał przywiązany do młodego drzewka unosząc w górę tylną nogę. Stał cicho, patrzył wywróconym okiem na Wokulskiego i gryzł z bólu gałązkę okrytą szronem.

„Dlaczego dziś dopiero przypomniał mi się ten koń? – myślał Wokulski – dlaczego ogarnia mnie taki żal?”

Szedł Obożną pod górę, rozmarzony, i czuł, że w ciągu kilku godzin, które spędził w nadrzecznej dzielnicy, zaszła w nim jakaś zmiana. Dawniej – dziesięć lat temu, rok temu, wczoraj jeszcze, przechodząc ulicami nie spotykał na nich nic szczególnego. Snuli się ludzie, jeździły dorożki, sklepy otwierały gościnne objęcia dla przechodniów. Ale teraz przybył mu jakby nowy zmysł. Każdy obdarty człowiek wydawał mu się istotą wołającą o ratunek tym głośniejsze, że nic nie mówił, tylko rzucał

trwożne spojrzenia jak ów koń ze złamaną nogą. Każda uboga kobieta wydawała mu się praczką, która wyżartymi od mydła rękami powstrzymuje rodzinę nad brzegiem nędzy i upadku. Każde mizerne dziecko wydawało mu się skazanym na śmierć przedwczesną albo na spędzanie dni i nocy w śmietniku przy ulicy Dobrej.

I nie tylko obchodzili go ludzie. Czuł zmęczenie koni ciągnących ciężkie wozy i ból ich karków tartych do krwi przez chomąto. Czuł obawę psa, który szczekał na ulicy zgubiwszy pana, i rozpacz chudej suki z obwisłymi wymionami, która na próżno biegała od rynsztoka do rynsztoka szukając strawy dla siebie i szczeniąt. Jeszcze, na domiar cierpień, bolały go drzewa obdarte z kory, bruki podobne do powybijanych zębów, wilgoć na ścianach, połamane sprzęty i podarta odzież.

Zdawało mu się, że każda taka rzecz jest chora albo zraniona, że skarży się: „Patrz, jak cierpię...”, i że tylko on słyszy i rozumie jej skargi. A ta szczególna zdolność odczuwania cudzego bólu urodziła się w nim dopiero dziś, przed godziną.

Rzecz dziwna! przecie miał już ustaloną opinię hojnego filantropa. Członkowie Towarzystwa Dobroczynności we frakach składali mu podziękowania za ofiarę dla wiecznie łaknącej instytucji; hrabina Karolowa we wszystkich salonach opowiadała o pieniądzach, które złożył na jej ochronę; jego służba i subiekci sławili go za podwyższenie im pensji. Ale Wokulskiemu rzeczy te nie sprawiały żadnej przyjemności, tak jak on sam nie przywiązywał do nich żadnej wagi. Rzucał

tyśiące rubli do kas urzędowych dobroczyńców, ażeby kupić za to rozgłos nie pytając, co się zrobi z pieniędzmi.

I dopiero dziś, kiedy dziesięcioma rublami wydobył człowieka z niedoli, kiedy nikt nie mógł głosić przed światem o jego szlachetności, dopiero dziś poznał: co to jest ofiara. Dopiero dziś przed jego zdumionym okiem stanęła nowa, nie znana dotychczas część świata – nędza, której trzeba pomagać.

„Tak, alboż ja dawniej nie widywałem nędzy?...” – szepnął Wokulski.

I przypomniał sobie całe szeregi ludzi obdartych, mizernych, a szukających pracy, chudych koni, głodnych psów, drzew z obdartą korą i połamanymi gałęziami. Wszystko to przecie spotykał bez wrażenia. I dopiero gdy wielki ból osobisty zaorał mu i zbronował duszę, na tym gruncie użyźnionym krwią własną i skropionym niewidzialnymi dla świata łzami wyrosła osobliwa roślina: współczucie powszechne, ogarniające wszystko – ludzi, zwierzęta, nawet przedmioty, które nazywają martwymi.

„Doktór powiedziałby, że utworzyła mi się nowa komórka w mózgu albo że połączyło się kilka dawnych” – pomyślał.

„Tak, ale co dalej?...”

Dotychczas bowiem miał tylko jeden cel: zbliżyć się do panny Izabeli. Dziś przybył mu drugi: wydobyć z niedostatku Wysockiego.

„Mała rzecz!...”

„Przenieść jego brata pod Skierniewice...” – dodał jakiś głos.

„Drobnostka.”

Ale poza tymi dwoma ludźmi stanęło zaraz kilku innych, za nimi jeszcze kilku, potem olbrzymi tłum borykający się z wszelkiego rodzaju nędzą i wreszcie – cały ocean cierpień powszechnych, które wedle sił należało zmniejszać, a przynajmniej powściągnąć od dalszego rozlewu.

„Przywidzenia... abstrakcyjne... zdenerwowanie!” – szepnął Wokulski.

To była jedna droga. Na końcu bowiem drugiej widział cel realny i jasno określony – pannę Izabelę.

„Nie jestem Chrystusem, ażeby poświęcać się za całą ludzkość.”

„Więc na początek zapomnij o Wysockich” – odparł głos wewnętrzny.

„No, głupstwo! Jakkolwiek jestem dziś rozkołysany, ależ nie mogę być śmieszny – myślał Wokulski. – Zrobię, co się da i komu można, lecz osobistego szczęścia nie wyrzeknę się, to darmo...”

W tej chwili stanął przed drzwiami swego sklepu i wszedł tam.

W sklepie zastał Wokulski tylko jedną osobę. Była to dama wysoka, w czarnych szatach, nieokreślonego wieku. Przed nią leżał stos neseserek: drewnianych, skórzanych, pluszowych i metalowych, prostych i ozdobnych, najdroższych i najtańszych, a – wszyscy subiekci byli na służbie. Klein podawał coraz nowe neseserki, Mraczewski chwalił towar, a Lisiecki akompaniował mu ruchami ręki i brody. Tylko pan Ignacy wybiegł naprzeciw pryncypała.

– Z Paryża przyszedł transport – rzekł do Wokulskiego. –

Myślę, że trzeba odebrać jutro.

– Jak chcesz.

– Z Moskwy obstalunki za dziesięć tysięcy rubli, na początek maja.

– Spodziewałem się.

– Z Radomia za dwieście rubli, ale furman upomina się na jutro.

Wokulski ruszył ramionami.

– Trzeba raz zerwać z tym kramarstwem – odezwał się po chwili. – Interes żaden, a wymagania ogromne.

– Zerwać z naszymi kupcami?... – spytał zdziwiony Rzecki.

– Zerwać z Żydami – wtrącił półgłosem Lisiecki. – Bardzo dobrze robi szef wycofując się z tych parszywych stosunków. Nieraz aż wstyd wydawać reszty, tak pieniądze zalatują cebulą.

Wokulski nic nie odpowiedział. Usiadł do swej księgi i udawał, że rachuje, ale naprawdę nie robił nic, nie miał siły. Przypomniawszy sobie tylko swoje niedawne marzenia o uszczęśliwieniu ludzkości i osądził, że musi być mocno zdenerwowany.

„Rozigrał się we mnie sentymentalizm i fantazja – myślał. – Zły to znak. Mogę ośmieszyć się, zrujnować...”

I machinalnie przypatrywał się niezwyklej fizjonomii damy, która wybierała neseserki. Była ubrana skromnie, miała gładko uczesane włosy. Na jej twarzy białej i razem żółtej malował się głęboki smutek; spoza ust przyciętych wyglądała złość, a ze spuszczonej oczu błyskał czasami gniew, niekiedy pokora.

Mówiła głosem cichym i łagodnym, a targowała się jak stu skapców. To było za drogie, tamto za tanie; tu plusz stracił barwę, tam zaraz odlezie skórka, a ówdzie ukazuje się rdza na okuciach. Lisiecki już cofnął się od niej rozgniewany, Klejn odpoczywał, a tylko Mraczewski rozmawiał z nią jak z osobą znajomą.

W tej chwili otworzyły się drzwi sklepu i ukazał się w nich – jeszcze oryginalniejszy jegomość. Lisiecki powiedział o nim, że jest podobny do suchotnika, któremu w trumnie zaczęły odrastać wąsy i faworyty. Wokulski zauważył, że gość ma gapiowato otwarte usta, a za ciemnymi binoklami nosi duże oczy, z których przeglądało jeszcze większe roztargnienie.

Gość wszedł kończąc rozmowę z kimś na ulicy, lecz wnet cofnął się, aby swego towarzysza pożegnać. Potem znowu wszedł i znowu cofnął się zadzierając do góry głowę, jakby czytał szyld. Nareszcie wszedł na dobre, ale drzwi za sobą nie zamknął. Wypadkowo spojrzał na damę i – spadły mu z nosa ciemne binokle.

– A... a... a!... – zawołał.

Ale dama gwałtownie odwróciła się od niego do neseserek i upadła na krzesło.

Do przybysza wybiegł Mraczewski i uśmiechając się dwuznacznie, zapytał:

– Pan baron rozkaże?...

– Spinki, uważa pan, spinki zwyczajne, złote albo stalowe... Tylko, rozumie pan, muszą być w kształcie czapki dżokejskiej i – z biczem...

Mraczewski otworzył gablotkę ze spinkami.

– Wody... – odezwała się dama słabym głosem.

Rzecki nalał jej wody z karafki i podał z oznakami współczucia.

– Pani dobrodziejce słabo?... Może by doktora...

– Już mi lepiej – odparła.

Baron oglądał spinki, ostentacyjnie odwracając się tyłem do damy.

– A może, czy nie sądzi pan, byłyby lepsze spinki w formie podków? – pytał Mraczewskiego.

– Myślę, że panu baronowi potrzebne są i te, i te. Sportsmeni noszą tylko oznaki sportsmeńskie, ale lubią odmianę.

– Powiedz mi pan – odezwała się nagle dama do Klejna – na co podkowy ludziom, którzy nie mają za co utrzymywać koni?...

– Otóż, proszę pana – mówił baron – wybrać mi jeszcze parę drobiazgów w formie podkowy...

– Może by popielniczkę? – zapytał Mraczewski.

– Dobrze, popielniczkę – odparł baron.

– Może gustowny kałamarz z siodłem, dżokejką, szpicrutą²¹⁶?

– Proszę o gustowny kałamarz z siodłem i dżokejką...

– Powiedz mi pan – mówiła dama do Klejna podniesionym głosem – czy wam nie wstyd zwozić tak kosztowne drobiazgi, kiedy kraj jest zrujnowany?... Czy nie wstyd kupować konie wyścigowe...

²¹⁶ *szpicruta* – giętki pręt, zazwyczaj obciągnięty skórą, używany przy jeździe konnej. [przypis redakcyjny]

– Drogi panie – zawołał nie mniej głośno baron do Mraczewskiego – zapakuj wszystkie te garnitury, popielniczkę, kałamarz i odeszlij²¹⁷ mi do domu. Macie prześliczny wybór towarów... Serdecznie dziękuję... *Adieu!*...

I wybiegł ze sklepu wracając się parę razy i spoglądając na szyld nad drzwiami.

Po odejściu oryginalnego barona w sklepie zapanowało milczenie. Rzecki patrzył na drzwi, Klejn na Rzeckiego, a Lisiecki na Mraczewskiego, który znajdując się z tyłu damy krzywił się w sposób bardzo dwuznaczny.

Dama z wolna podniosła się z krzesła i zbliżyła się do kantorka, za którym siedział Wokulski.

– Czy mogę spytać – rzekła drżącym głosem – ile panu winien jest ten pan, który dopiero co wyszedł?...

– Rachunki tego pana ze mną, szanowna pani, gdyby je miał, należą tylko do niego i do mnie – odpowiedział Wokulski kłaniając się.

– Panie – ciągnęła dalej rozdrażniona dama – jestem Krzeszowska, a ten pan jest moim mężem. Długi jego obchodzą mnie, ponieważ on zagarnął mój majątek, o który w tej chwili toczy się między nami proces...

– Daruje pani – przerwał Wokulski – ale stosunki między małżonkami do mnie nie należą.

– Ach, więc tak?... Zapewne, że dla kupca jest to najwygodniej. *Adieu.*

²¹⁷ odeszlij – dziś: odeślij. [przypis edytorski]

I opuściła sklep trzaskając drzwiami.

W kilka minut po jej odejściu wbiegł do sklepu baron. Parę razy wyrzwał na ulicę, a następnie zbliżył się do Wokulskiego.

– Najmocniej przepraszam – rzekł usiłując utrzymać binokle na nosie – ale jako stały gość pański, ośmielę się w zaufaniu zapytać: co mówiła dama, która wyszła przed chwilą?... Bardzo przepraszam za moją śmiałość, ale w zaufaniu...

– Nic nie mówiła, co by kwalifikowało się do powtórzenia – odparł Wokulski.

– Bo uważa pan, jest to, niestety! moja żona... Pan wie, kto jestem... Baron Krzeszowski... Bardzo zacna kobieta, bardzo światła, ale skutkiem śmierci naszej córki trochę zdenerwowana i niekiedy... Pojmuje pan?... Więc nic?...

– Nic.

Baron ukłonił się i już we drzwiach skrzyżował spojrzenia z Mraczewskim, który mrugnął na niego.

– Więc tak?... – rzekł baron, ostro patrząc na Wokulskiego.

I wybiegł na ulicę. Mraczewski skamieniał i oblał się rumieńcem powyżej włosów. Wokulski trochę pobladł, lecz spokojnie usiadł do rachunków.

– Cóż to za oryginalne diabły, panie Mraczewski? – spytał Lisiecki.

– A to cała historia! – odparł Mraczewski przypatrując się spod oka Wokulskiemu. – Jest to baron Krzeszowski, wielki dziwak, i jego żona, trochę narwana. Nawet skuzynowani ze mną, ale cóż!... – westchnął spoglądając w lustro. – Ja nie mam

pieniędzy, więc muszę być w handlu; oni jeszcze mają, więc są moimi kundmanami...

– Mają bez pracy!... – wtrącił Klejn. – Ładny porządek świata, co?

– No, no... już mnie pan do swoich porządków nie nawracaj – odparł Mraczewski. – Otóż pan baron i pani baronowa od roku prowadzą ze sobą wojnę. On chce rozwodu, na co ona się nie zgadza; ona chce przepędzić go od zarządu swoim majątkiem, na co on się nie zgadza. Ona nie pozwala mu trzymać koni, szczególnie jednego wyścigowca; a on nie pozwala jej kupić kamienicy po Łęckich, w której pani Krzeszowska mieszka i gdzie straciła córkę. Oryginały!... Bawią ludzi wymyślając jedno na drugie...

Opowiadał lekkim tonem i kręcił się po sklepie z miną panicza, który przyszedł tu na chwilkę, ale zaraz wyjdzie. Wokulski mienił się siedząc na fotelu; już nie mógł znieść głosu Mraczewskiego.

„Kuzyn Krzeszowskich... – myślał. – Dostanie bilet miłosny od panny Izabeli... A, infamis!...”

I przemógłszy się wrócił do swej księgi. Do sklepu znowu poczęli wchodzić goście, wybierać towary, targować się, płacić. Ale Wokulski widział tylko ich cienie, pogrążony w pracy. A im dłuższe sumował kolumny, im większe wypadały mu sumy, tym bardziej czuł, że w sercu kipi mu jakiś gniew bezimienny. O co? ... na kogo?... mniejsza. Dosyć, że ktoś za to zapłaci, pierwszy z brzegu.

Około siódmej sklep już stanowczo wyludnił się, subiekt rozmawiali, Wokulski wciąż rachował. Wtem znowu usłyszał nieznosny głos Mraczewskiego, który mówił aroganckim tonem:

– Co mi pan, panie Klejn, będzie zawracał głowę!... Wszyscy socjaliści są złodzieje, bo chcieliby dzielić się cudzym, i – szubrawcy, bo mają na dwu jedną parę butów i nie wierzą w chustki do nosa.

– Nie mówiłbyś pan tak – odparł smutnie Klejn – gdybyś przeczytał choć z parę broszurek, nawet niedużych.

– Błazeństwo... – przerwał Mraczewski włożywszy ręce w kieszenie. – Będę czytał broszury, które chcą zniszczyć rodzinę, wiarę i własność!... No, takich głupich nie znajdziesz pan w Warszawie.

Wokulski zamknął księgę i włożył ją do kantorka. W tej chwili znowu weszły do sklepu trzy panie żądając rękawiczek.

Targ z nimi przeciągnął się z kwadrans. Wokulski siedział na fotelu i patrzył w okno; gdy zaś damy wyszły, odezwał się tonem bardzo spokojnym:

– Panie Mraczewski.

– Co pan każe?... – spytał piękny młodzieniec biegnąc do kantorka krokiem kontredansowym²¹⁸.

– Od jutra niech pan postara się o inne miejsce – rzekł krótko Wokulski.

Mraczewski osłupiał.

²¹⁸ *krok kontredansowy* – kontredans: taniec zbiorowy z różnymi figurami. [przypis redakcyjny]

– Dlaczego, panie szefie?... Dlaczego?...

– Dlatego, że u mnie już pan nie ma miejsca.

– Jakież powód?... Przecie chyba nic złego nie zrobiłem?

Gdzież pójdę, jeżeli pan tak nagle pozbawi mię posady?...

– Świadectwo dostanie pan dobre – odparł Wokulski. – Pan Rzecki wypłaci panu pensję za następny kwartał, wreszcie – za pięć miesięcy... A powód jest ten, że ja i pan nie pasujemy do siebie... Zupełnie nie pasujemy. – Mój Ignacy, zrób z panem Mraczewskim rachunek do pierwszego października.

To powiedziawszy Wokulski wstał z fotelu i wyszedł na ulicę.

Dymisja Mraczewskiego zrobiła takie wrażenie, że subiekci nie przemówili między sobą ani słowa, a pan Rzecki kazał zamknąć sklep, chociaż nie było jeszcze ósmej. Pobiegł zaraz do mieszkania Wokulskiego, lecz go tam nie zastał. Przyszedł drugi raz o jedynastej w nocy, lecz w oknach było ciemno, i pan Ignacy wrócił do siebie zgnębiony.

Na drugi dzień, w Wielki Czwartek, Mraczewski już nie pokazał się w sklepie. Pozostali koledzy jego byli smutni i czasem naradzali się między sobą po cichu.

Około pierwszej przyszedł Wokulski. Lecz nim usiadł do kantorka, otworzyły się drzwi i zwykłym wahającym się krokiem wbiegł pan Krzeszowski zadając sobie wiele trudu nad osadzeniem binokli na nosie.

– Panie Wokulski – zawołał roztargniony gość, prawie ode drzwi. – W tej chwili dowiaduję się... Jestem Krzeszowski... Dowiaduję się, że ten biedny Mraczewski z mojej winy otrzymał

dymisję. Ależ, panie Wokulski, ja wczoraj bynajmniej nie miałem pretensji do pana... Ja szanuję dyskrecję, jaką okazał pan w sprawie mojej i mojej żony... Ja wiem, że pan jej odpowiedział, jak przystało na dżentelmena...

– Panie baronie – odparł Wokulski – ja nie prosiłem pana o świadectwo przyzwoitości. Poza obrębem tego – co pan każe?...

– Przyszedłem prosić o przebaczenie biednemu Mraczewskiemu, który nawet...

– Do pana Mraczewskiego nie mam żadnej pretensji, nawet tej, ażeby do mnie wracał.

Baron przygryzł wargi. Chwilę milczał, jakby odurzony szorstką odmową; na koniec uklonił się i cicho powiedział: „Przepraszam...”, opuścił sklep.

Panowie Klejn i Lisiecki cofnęli się za szafy i po krótkiej naradzie wrócili do sklepu, od czasu do czasu rzucając na siebie smutne, lecz wymowne spojrzenia.

Około trzeciej po południu ukazała się pani Krzeszowska. Zdawało się, że jest bledsza, żółciejsza i jeszcze czarniej ubrana niż wczoraj. Lękliwie obejrzała się po sklepie, a spostrzegłszy Wokulskiego zbliżyła się do kantorka.

– Panie – rzekła cicho – dziś dowiedziałam się, że pewien młody człowiek, Mraczewski, z mojej winy stracił u pana miejsce. Jego nieszczęśliwa matka...

– Pan Mraczewski już nie jest u mnie i nie będzie – odparł Wokulski z ukłonem. – Czym więc mogę pani służyć?...

Pani Krzeszowska miała widocznie ułożoną dłuższą mowę.

Na nieszczęście, spojrzała Wokulskiemu w oczy i... z wyrazem: „Przepraszam...”, wyszła ze sklepu.

Panowie Klejn i Lisiecki – mrugnęli na siebie wymowniej niż dotychczas, lecz poprzestali na jednomyślnym wzruszeniu ramionami.

Dopiero około piątej po południu zbliżył się do Wokulskiego Rzecki. Oparł ręce na kantorku i rzekł półgłosem:

– Matka tego Mraczewskiego, Staśku, jest bardzo biedna kobieta...

– Zapłać mu pensję do końca roku – odparł Wokulski.

– Myślę... Stasiu, myślę, że nie można aż tak karać człowieka za to, że ma inne niż my przekonania polityczne...

– Polityczne?... – powtórzył Wokulski takim tonem, że panu Ignacemu przeszedł mróz po kościach...

– Zresztą, powiem ci – ciągnął dalej pan Ignacy – szkoda takiego subiekta. Chłopak piękny, kobiety go pasjami lubią...

– Piękny? – odparł Wokulski. – Więc niech pójdzie na utrzymanie, jeżeli taki piękny.

Pan Ignacy cofnął się. Panowie Lisiecki i Klejn już nawet nie spoglądali na siebie.

W godzinę później przyszedł do sklepu niejaki pan Zięba, którego Wokulski przedstawił jako nowego subiekta.

Pan Zięba miał około lat trzydziestu; był może tak przystojny jak Mraczewski, ale wyglądał nierównie poważniej i taktowniej. Nim sklep zamknięto, już zaznajomił się, a nawet zdobył przyjaźń swoich kolegów. Pan Rzecki odkrył w nim zagorzałego

bonapartystę; pan Lisiecki wyznał, że on sam obok Zięby jest bardzo bladym antysemitą, a pan Klejn doszedł do wniosku, że Zięba musi być co najmniej biskupem socjalizmu.

Słowem, wszyscy byli kontenci, a pan Zięba spokojny.

IX. Kładki, na których spotykają się ludzie różnych światów

W Wielki Piątek z rana Wokulski przypomniał sobie, że dziś i jutro hrabina Karolowa i panna Izabela będą kwestowały przy grobach.

„Trzeba tam pójść i coś dać – pomyślał i wyjął z kasy pięć złotych półimperiałów²¹⁹. – Chociaż – dodał po chwili – posłałem im już dywany, ptaszki śpiewające, pozytywkę, nawet fontannę!... To chyba wystarczy na zbawienie jednej duszy. Nie pójdę.”

Po południu jednak zrobił sobie uwagę, że może hrabina Karolowa liczy na niego. A w takim razie nie wypada cofać się lub złożyć tylko pięć półimperiałów. Wydobył więc z kasy jeszcze pięć i wszystkie zawinął w bibułkę.

„Co prawda – mówił do siebie – będzie tam panna Izabela, a tej nie można ofiarować dziesięciu półimperiałów.”

Więc rozwinął swój rulon, znowu dołożył dziesięć sztuk złota i jeszcze raz namyślał się: „Iść czy nie iść?...”

„Nie – powiedział – nie będę należał do tej jarmarcznej dobroczynności.”

Rzucił rulon do kasy i w piątek nie poszedł na groby.

²¹⁹ *półimperiał* – dawna moneta rosyjska wartości 5 rubli srebrnych. [przypis redakcyjny]

Ale w Wielką Sobotę sprawa przedstawiła mu się całkiem z nowego punktu.

„Oszalałem! – mówił. – Więc jeżeli nie pójdę do kościoła, gdzie ją spotkam?... Jeżeli nie pieniędzmi, czym zwrócę na siebie jej uwagę?... Tracę rozsądek...”

Lecz jeszcze wahał się i dopiero około drugiej po południu, gdy Rzecki z powodu święta kazał już sklep zamykać, Wokulski wziął z kasy dwadzieścia pięć półimperiałów i poszedł w stronę kościoła²²⁰.

Nie wszedł tam jednak od razu; coś go zatrzymywało. Chciał zobaczyć pannę Izabelę, a jednocześnie lękał się tego i wstydził się swoich półimperiałów.

„Rzucić stos złota!... Jakie to imponujące w papierowych czasach²²¹ i – jakie to dorobkiewiczowskie... No, ale co robić, jeżeli one właśnie na pieniądze czekają?... Może nawet będzie za mało?...”

Chodził tam i na powrót po ulicy naprzeciw kościoła nie mogąc od niego oczu oderwać.

„Już idę – myślał. – Zaraz... jeszcze chwilkę... Ach, co się ze mną stało!...” – dodał czując, że jego rozdarta dusza nawet na

²²⁰ *poszedł w stronę kościoła* – mowa o kościele św. Józefa (Karmelitów) na Krakowskim Przedmieściu. Wśród wielu cennych rzeźb kościelnych znajduje się tam m.in. Chrystus w grobie dłuta Oskara Sosnowskiego (1810–1886). Kościół Karmelitów ocalał w całości, a wewnątrz jego zgodne jest nadal z opisem Prusa. [przypis redakcyjny]

²²¹ *papierowe czasy* – okres dewaluacji pieniędzy papierowych, drukowanych w nadmiarze przez rząd rosyjski w czasie wojny z Turcją. [przypis redakcyjny]

tak prosty czyn nie może zdobyć się bez wahań.

Teraz przypomniał sobie: jak on dawno nie był w kościele.

„Kiedyż to?... Na ślubie raz... Na pogrzebie żony drugi raz...”

Lecz i w tym, i w tamtym wypadku nie wiedział dobrze, co się koło niego dzieje; więc patrzył w tej chwili na kościół jak na rzecz zupełnie nową dla siebie.

„Co to jest za ogromny gmach, który zamiast kominów ma wieże, w którym nikt nie mieszka, tylko śpią prochy dawno zmarłych?... Na co ta strata miejsca i murów, komu dniem i nocą pali się światło, w jakim celu schodzą się tłumy ludzi?...”

Na targ idą po żywność, do sklepów po towary, do teatru po zabawę, ale po co tutaj?...”

Mimo woli porównywał drobny wzrost stojących pod kościołem pobożnych z olbrzymimi rozmiarami świętego budynku i przysłała mu myśl szczególna. Że jak kiedyś na ziemi pracowały potężne siły dźwigając z płaskiego ładu łańcuchy gór, tak kiedyś w ludzkości istniała inna niezmierna siła, która wydzwignęła tego rodzaju budowle. Patrząc na podobne gmachy można by sądzić, że w głębi naszej planety mieszkali olbrzymowie, którzy wydzierając się gdzieś w górę, podważali skorupę ziemską i zostawiali ślady tych ruchów w formie imponujących jaskiń.

„Dokąd oni wydzielali się? Do innego, podobno wyższego świata. A jeżeli morskie przypiły dowodzą, że księżyc nie jest złudnym blaskiem, tylko realną rzeczywistością, dlaczego te

dziwne budynki nie miałyby stwierdzać rzeczywistości innego świata?... Czyliż on słabiej pociąga za sobą dusze ludzkie aniżeli księżyc fale oceanu?...

Wszedł do kościoła i zaraz na wstępie znowu uderzył go nowy widok. Kilka żebraczek i żebraków błagało o jałmużnę, którą Bóg zwróci litościwym w życiu przyszłym. Jedni z pobożnych całowali nogi Chrystusa umęczonego przez państwo rzymskie, inni w progu upadłszy na kolana wznosili do góry ręce i oczy, jakby zapatrzeni w nadziemską wizję. Kościół pogrążony był w ciemności, której nie mógł rozproszyc blask kilkunastu świec płonących w srebrnych kandelabrach. Tu i ówdzie na posadzce świątyni widać było niewyraźne cienie ludzi leżących krzyżem albo zgiętych ku ziemi, jakby kryli się ze swoją pobożnością pełną pokory. Patrząc na te ciała nieruchome można było myśleć, że na chwilę opuściły je dusze i uciekły do jakiegoś lepszego świata.

„Rozumiem teraz – pomyślał Wokulski – dlaczego odwiedzanie kościołów umacnia wiarę. Tu wszystko urządzone jest tak, że przypomina wieczność.”

Od pogrążonych w modlitwie cieniów wzrok jego pobiegł ku światłu. I zobaczył w różnych punktach świątyni stoły okryte dywanami, na nich tace pełne bankocetli²²², srebra i złota, a dokoła nich damy siedzące na wygodnych fotelach, odziane w jedwab, pióra i aksamity, otoczone wesołą młodzieżą. Najpobożniejsze pukały na przechodniów, wszystkie rozmawiały

²²² *bankocetle* – banknoty. [przypis redakcyjny]

i bawiły się jak na raucie.

Zdawało się Wokulskiemu, że w tej chwili widzi przed sobą trzy światy. Jeden (dawno już zeszedł z ziemi), który modlił się i dźwigał na chwałę Boga potężne gmachy. Drugi, ubogi i pokorny, który umiał modlić się, lecz wznosił tylko lepianki, i – trzeci, który dla siebie murował pałace, ale już zapomniiał o modlitwie i z domów bożych zrobił miejsce schadzek; jak niefrasobliwe ptaki, które budują gniazda i zawodzą pieśni na grobach poległych bohaterów.

„A czymże ja jestem, zarówno obcy im wszystkim?...”

„Może jesteś okiem żelaznego przetaka, w który rzucę ich wszystkich, aby oddzielić stęchłe plewy od ziarna” – odpowiedział mu jakiś głos.

Wokulski obejrzał się. „Przywidzenie chorej wyobraźni.” Jednocześnie przy czwartym stole, w głębi kościoła, spostrzegł hrabinę Karolową i pannę Izabelę. Obie również siedziały nad tacą z pieniędzmi i trzymały w rękach książki, zapewne do nabożeństwa. Za krzesłem hrabiny stał służący w czarnej liberii.

Wokulski poszedł ku nim potrącając klęczących i omijając inne stoły, przy których pukano na niego zawzięcie. Zbliżył się do tacy i ukłoniwszy się hrabinie, położył swój rulon imperiałów²²³.

„Boże – pomyślał – jak ja głupio muszę wyglądać z tymi pieniędzmi.”

²²³ *imperiał* – dawna złota moneta rosyjska wartości dziesięciu rubli srebrnych.
[przypis redakcyjny]

Hrabina odłożyła książkę.

– Witam cię, panie Wokulski – rzekła. – Wiesz, myślałam, że już nie przyjdiesz, i powiem ci, że nawet było mi trochę przykro.

– Mówiłam cioci, że przyjdzie, i do tego z workiem złota – odezwała się po angielsku panna Izabela.

Hrabinie wystąpił na czoło rumieniec i gęsty pot. Złękła się słów siostrzenicy przypuszczając, że Wokulski rozumie po angielsku.

– Proszę cię, panie Wokulski – rzekła prędko – siądź tu na chwilę, bo delegowany²²⁴ nas opuścił. Pozwolisz, że ułożę twoje imperiały na wierzchu, dla zawstydzenia tych panów, którzy wolą wydawać pieniądze na szampana...

– Ależ niech się ciocia uspokoi – wtrąciła panna Izabela znowu po angielsku. – On z pewnością nie rozumie...

Tym razem i Wokulski zarumienił się.

– Proszę cię, Belu – rzekła hrabina tonem uroczystym – pan Wokulski... który tak hojną ofiarę złożył na naszą ochronę...

– Słyszałam – odpowiedziała panna Izabela po polsku, na znak powitania przymykając powieki.

– Pani hrabina – rzekł trochę żartobliwie Wokulski – chce mnie pozbawić zasługi w życiu przyszłym, chwaląc postęпки, które zresztą mogłem spełniać w widokach zysku.

– Domyślałam się tego – szepnęła panna Izabela po angielsku.

²²⁴ *delegowany* – z Towarzystwa Dobroczynności do udziału w kweście. [przypis redakcyjny]

Hrabina o mało nie zemdląła czując, że Wokulski musi domyślać się znaczenia słów jej siostrzenicy, choćby nie znał żadnego języka.

– Możesz, panie Wokulski – rzekła z gorączkowym pośpiechem – możesz łatwo zdobyć sobie zasługę w życiu przyszłym, choćby... przebacząc urazy...

– Zawsze je przebaczam – odparł nieco zdziwiony.

– Pozwól sobie powiedzieć, że nie zawsze – ciągnęła hrabina. – Jestem stara kobieta i twoja przyjaciółka, panie Wokulski – dodała z naciskiem – więc zrobisz mi pewne ustępstwo...

– Czekam na rozkazy pani.

– Onegdaj dałeś dymisję jednemu z twoich... urzędników, niejakiemu Mraczewskiemu...

– Za cóż to?... – nagle odezwała się panna Izabela.

– Nie wiem – rzekła hrabina. – Podobno chodziło o różnicę przekonań politycznych czy coś w tym guście...

– Więc ten młody człowiek ma przekonania?... – zawołała panna Izabela. – To ciekawe!...

Powiedziała to w sposób tak zabawny, że Wokulski poczuł, jak ustępuje mu z serca niechęć do Mraczewskiego.

– Nie o przekonania chodziło, pani hrabino – odezwał się – ale o nietaktowne uwagi o osobach, które odwiedzają nasz magazyn.

– Może te osoby same postępują nietaktownie – wtrąciła panna Izabela.

– Im wolno, one za to płacą – odpowiedział spokojnie Wokulski. – Nam nie.

Silny rumieniec wystąpił na twarz panny Izabeli. Wzięła książkę i zaczęła czytać.

– Ale swoją drogą dasz się ubłagać, panie Wokulski – rzekła hrabina. – Znam matkę tego chłopca, i wierz mi, że przykro patrzeć na jej rozpacz...

Wokulski zamyślił się.

– Dobrze – odpowiedział – dam mu posadę, ale w Moskwie.

– A jego biedna matka?... – zapytała hrabina tonem proszącym.

– Więc podwyższę mu o dwieście... o trzysta rubli pensję – odparł.

W tej chwili zbliżyło się do stołu kilkoro dzieci, którym hrabina zaczęła rozdawać obrazki. Wokulski wstał z fotelu i aby nie przeszkadzać pobożnym zajęciom, przeszedł na stronę panny Izabeli.

Panna Izabela podniosła oczy od książki i dziwnym wzrokiem patrząc na Wokulskiego spytała:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.